

Powieść tylko dla dorosłych.

OPOWIEŚCI Z PRZEKŁĘTEJ DOLINY:

OPOWIEŚCI Z PRZEKŁĘTEJ DOLINY:

UCIĘTA MOWA

UCIĘTA MOWA



Konrad Staszewski

Konrad Staszewski

"Strach jest ojcem prawdy" - sentencja autora, Konrada Staszewskiego.

OPOWIEŚCI Z PRZEKŁĘTEJ DOLINY: OPOWIEŚCI Z PRZEKŁĘTEJ DOLINY:

UCIĘTA MOWA UCIĘTA MOWA

Niniejszą książkę chciałbym zadedykować
mojej ukochanej żonie, Edycie Maculewicz – Staszewskiej
i zbliżającemu się ku mojemu domowi bocianowi.

Specjalne podziękowanie dla Tomasza Marka Dudzińskiego
i Piotra Chruślińskiego.

Sosnowiec, 10.10.AD.2007
Konrad Staszewski

Świdnik 2007

Konrad Staszewski
Opowieści z przeklętej doliny: Ucięta mowa

Copyright © by Konrad Staszewski
All rights reserved

Redaktor:
Piotr Chruśliński
knowacz@vp.pl

Korekta:
Małgorzata Bartosik
skexa@interia.pl

Copyright © by Serwis Literacki
www.knowacz.pl

Wydanie I
ISBN 978-83-926296-1-0

Świdnik
2007

Projekt okładki:
Konrad Staszewski
koloman1@op.pl

Copyright © by Konrad Staszewski
All rights reserved



ISBN 978-83-926296-1-0

PROLOG

Jeszcze raz przeczytał list, jego czujne oczy prześlizgnęły się po nim bardzo dokładnie, ale nie znalazł żadnej wzmianki na temat nadawcy. Zamiast tego dane adresata były napisane bardzo wyraźnie, nawet mniej wyczulone oko rozpoznałoby w tym piśmie młodą kobietę, ale on widział więcej. Był niemal pewien, że adres napisano silną, energiczną ręką. Dopracowanie każdej literki dobitnie świadczyło o pedantyzmie nadawcy. Nigdzie nie było widać, żeby ręka zawahała się choćby na moment. Ta osoba dobrze wiedziała, do kogo i co pisze. Musiała także być bardzo zdesperowana. Zastanowiła go tylko forma listu. Jakby był tłumaczeniem jakiegoś starodruku. I te dziwne symbole na jego rogach, jakby napisane krwią - dokładnie 24ry.

Ze zdumieniem zauważył, że z każdą chwilą był coraz bardziej zainteresowany tą historią. Zdjął cieniutkie okulary i przetarł aksamitną chusteczką, włożył do pudełka z wygrawerowanymi na wieczku inicjałami "J.M.". Ostrożnie schował wszystko do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Mimo dość mroźnej, bo miejscami spadającej poniżej -15 stopni Celsjusza temperatury jemu było ciepło. Zresztą był dopiero początek grudnia, a on nigdy nie zważał na temperaturę.

Złożył list na czworo i schował do oddzielnej kieszeni uszytej specjalnie na rzeczy znalezione. Jeszcze raz zajrzał do skrzynki, ale nie znalazł żadnej więcej poczty. Listonosz znowu się spóźniał, ale zimą często się to zdarzało. Zamknął skrzynkę i wszedł do ogrodu. Z przyzwyczajenia chciał zamknąć furtę, ale przypomniał sobie, że ta dziewiętnastowieczna żelazna brama się zacinała. Przymknął ją mocno, przeszedł przez ogród - na śniegu pozostały tylko jego ślady. Rzadko miewał gości, wszyscy omijali jego dom z daleka, bali się. Odwyzczaili się od mrocznych budowli z łukowymi oknami, gargulcami nad drzwiami. Nawet w dzień przypominała katedrę. Nocą była niewidoczna.

Podszedł do ciężkich drewnianych drzwi. Wymacał ręką mosiężnego gargulca i pociągnął za jego szczękę. Zza drzwi dał się słyszeć cichy dźwięk organ i melodyjny kobiecy głos. Bardzo lubił taką muzykę, kontrast siły i subtelnej delikatności. Mroczna, smutna a jaka piękna, nostalgiczna, opowiadająca o uczuciach i przemijaniu. Tą odmianę gotyku lubił najbardziej, zresztą pasowała do tego miejsca.

Odczekał chwilę nim pieśń całkiem nie zamilknie, ale nikt nie otworzył mu drzwi. Wyjął poślaczany klucz z poły płaszcza i włożył go w oko gargulca, przekręcił dwa razy i jednym pchnięciem

otworzył obie części drzwi - rozwarły się jak brama. Zatrzasnął je i zaryglował. Uderzyła go niesamowita cisza.

- Jesteś w domu? - Nie otrzymał odpowiedzi. - Pewno znowu gdzieś wyszła ze znajomymi - pomyślał.

Mimo, że na zewnątrz dopiero nadchodził zmierzch a zegar w pokoju nie wybił jeszcze godziny 4-tej po południu w domu panowały nieprzeniknione ciemności. Znalazł wyłącznik, przekręcił go i całe pomieszczenie zalała fala światła. Świece w sześcioramiennych żyrandolach zapaliły się równocześnie. Płaszcz powiesił na masywnym, drewnianym wieszaku w drugim pokoju. Teraz w dobrym świetle mógł jeszcze raz przyjrzeć się listowi. Wyjął go z kieszeni, rozłożył i krzyknął ze zdziwienia - miał przed sobą prawie czystą kartkę. Treść jakby nigdy nie istniała. Tylko na rogach pozostały te dziwne symbole.

- Jest tylko jedna szansa - pomyślał.

Zrzucił buty i na bosaka wbiegł po krętych schodach na piętro. Nawet nie zgasił światła na dole. Świece i tak były wieczne.

Pamiętał, że odkąd odziedziczył z siostrą ten dom ani razu nie nawaliło oświetlenie.

Oparł się o barierkę. Spojrzał na koniec ciemnego holu. W żadnym pokoju nie paliło się światło. Drzwi były pozamykane. Przekręcił klucz w zamku i wszedł do jednego pokoju, nazywanego przez niego biurem. Faktycznie tak było urządzone - stary segment z ciemnego drewna po brzegi wypełniony książkami naprzeciwko drzwi, biurko 4-ro szufladowe i stylowe fotele, wszystko było tak dobrane, żeby na pierwszy rzut oka stanowiło komplet. Pamiętał jak znosili te meble ze strychu. Zapalił lampę stojącą na strychu i usiadł na krześle. Wokół niego leżało kilka niezapalonych rachunków, zebrał je na kupkę i rzucił na drugi fotel. Rozłożył ostrożnie list. Kartka była czysta nie licząc tajemniczych znaków na rogach. Przypomniał sobie, że jego siostra przyniosła kiedyś jakąś książkę o tajemniczych znakach i symbolach, ponoć przeklętą. Przeszukał cały segment i znalazł ją dopiero po dwóch godzinach. Przejrzał ją, ale niczego szczególnego się z niej nie dowiedział. Owszem, były zdjęcia i opisy różnych symboli, ale nie tego, czego szukał. Były podobne, porównywał je z listem, każdą kreseczkę, ale jednak nie identyczne. W całej książce znajdowała się tylko jedna przydatna informacja. Ponoć istniały kiedyś języki magiczne składające się z 24-ro literowych alfabetów i co ciekawe - zawsze były pisane ludzką krwią. Potwierdziło to tylko jego wcześniejsze spostrzeżenia. Zamknął

książkę i odłożył na półkę. Spojrzał na busolę leżącą koło lampy - była pierwsza w nocy.

- Jak ten czas szybko mija - pomyślał. Jego siostra jeszcze nie wróciła. - Na pewno znowu wróci nad ranem. W razie, czego i tak ja usłyszę a jak nie to ma zapasowe klucze.

Wziął list, żeby go złożyć i schować do kieszeni, ale gdy światło lampy padło na papier od tyłu coś zobaczył.

- Oczywiście. Atrament sympatyczny! - Krzyknął. Sam się dziwił, czemu wcześniej o tym nie pomyślał.

Podniósł papier i aż usiadł na krześle. Nie umiał wykrztusić z siebie słowa. Na kartce ktoś wyraźnie pisał:

"Uratuj nas póki jeszcze możesz.
Johnie, jesteś naszą ostatnią nadzieją i..."

Ostatnich słów nie umiał odczytać - były rozmazane, jakby napisane w pośpiechu. Ale skąd ten ktoś znał jego imię? Owszem, był dość znany z racji zawodu, który wykonywał, ale przecież cały świat go chyba nie znał. Przeszukał wzrokiem jeszcze raz trzymaną w rękach kartkę, musiał do tego założyć mocniejsze okulary, które wyjął z szuflady z biurka, ale nie znalazł żadnej wzmianki o nadawcy - ani adresu ani podpisu, ale był niemal pewien, że napisała go ta sama ręka, co adres na kopercie.

Płynące falą myśli brutalnie przerwał mu odgłos otwieranej furtki. Już dawno należało ją naprawić, skrzypieniem umarłego mogłaby obudzić. Nie wyrzwał nawet przez okno. Miała klucze. Złożył list i schował do kieszeni - zajmie się nim rano. Zgasił lampę, położył się na kanapie i utonął w natłoku myśli. Nawet nie wiedział, kiedy Morfeusz wziął go w swe objęcia.

Rozdział I

Dzień z pozoru niczym nie różnił się od nocy. Gdyby detektyw miał inny charakter pewnie już dawno uciekłby z tego domu, czasem sam się sobie dziwił, że jeszcze tego nie zrobił. Czuł jednak, że ten dom go jakoś przyciąga - może krył w sobie jakieś mroczne tajemnice z przeszłości, może tradycje rodzinne a może korzenie. Nawet jego siostra czasami nazywała go ekscentrykiem, chociaż mieszkała w tym samym domu. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. A może faktycznie był inny?

Z zadumy wyrwało go dopiero ciche, ledwo słyszalne stukanie do drzwi.

- Dziwne - nie przypominał sobie, żeby zamykał drzwi do swojego pokoju.

Wyjął kaganek spod kanapy i zapalił świeczkę. Przy jej nikłym świetle spojrzał na busolę. W komnacie było ciemno jak w środku bezksiężycowej nocy.

- Piąta rano - pomyślał. - Wejdz.

Drzwi otworzyły się z głuchym zgrzytem. W progu stanęła młoda dziewczyna. W ręku trzymała zapalony kandelabr. Ze zdziwieniem stwierdził, że jest już całkowicie ubrana. Ponownie spojrzał na busolę - tylko on umiał za jej pomocą odczytać godzinę.

- Nie za wcześnie?

- Przecież wiesz, że dzisiaj muszę być nieco wcześniej w pracy.

Nic nie odpowiedział. Zapadła chwila krępującej ciszy. Oczywiście, że wiedział. Przecież dzisiaj był wyjątkowy dzień. Tego dnia, dzień po jej urodzinach była promocja w bibliotece - każda osoba, która się zapisze tego dnia dostanie książkę w prezencie. I właśnie tego dnia miała być nowa dostawa. Ale nie to było najgorsze, ale to, że biblioteka była zarejestrowana na niego.

W dokumentach on był jej właścicielem i zgodnie z prawem tylko on mógł kwitować odbiór przesyłek. A że listonosz nie odwiedzał ich już od kilku dni, musiał osobiście udać się na pocztę.

Tknięty nieokreślonym przeczuciem zapytał:

- O której wróciłaś do domu?

- Byłam cały czas i czekałam na Ciebie. Specjalnie zostawiłam zapalone światło w korytarzu.

Nic nie odpowiedział. Tępo patrzył jak zamyka za sobą drzwi. Słyszał jeszcze jak schodzi po schodach. Wstał wolno z kanapy.

* * *

Wolno zszedł do kuchni. Nie zataczał się, przecież nic nie pił ani tego dnia ani żadnego wcześniejszego, ale i tak czuł się jakiś nieswój. Tłumaczył to sobie brakiem snu - ostatnio mało sypiał. Jeszcze ten list. Cały czas podświadomie przyciągał jego umysł. Nie umiał sobie tego wytłumaczyć.

Jakby na domiar złego nie zdążył zjeść śniadania. Gdy tylko wszedł do kuchni zobaczył stojącą w progu Nikki - kobietę, która zawsze go poganiała. Ona miała w sobie jakąś siłę, która w każdej chwili potrafiła go zmobilizować, wręcz zmusić do działania. Nawet tego dnia nie było inaczej. Wystarczyło, że rzucił na nią okiem a już dostrzegł ten niesamowity błysk w oczach. Gdyby nie była kobietą, swym wzrokiem niczym wąż ukąsiłaby niejednego przeciwnika, każdego z wyjątkiem jego. Mimo to, że znał ją niemalże od dziecka, gdy na nią spojrzał odebrało mu mowę.

Jej uroda onieśmieliłaby każdego śmiertelnika, a on mimo swych zdolności też był przecież zwykłym człowiekiem.

- Jej młode, piękne piersi... Jak chciałbym się w nie wtulić - myślał.

Nieraz tonął w takich marzeniach, ale wiedział, że to tylko chore myśli.

- Kimże ja jestem, żeby bawić się w Boga?

Nie potrafił oderwać od niej wzroku. Ale ona tylko stała. Nic nie mówiła, tylko stała w swej wyzywającej, kuszącej pozie.

Nie był w stanie powstrzymać swego instynktu. W jego oczach zapłonęła żądza.

Zbliżył się do niej kilka kroków.

- Zamówiłam powóz. Pewno już stoi przed domem.

Jakby obuchem dostał w głowę. Jakby na potwierdzenie jej słów usłyszał rzenie koni przed bramą. Zaklął pod nosem. Miał nadzieję, że tego nie usłyszała, a gdyby nawet to i tak pewnie nie dałaby tego po sobie poznać.

- Włożę na siebie tylko płaszcz. Daj mi chwilę.

Nie odezwała się ani słowem, ale miał wrażenie jakby wyczytał w jej oczach niemą ironię.

- Ach gdyby tylko nie była... - nie dokończył swoich myśli.

Odwrócił się i wyszedł do przedpokoju.

Faktycznie, woźnica czekał już przed bramą. Nikki siedziała już w środku powozu. Zamknął drzwi na trzy zamki. Sąsiedzi pewnie jeszcze spali, ale niemiłosiernie skrzypiąca furtka z pewnością ich obudziła. Uśmiechnął się ironicznie i wsiadł do dorożki. Nikki spojrzała na niego z wyrzutem.

- Nie śpieszyłeś się.

Spojrzał w jej zielone jak toń wodna oczy.

- Został nam kwadrans.

- Zdażymy. Poczta jest koło biblioteki.

Woźnica nie pytał o drogę. Chwycił cugle i popędził konie. Minęli kilkanaście domostw i jakieś ruiny - wyglądały jak pozostałości starego zamczyska.

W zaledwie kilka minut powóz zatrzymał się przed pocztą. Gdy wysiedli i zapłacili woźnica jakby od niechcenia zauważył:

- Krwawe i nieme chmury wiszą w powietrzu - popędził konie.

- Dziwny ten woźnica. O czym on mówił? - Zapytała Nikki.

- Nie wiem. Nie mniej dziwny niż my - pomyślał, gdy wchodzili na pocztę.

Jak zwykle o tej porze byli jedynymi petentami. Poczta była mała i ponura. Paliły się jedynie trzy lampy. Energicznym krokiem zbliżył się do jedynego okienka. Za szybą pojawił się starszy człowiek. Ponoć znał wszystkich w miasteczku. Nie było w tym nic dziwnego, bo miasteczko było niewielkie.

- Dzień dobry Panu. Witam Panienkę - rzekł cicho, gdy się zbliżyli. - Chciałby Pan nadać list?

- Wręcz przeciwnie Simon, chciałbym odebrać przesyłkę.

Mężczyzna otworzył usta ze zdziwienia, ale zaraz potem jego twarz stała się blada i pot wystąpił mu na czoło.

Wszyscy wiedzieli, że Simon jest bardzo sumienny i bał się popełnić jakikolwiek błąd - był już starym człowiekiem i nie miał żadnej rodziny, praca na poczcie była wszystkim, co miał i nie chciał jej stracić.

- Co się stało? Żle się Pan czuje? - Zapytała Nikki.

Jej słodki głos mógłby złamać niejedno serce. Oczy napłynęły jej łzami.

- Nie, nie Panienko.

Schylił się pod ladę i wyjął stary, gruby zeszyt. Szybko przerzucił kilka kartek. Palcem odszukał odpowiednie nazwisko i przeczytał:

- Było kilka paczek dla Pana, ale wszystkie zostały wysłane na Pański adres do Przekłętej Doliny. Listonosz wczoraj zawiózł je na miejsce. Nie dotarły?

- Ale przecież ja tam nie mieszkam.

W odpowiedzi Simon pokazał zeszyt. Dużymi literami widniało "John Mothman - Przekłęta Dolina". Detektyw nie dowierzał własnym oczom.

- Została tylko jedna przesyłka dla Pana, ale nie ma na niej adresu ani nazwiska nadawcy.

Nagle zegar nad okienkiem wybił godzinę 05.30. Nikki drgnęła.

- John i co teraz?

- Idź do biblioteki. Zaraz przyjdę.

- Pocałowała go w policzek i wybiegła z poczty.

- Niech Pan pokaże paczkę.

Simon wyjął ją spod lady. Gdy Tylko John na nią spojrzał oczy natychmiast nabiegły mu krwią. Zaadresowana była na "J.M.". Literę napisała ta sama ręka, co list, który znalazł dzień wcześniej w skrzynce. Rozerwał paczkę i jego oczom ukazała się przepięknie złożona na brzegach książka. Jej tytuł brzmiał: „Mary Mothman - Autobiografia”. Bez słowa wybiegł z poczty. Nawet nie podziękował Simonowi ani nie pokwitował przesyłki.

Nie pamiętał nawet czy podziękował Simonowi. Chyba nawet się z nim nie pożegnał. Schował książkę, żeby nie zamokła i wybiegł z poczty. Skierował się w stronę biblioteki. Poślizgnął się na krawężniku i wylądował twarzą w kałuży. Nie zważał na nic. Wytarł rękawem twarz na tyle by widzieć drogę i pobiegł dalej.

Serce biło mu jak oszalałe. Jeszcze tylko dwie przecznice. Przebiegł już prawie całą drogę. Oparł się ciężko o barierkę. Już tylko trzy schody dzieliły go od drzwi. Wskoczył na nie bez namysłu. Chwycił klamkę i szarpnął - były zamknięte od wewnątrz. Uderzył w nie kilka razy pięścią, ale grzmot go zagłuszył. Zaklął siarczyście i naparł na drzwi całym ciałem, ale ustąpiły dopiero za drugim razem.

Błyskawica rozświetliła okolicę, gdy wpadł do biblioteki. W przeblasku światła, błyskawice następowały jedna po drugiej już niemal bez przerwy, ujrzał Nikki stojącą w drzwiach prowadzących do głównej sali. Lampa trzęsła jej się w ręce.

Dziewczyna z przerażeniem w oczach spoglądała raz na wyłamane z zawiasów drzwi a raz na podnoszącego się z nich mężczyznę. Nie poznała go w pierwszej chwili i krzyknęła:

- Co Pan?! Biblioteka jeszcze zamknięta! Niech Pan wyjdzie albo wezwę żandarmów!

Odwróciła się i pobiegła do sąsiedniego pomieszczenia.

- Nikki!

Usłyszała krzyk i szybkie kroki zbliżające się w jej kierunku. Chwyciła stojący na szafce wazon, ale nie zdążyła zacząć się za drzwiami.

Z początku myślała, że burza zniekształciła głos mężczyzny i upodobniła go do głosu Johna; że miała tylko przesłyszenia, ale gdy stanął w progu i zapalił światło wazon wypadł jej z rąk i potłukł się na drobne kawałeczki. Oparła się o ścianę i zakryła twarz dłońmi.

Wyobrażał sobie jak tragicznie musiał wyglądać. Dopiero teraz zauważył krew na rękawie, jednocześnie poczuł dotkliwy ból nosa. Był cały zabłocony, brudny i śmierdziało od niego potem.

Nikki uchyliła nieco okno. Otrząsnęła się z pierwszego wrażenia.

- Jak Ty wyglądasz. Siadaj - przysunęła mu krzesło. - Zaraz zrobię Ci okład.

Gdy wyszła z sali podniósł i dopasował wyłamane drzwi do zawiasów.

- Prawie idealnie - pochwalił sam siebie półgłosem i wyjrzał na, zewnątrz, ale nic się nie zmieniło - nadal padał śnieg z deszczem. W taką pogodę mało, kto mógłby poznać, że drzwi są już tylko atrapą.

John zadowolony ze swego dzieła dopiero teraz usiadł przy stoliku. Dotknął złamanego nosa i pod palcami poczuł lepłą ciecz. Jeszcze krwawił. W tej samej chwili usłyszał słowa nagany:

- Nie dotykaj. Trzeba to zdezynfekować, bo wda się zakażenie.

Nikki zbliżała się do niego energicznym krokiem. W rękach niosła mały flakonik z jakimś nieznanym mu specyfikiem i kawałek czystego białego materiału. Wylała przeźroczystą zawartość buteleczki na materiał i zbliżyła "opatrunek" do jego nosa.

- Z początku może troszkę szczypać, ale wytrzymasz. Przyłóż go do nosa a ja wywieszę kartkę, że biblioteka dzisiaj będzie później otwarta.

- Dzisiaj zamykamy bibliotekę.

Chwycił ją tak zdecydowanie za rękę, że wypuściła z niej opatrunek. Zaskoczyło ją zachowanie brata.

- Dzisiaj nie otwieramy biblioteki - zdecydował. - Zapal więcej światła i siadaj.

Zawahała się, ale zrobiła, co kazał. Gdy już siedzieli naprzeciwko siebie John wyjął spod poły płaszcza książkę i w milczeniu, prawie z namaszczeniem położył ją na stole.

- To dla mnie? - Nikki prawie krzyknęła z radości i z nieukrywaną nadzieją w głosie. W jej oczach znów tańczyły ciepłe płomyki szczęścia. Chciała podbiec i ucałować brata z radości, że

jednak nie zapomniał o jej urodzinach. Ale nie wypadało jej tego robić, nie była już dzieckiem. Dzisiaj stała się kobietą, przynajmniej psychicznie a fizycznie - ciągle wierzyła, że znajdzie tego jedyne.

- To nie to, co myślisz - odwrócił wzrok, żeby nie widzieć rozdzierającego serce zawodu w jej oczach i spojrzał na książkę. - To coś o wiele cenniejszego - powiedział jakby chciał się przed nią usprawiedliwić. - Wiesz, co to jest?

- Książka - odpowiedziała lekceważąco. - Jak każda inna. Co może być w niej takiego interesującego?

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć, przecież nawet nie przejrzał tej książki, od razu przybiegł z nią do biblioteki. Ale...

- Popatrz na jej autora a raczej autorkę - poprawił się specjalnie podkreślając ostatni wyraz i wskazał na okładkę.

Nikki otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- To książka o naszej mamie. Kto ją napisał?

- To autobiografia - na potwierdzenie swoich słów pokazał jej tłoczony napis "Mary Mothman" na okładce.

- Pięknie zachowana. Skąd ją masz? Z jakiegoś muzeum? Musi być bardzo stara.

- Wręcz przeciwnie, Nikki. Ktoś mi ją przysłał. Książka jeszcze pachnie drukiem a raczej...

- Krwią - dokończyła przerażona. Wzięła książkę i szybko przewróciła kilka kartek. Johnowi mignęła przed oczami data jej wydania.

- To jej charakter pisma. Książka też wygląda jakby była nowa.

- Bo jest nowa.

Popatrzyła na niego.

- Chyba oszalałeś. Nasza matka nie żyje. Też do niedawna jeszcze się łudziłam. Ale to już dziesięć lat. John, ona już nie wróci. Musimy się w końcu z tym pogodzić.

- Nie znaleźliśmy ciała - upierał się John. - Śledztwo nic nie wykazało.

- Ty i to Twoje śledztwo. Wiedziałam, że kiedyś ta praca zacznie na Ciebie źle wpływać.

Powinieneś wyjechać gdzieś, odpocząć trochę.

- Tak, masz rację siostrzyczko, tak zrobię, ale jak rozwiążę zagadkę jej zaginięcia.

Chciała coś powiedzieć, ale nakazał jej milczenie przykładając palec do ust. Wziął książkę z jej rąk, odszukał datę, która

wcześniej mignęła mu tylko przed oczami a gdy był już pewien, że się nie przywidział wskazał ją Nikki.

- Sama zobacz.

Dziewczyna nie wierzyła własnym oczom. Z wrażenia głos zamarł jej w gardle.

- Tak, ta książka została wydana w tym roku i nie mamy wątpliwości, że została ona napisana przez naszą mamę. Własnoręcznie - podkreślił. - Ale nie to mnie zastanawia. Wiemy już, że nasza matka żyje - zdawał sobie sprawę, że nie w pełni przekonał swoją siostrę, ale... - Zastanawiają mnie tylko te znaki na rogach książki - wskazał je palcem.

- Może to jakieś symbole, też są napisane krwią. Myślisz, że to może być krew naszej mamy?

- Nie mam tej pewności - odpowiedział. - Dostałem też list z takimi samymi znakami. Przejrzałem książki w domu, ale nie znalazłem w nich nic podobnego. Chyba, że poszukamy jeszcze tu, w bibliotece - zasugerował.

- A może ja Państwu w czymś pomogę?

Oboje jednocześnie spojrzeli w stronę skąd dobiegł ich nieznamy głos. Przed nimi stał mężczyzna. Cała jego postać była niesamowita. Ale najdziwniejsze były jego oczy - zdawały się zupełnie nie pasować do całej postaci, były to oczy bardzo starego człowieka, jakby sprzed wieków. Patrzył na nich spod szerokiego ronda czarnego kapelusza.

Pierwsza z wrażenia otrząsnęła się Nikki.

- Kim Pan jest? - Wstała zza stołu.

- Różnie mnie nazywają. Ale Wy mówcie na mnie Cagliostro.

Rozdział II

Był wyższy od Johna o głowę, a ubrany cały na czarno wyglądał na jeszcze wyższego. Popatrzył na stół i leżącą na nim otwartą książkę niby od niechcienia, potem ponownie przeniósł wzrok na Johna i Nikki.

- Biblioteka dzisiaj zamknięta - odezwała się ostro Nikki.

- Zdaje się, że mogę Wam w czymś pomóc a Wy mnie - odparł gość zupełnie nie zwracając uwagi na jej słowa, jakby jej w ogóle nie było w bibliotece.

John nie odezwał się ani słowem, zmrużył tylko oczy. Nikki stanęła na wprost intruza, a ten jakby dopiero teraz ją spostrzegł. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy. Jego oczy zatrzymywały się tylko na ponętniejszych częściach ciała młodej kobiety. Nikki czuła jak jej nogi uginają się pod spojrzeniem jakby mieniących się różnymi kolorami, nieprzeniknionych, ale jakże czułych oczu gościa.

Może zapach jej perfum to sprawił a może dostrzegł, co się dzieje, John otrząsnął się z marazmu.

- W jaki sposób?

Cagliostro w milczeniu siadł naprzeciwko niego.

- Jak już wspominałem jestem Cagliostro, a właściwie Hrabia Cagliostro. Myślę, że Pan w swoim zawodzie spotkał się już z pewnymi informacjami na mój temat - dodał nieskromnie.

John próbował wrócić pamięcią do przeszłości. Faktycznie, raz czy dwa razy to nazwisko przewijało się w jego dokumentach. Nawet jakaś grubsza sprawa była z nim związana, ale teraz nie mógł sobie przypomnieć, o co w niej chodziło, może o jakieś oszustwa albo uprawianie czarnej magii. Najpewniej o to drugie - zawsze na koniec wieku ludzie wracali do niebezpiecznych praktyk. Postanowił baczniej przyjrzeć się Hrabiemu.

- Mogę się przyjrzeć księdze? - Cagliostro spytał dla formalności. Położył na niej dłoń i energicznie przysunął do siebie. W słabym oświetleniu komnaty Nikki dostrzegła sygnet, który odbijał się upiornym światłem. Nie wiedziała, czemu ale poczuła jakiś niedający się wytłumaczyć pociąg do tajemniczego gościa. Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana, a serce chciało jej wyskoczyć z piersi. Wsłuchiwała się w każde wypowiedane przez niego słowo, jego czuły namiętny głos rozpalał młode zmysły, a oddech czuła na swoim ciele.

- To bardzo stare i prawie zupełnie już zapomniane pismo - Cagliostro przeciągał każdą sylabę. - Te symbole, zwane runami, były używane zarówno jako zwykły alfabet i jako tajemny język

magii. Dla wzmocnienia ich mocy często barwiono je własną krwią. Widzę, że ktoś próbuje wskrzesić starą tradycję - spojrzał czujnie na Johna. Ich oczy się spotkały i przyglądali się sobie w milczeniu jakby się badali, jak rewolwerowcy tuż przed pojedynkiem. Napięcie niebezpiecznie wzrastało. Nikki chciała przerwać irytującą ciszę i zwrócić na siebie uwagę Cagliostro, ale Hrabia, jakby domyślając się jej zamiarów, zapytał nie spuszczając wzroku z przeciwnika.

- Skąd macie tę księgę?

- Dostaliśmy... - zaczęła swym kuszącym głosem Nikki, ale John natychmiast jej przerwał i sam dokończył:

- Dostaliśmy ją pomyłkowo. Listonosz nam dzisiaj przyniósł, ale pewnie pomylił adresatów - gładko skłamał.

- Widocznie musiał ją dostarczyć zanim go widziałem, bo mnie mijał wyjeżdżając z miasta. Bardzo się śpieszył - mówiąc to Cagliostro nawet nie zmrużył oczu. Spojrzał na okładkę.

Nikki chciała coś powiedzieć, ale John ponownie storpedował ją wzrokiem.

- Ciekawy zbieg okoliczności. Wygląda na to, że Mothman to dość popularne nazwisko. Rozumiem, że do tej książki był dołączony jakiś list. Mogę go zobaczyć? Choć pewno niejedna osoba Pańskiego nazwiska nosi także Pańskie imię - zastanawiał się głośno.

- Myślę, że w tej sytuacji nie powinna nas interesować treść listu, a tylko miejsce zamieszkania adresata. Co nas interesuje czyjaś korespondencja?

- Słusznie - przytaknął Cagliostro. - Ale w Pańskim zawodzie...

- Właśnie w moim zawodzie najważniejsza jest dyskrecja - uciął kategorycznie.

Wyjął z kieszeni zaadresowaną kopertę i położył ją tuż przed Hrabią. Ten tylko spojrzał na nią przelotem.

- Przekłeta Dolina - zamyślił się. - Kiedy chcieliby Państwo tam jechać? - Spojrzał znacząco na Nikki.

John szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Kątem oka dostrzegł jak w oczach Nikki zapaliły się ogniki i cała jej twarz oblała się rumieńcem. Dobrze znał dziewczęce żądze, które w niej drzemały. Cagliostro miał ją na wyciągnięcie ręki.

- Pomyślałem, że najlepiej będzie osobiście przekazać tę księgę adresatowi. Nie możemy pozwolić, żeby znów trafiła w niepowołane ręce.

John miał dziwne przeczucie, co do siedzącego naprzeciw niego gościa, ale nie mógł nie przyznać mu racji - lepiej jak sam odda list. Poza tym coraz bardziej intrygowała go ta sprawa.

Cagliostro, jakby odgadując jego myśli rzekł, znów patrząc mu prosto w oczy:

- Takie przypadki raczej rzadko się zdarzają. Pan jest dość znaną osobistością i często można o Panu czytać w różnych gazetach. Nie sądzę, żeby to był przypadek, a jeśli mam rację to sprawa godna kogoś takiego jak Pan.

- Ale wystarczy nas dwóch.

- Ta biblioteka, z tego, co wiem z dobrych źródeł, jest Pańską własnością. Zgadza się?

- Ma Pan dobrych informatorów. Kim oni są?

- Nigdy nie zdradzam swoich mocodawców, ale mogę Pana zapewnić, że udzielę nam wszelkiej pomocy. A to najważniejsze. Zdaje mi się także, że ta młoda kobieta może nam pomóc.

Johnowi zdawało się, że dostrzegł dwuznaczny uśmiezek na twarzy rozmówcy.

- Nikki w żadnym wypadku z nami nie pojedzie.

- Niech Pan pomyśli rozsądnie. Ja mało wiem o tej sprawie - tylko znam to pismo, Pan ostatnio siedzi za biurkiem; z braku czasu to ona prowadzi bibliotekę. Jej wiedza na temat niektórych książek może nam się bardzo przydać.

- Wykluczone - powtórzył i tak spojrzał na Nikki, że spuściła wzrok i wolno wyszła do drugiej komnaty. Gdy zamknęła drzwi usłyszał jej cichy płacz. Też posmutniał. Żał mu jej było, ale już podjął decyzję i nie zamierzał jej zmieniać.

Cagliostro także patrzył w ślad za nią. Może miał nadzieję, że jej ognisty temperament weźmie górę. Że zbuntuje się, wróci i będzie walczyć, ale nic takiego się nie stało - zamknęła za sobą drzwi i płakała. Hrabia był zawiedziony, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Myślę, że jutro moglibyśmy wyjechać - powiedział beznamietnym głosem. - Spotkajmy się jutro w południe na stacji Jednego Szlaku. Odpowiada to Panu? Myślę, że zdąży się Pan spakować.

- Trzy dni urlopu dobrze mi zrobi.

Hrabia rzekł wolno, przeciągając każdy wyraz:

- Sprawa może wymagać od nas dłuższego pobytu w dolinie.

John chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Hrabia, zupełnie niespodziewanie, wstał od stołu i wyciągnął rękę na pożegnanie. John także się podniósł.

- A jaki Pan ma w tym interes? - Zapytał, gdy się żegnali.

- Powiedzmy, że jest mi Pan zapisany w gwiazdach.

Nim zdążył zadać kolejne pytanie, Cagliostro omiótł swym długim płaszczem podłogę i wyszedł z budynku. Przy wyjściu rzucił tylko przez ramię:

- Do jutra John.

Nie wiedział czy to świst wiatru czy głos Hrabiego, ale zdawało mu się, że słyszał jeszcze:

- Do zobaczenia wkrótce Nikki - ciarki przeszły mu po ciele. Ten głos wydawał mu się jakiś taki inny, jakby nie ludzki.

Siedział jeszcze chwilę w milczeniu. Może był przeczulony, ale Cagliostro mu się nie podobał. Ale nadal nie mógł sięgnąć pamięcią w przeszłość. Jakby ktoś wyciął z niego wiadomości tak jak kasuje się dane z komputera.

Wsluchiwał się w odgłosy pokoju. Na zewnątrz ustawała już burza. Mógł spokojnie iść do domu, zastanowić się nad zaistniałą sytuacją i przygotować się do wyjazdu. Dziwna cisza dochodziła z komnaty, w której zamknęła się Nikki. Czyżby zasnęła? Drzwi nie były zamknięte, chociaż wcześniej - był tego pewien - słyszał jak przekręcała klucz w zamku. Ale nie to było najdziwniejsze, ale to, że dziewczyny nie było w pomieszczeniu. Przeszukał wszystkie zakamarki. Ta komnata była właściwą biblioteką - ogromna, z kilkudziesięcioma szafami i regałami od podłogi do sufitu wypełnionymi najrozmaitszymi książkami, często nawet jemu niewiadomego pochodzenia. Nie wiedział, jakie tajemnice kryją te alfabetycznie opisane półki, wiedział natomiast, co ma zrobić. Tylko dla uspokojenia własnego sumienia podniósł książkę leżącą na najbliższej półce. Spojrzał na tytuł: "Zapomniane Symbole i Rytuały w Magii". Nazwiska autora nie był już w stanie odczytać. Odłożył ją na miejsce i dopiero teraz dostrzegł postrzępioną kartkę. Jej róg ledwo był widoczny z pod wiekowej okładki. Szybko rozłożył kartkę i podszedł z nią bliżej światła. Stał pod samym żyrandolem. Na kartce były napisane tylko cztery słowa. Bez trudu rozpoznał pismo Nikki. Te cztery słowa wystarczyły, żeby kropelki potu wystąpiły mu na czoło i cały pobladł ze strachu. W jednej chwili stracił resztkę siły i ciężko opadł na krzesło. Kartkę położył na biurku i przyglądał się jej otępiały. Blask świec bijący z żyrandola tylko podkreślał, jakby patrzące na niego ironicznie litery. Przeczytał jeszcze raz wiadomość od Nikki.

- Jestem w Przeklętej Dolinie.

- Czy to możliwe, żeby pojechała sama? Ale jak? Kiedy? Musiała się wymknąć jak był zaprzątnięty rozmową z Hrabią. Ale przecież trwało to bardzo krótko. A może ta biblioteka ma jakieś drugie drzwi, o których nic nie wiedział. Ale skąd wiedziała gdzie jest ta dolina i jak się do niej dostać? To pewnie sprawka tego Cagliostro. Nikki na pewno jest już w drodze a ja muszę się dowiedzieć, z kim mam do czynienia.

Zapiął płaszcz, schował książkę, żeby nikt jej nie widział i wybiegł z budynku. Nawet nie pogasił świateł ani nie zamknął drzwi - najwyżej zawistni ludzie puszczą bibliotekę z dymem. Teraz najważniejsze było życie Nikki.

Wiedział, co ma robić.

Słońce wolno wychodziło zza chmur. Może, chociaż troszkę ogrzeje świat. John podszedł do rozmawiającego z kimś nieopodal jakiegoś woźnicy.

- Ma Pan teraz wolny kurs?

Tamten spojrzał na niego groźnie. Nie był zadowolony, że ktoś mu przerywa opowiadanie plotek.

- Mam - odparł sucho i ponownie zwrócił się do swego rozmówcy.

- Niech mnie Pan zawiezie na Guardian Street.

- Panie... - zaczął grubiańsko woźnica.

- Mothman - To jedno słowo wystarczyło, żeby zmienił swój stosunek do Johna. Widocznie skojarzył fakty: miasto, ulicę i nazwisko. Mógł nie rozpoznać Johna, szczególnie, że teraz wyglądał jak żebrak, a nie jak szanujący się stróż prawa - zresztą zawsze uchodził za ekscentryka. Przyzwyczał się do tego. Nawet był zadowolony, że wyróżniał się jakoś z tłumu.

Nie oglądając się dłużej na woźnicę, wskoczył na zydel furmanki. Nie musiał długo czekać. Nim się obejrzał skonfundowany woźnica szybko pożegnał się ze swoim rozmówcą i energicznie chwycił lejce. Siadł przed Johnem i z miejsca ruszyli galopem. Woźnica próbował się wytłumaczyć, przed Johnem ze swojego zachowania, ale ten słyszał tylko, co któreś jego słowo. Zrozumiał, że tamten jest nowy w mieście i że tylko dorabia jako woźnica. Tak naprawdę jest lekarzem i ma własną praktykę. Reszty nie dosłyszał, ale nie pytał, bo już dotarli do miejsca podróży. John zeskoczył lekko z wozu, poślizgnął się na zamarzniętej kałuży, ale utrzymał równowagę.

- Ile płacę? - Zapytał sięgając do kieszeni płaszcza.

- Nic - woźnica uśmiechnął się przyjaźnie.
- Ale ja nie jestem żebrakiem.
- Wiem. Powiedzmy, że jest Pan moim honorowym klientem. Jeśli mi Pan zapłaci, będę czuł się zobowiązany osobiście zwrócić Panu pieniądze.

John wyjął z kieszeni ile uznał za stosowne i wręczył pieniądze woźnicy.

- Wspominał Pan, że jest lekarzem. To na praktykę.

Woźnica chciał coś powiedzieć, ale John machnął tylko ręką i dodał:

- Poza tym Pańska wiedza medyczna może mi się kiedyś przydać.

Odwrócił się i zaczął wchodzić po krętych schodach do budynku. Usłyszał za sobą oddalający się chrzęst końskich kopyt na śniegu.

Pokonał kilkanaście schodów i znalazł się na wysokości drugiego piętra budynku. Zawsze wchodził do swojego biura tylnym wyjściem - omijał w ten sposób liczne korytarze, biura zazdrosnych pracowników, docinki i zaczepki ze strony współpracowników. Cenił sobie swój czas.

Przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka. Cicho zamknął za sobą drzwi - nie chciał, żeby ktoś wiedział, że jest w pracy, żeby ktoś mu przeszkadzał. Zanim oczy przyzwyczyły mu się do ciemności potknął się o coś, jakby krzesło leżące na środku biura, ale nie przypominał sobie, żeby je przestawiał. Po paru krokach dotarł do okna i otworzył okiennice. O mało nie krzyknął z przerażenia, gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca ogarnęły pomieszczenie. Nie było go zaledwie dwa dni, a nie poznawał swojego biura. Dokumenty potargane, niektóre pomięte leżały prawie wszędzie, gdzie się rozejrzał. Meble połamane, nie miał nawet, na czym usiąść. Z każdym krokiem, gdy przemierzał biuro, słyszał pod butami chrzęst drzazg. Nawet metalowy sejf miał wyłamany zamek.

- Ktoś się nieźle natrudził. Ale czego szukał? Może tego, co ja - pomyślał i zaczął grzebać w papierach. Szukał jakichś gazet, wycinków prasowych albo notatek służbowych. Nie znalazł nic, co mogłoby go naprowadzić, chociaż na ślad Cagliostro.

Zawiedziony usiadł na podłodze i ukrył twarz w dłoniach. Nie miał już innego wyjścia, musiał jechać w ciemno i zaufać przeznaczeniu. Wszystkie możliwe dowody przemawiające

przeciwko Hrabiemu przepadły. Podniósł z podłogi kawałek papieru i poszukał czegoś do pisania i do przytwierdzenia jej do drzwi. Znalazł ołówek, sam nie wiedział gdzie, jakby sam nawinął mu się pod rękę. Napisał kilka słów i przyczepił kartkę do futryny od strony korytarza. Ponownie zamknął okiennice i wyszedł z budynku tak jak wszedł. Nikogo nie zawiadomił o włamaniu - wolał wszystko załatwić osobiście.

Gdy zszedł po schodach, skierował się w stronę domu. Postanowił się przespacerować, może powiew świeżego powietrza podsunie mu jakiś pomysł do głowy.

* * *

Z drugiej strony Guardian Street do Budynku Straży, zaprzęgnięta w kilka koni zbliżała się furmanka. Siedzący w niej mężczyźni, co i raz poganiali woźnicę okrzykami.
- Obyśmy tylko zdążyli! - Basowy głos dochodził z jej środka.

Rozdział III

Furman nawet nie zdążył zatrzymać koni, gdy pierwszy mężczyzna wyskoczył na chodnik. Jego, do niedawna jeszcze lśniąco, czarne buty rozchlapały kałużę na boki. Ubrany w długi, czarny płaszcz mężczyzna zaklął pod nosem i krzyknął do swoich towarzyszy, aby się pośpieszyli.

- A zapłata? - Zapytał bezceremonialnie furman.

Mężczyzna, który pierwszy wyskoczył na chodnik, odwrócił się do niego myśląc, że to pytanie było skierowane tylko do niego i odparł zaczepnie:

- Za chwilę wracamy. Chyba, że nie chce pan na nas czekać. A może ma pan coś na sumieniu i woli nie stać przed gmachem tej instytucji?

Przy tych słowach mężczyzna w płaszczu spojrzał wymownie na swego rozmówcę. Ten spojrzał tylko na drzwi wejściowe do budynku i nic się już nie odezwał. Nasunął tylko kaptur na głowę, jakby dla niepoznaki.

Mężczyzna w czerni uśmiechnął się pod wąsem i ruszył w stronę wejścia. W między czasie z furmanki wysiedli pozostali mężczyźni. Wszyscy wyglądali tak samo, tak samo byli ubrani - jakby należeli do jakiegoś stowarzyszenia. Ale furman wolał nie wiedzieć za dużo. Odetchnął z ulgą, gdy wysiedli.

Przyprawiali go o gęsią skórę, chociaż sam nie wiedział, z jakiego powodu.

- A jeśli go już nie będzie? - Mężczyzna nie był tak pewny siebie jak ten, który rozmawiał z furmanem i teraz szedł tuż przed nim. Był młodszy, ale bardzo przypominał go nie tylko z wyglądu. Miał podobne, tylko nieco łagodniejsze rysy twarzy i tak samo zimne i przenikliwe oczy.

- I tak go znajdziemy, synu.

- Panowie do...? - Zagadnął ich strażnik pilnujący parteru. Mężczyźni spojrzeli na siebie równocześnie, po czym przenieśli wzrok na uniform młodego obrońcy prawa. Strażnik poczuł się bardzo nieswojo. Cofnął się o kilka kroków i znalazł się w pomieszczeniu, które służyło za recepcję, a z zewnątrz wyglądało jak dobrze zaopatrzony sklep z bronią. Sięgnął pod ladę jakby szukał pistoletu. W rzeczywistości jednak starał się wymacać dłonią dzwonek alarmowy.

- Nie chcieliśmy Pana przestraszyć tym najściem. Szukamy detektywa Mothmana. Wie o naszych odwiedzinach - gładko skłamał młodszy z mężczyzn. Gdy wypowiadał te słowa nawet

powieka mu nie drgnęła. Sięgnął do kieszeni i wolno, ale zdecydowanie zbliżył się do "budki" strażniczej. Guardianowi, widocznie mało jeszcze doświadczonemu w pracy, kropelki potu wystąpiły na czoło i zaczęły trząść się ręce. Ubrany w płaszcz męczyzna położył mu na biurku jakąś małą karteczkę. Strażnik spojrzał na nią i odetchnął nieco spokojniej. Mógł się domyśleć, że to prawnicy: świdrujące, zimne oczy i energiczny, zdecydowany chód, zimne rysy twarzy. Obrazu dopełniał ich ubiór - te buty z najlepszej skóry, bawełniane długie płaszcze, teraz rozpięte i śnieżnobiałe koszule musiały kosztować majątek. Jeden z nich miał jakąś teczkę, pewnie z dokumentami. Guardian uspokoił się nieco, przypomniał sobie plotki o Panie J.M., jak mówiono o detektywie Mothmanie, krążące wśród pracowników całej Guardian Street. Może nie powinien się dziwić jego gościom.

- To taka mała klitka na...

- Znajdziemy - przerwał mu "męczyzna od wizytówki" i odwrócił się w stronę swoich towarzyszy. Wszyscy w milczeniu ruszyli ku schodom prowadzącym na piętra.

- "Smith 'n' Smiths Lawyer Co." Mogą mi się jeszcze kiedyś przydać - pomyślał strażnik chowając wizytówkę do kieszeni spodni i spojrzał na zegarek stojący na biurku. Otworzył zeszyt i zanotował skrupulatnie godzinę odwiedzin prawników.

Minęli kilka korytarzy i pokoi nim dotarli do gabinetu detektywa. Mijani przez nich pracownicy nie zwracali na nich większej uwagi, widocznie mieli pełne zaufanie do strażnika na parterze, albo byli tak zadufani w sobie, że nikt nie ośmielił się zaatakować w jakikolwiek sposób siedziby stróżów prawa.

Przybysze stanęli przed drzwiami detektywa i spojrzeli po sobie zaskoczeni.

- A jednak się spóźniliśmy - pomyślał Gvidon patrząc na kawałek kartki przyczepiony tuż pod metalową plakietką z inicjałami detektywa.

- Kazał posprzątać gabinet? Może ktoś nas uprzedził, ale nie sądzę, żeby znalazł rękopis albo zdjęcie, ojcze. Może wejdziemy i sami poszukamy? - Zapytał młodszy z męczyzn. Pozostali spojrzeli wyczekująco na Gvidona.

- Nie mamy na to czasu Samuelu. Musimy go znaleźć zanim wyjedzie do doliny. Mam dziwne przeczucie, że ktoś mu pomaga.

Zbiegli po schodach na parter i, nie zatrzymując się nawet przy strażniku, wybiegli z budynku. Furman czekał tam, gdzie go zostawili.

- Ruszaj! - Rzucił ostro Gvidon wskazując do furmanki jako ostatni.

- Jedziemy do jego posiadłości? - Stukot kopyt prawie zagłuszył pytanie.

- Nie. Złapiemy go na nabrzeżu.

Furman zrozumiał, że ma się kierować do portu.

Pierwszą myślą, jaka teraz krążyła mu po głowie było jak najszybciej spakować bagaże i odnaleźć Cagliostro. Nic nie zwróciło jego uwagi - ani uchylona furtka na podwórzu, ani ślady błota zostawione na klatce i schodach - a może nie chciał ich widzieć. Myślał tylko, co powinien spakować.

Wbiegł po schodach, przeskakując po dwa, trzy stopnie i stanął zaskoczony przed swoim gabinetem, nie mogąc złapać oddechu ani wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Jego wzrok wędrował z jednej zapakowanej i zamkniętej szczelnie skórzanego walizki, na której widniały wyszyte inicjały J.M. na drugą z inicjałami N.M. Pomiędzy nimi widział parę wypolerowanych butów. Ich właściciel stał wsparty o grawerowaną laskę ze złotą rączką i uśmiechał się najwyraźniej zadowolony i dumny z siebie.

Detektyw zebrał w sobie resztkę siły i rzucił się na niego i rękami chwycił za kołnierz. Stracili równowagę i wpadli do gabinetu. John przygniótł przeciwnika do ściany i uniósł do góry. Tamten poczerwieniał na twarzy, ale nie zmienił wyrazu oczu i nie wypuścił laski z ręki. Żaden wyraz skrzywienia, bólu, złości ani zaskoczenia nie przebiegł przez jego oblicze.

- Gdzie jest moja siostra?! - Wysapał detektyw. W jego oczach tliły się iskierki szaleństwa. - Mów, łajdaku!

- W Przekłętej Dolinie - wykrztusił z siebie Cagliostro.

- Zabiję Cię!

- Jeśli Ci się uda - na wargach hrabiego pojawił się ironiczny uśmiech. - Ale wątpię czy ją wtedy odnajdziesz.

Detektyw puścił Cagliostro, nie chciał popełnić morderstwa, poza tym tylko hrabia wiedział gdzie jest Nikki.

Hrabia poprawił płaszcz. John nie wiedział, co ma robić, złapał się za głowę.

- Pomyślałem, że lepiej będzie jak wyjedziemy jeszcze dzisiaj. Spakowałem nasze bagaże.

Słowa hrabiego nieco otrzeźwiły Johna.

- Ale tu jest tylko walizka Nikki i moja a...?
- Moja jest w przechowalni na dworcu. Pociąg mamy za godzinę.
- Ale nie mogę tak zostawić... - wahał się jeszcze detektyw.
- Tu chodzi o życie Nikki.

John w odpowiedzi chwycił walizki i zbiegł po schodach. Hrabia podążył tuż za nim. Zostawili domostwo na pastwę losu. Detektyw tylko pozamykał drzwi i furtkę. Gdy znaleźli się na ulicy krzykiem wezwali powóz. Wrzucili bagaże na sam tył i wsiedli do środka.

- Zawieź nas na dworzec! Co koń wyskoczy! - Krzyknął John siadając wygodniej. Gdy zamykał drzwiczki usłyszał świst bata i rżenie paru koni. Z miejsca ruszyli galopem.

- Pogoda nam sprzyja - rzekł niby od niechcienia Cagliostro. John wyrztał przez okienko - nawet nie wiedział kiedy słońce zatrzymało się w zenicie.

Ulica w połowie była jeszcze zamarznięta, a w połowie już zabłocona.

John nic się nie odezwał. Postanowił milczeć całą drogę i przeanalizować zaistniałą sytuację. Nie wyglądała ona zbyt ciekawie: najpierw zaginięcie matki, potem tajemnicze przesyłki, zniknięcie Nikki, a teraz wyjazd z nieznanym i podejrzanym. Ale John miał dużo czasu na refleksje, ponieważ stacja Jednego Szlaku znajdowała się na drugim końcu miasteczka.

Ukradkiem tylko zerkał na wyniosłego towarzysza podróży.

- Kim Ty naprawdę jesteś? - Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, ale wiedział, że najbliższe dni, a nawet godziny, mogą przynieść mu wiele niespodzianek nie bardzo przyjemnych. Nie wiedział czy hrabia zdaje sobie sprawę, że jest bacznie obserwowany.

Zdawało mu się, że Cagliostro specjalnie nie patrzy w jego stronę. Jakby tendencyjnie zamknął oczy i udawał, że śpi.

Cagliostro obudził się w momencie, gdy wjechali na brukowaną uliczkę prowadzącą na stację. Spojrzał na detektywa i uśmiechnął się jak gdyby cieszył się z jego widoku.

- Chyba dojeżdżamy - Mothman próbował odgonić od siebie złe myśli. W tej samej chwili woźnica zatrzymał konie.

- Jesteśmy na miejscu - detektyw rozpoznał głos młodego lekarza. - Dziwny zbieg okoliczności - pomyślał.

Wysiadł z powozu, a za nim lekko wyskoczył hrabia. Oparł się o swoją laskę i przyglądał się w milczeniu jak woźnica zdejmuje ich walizki i kładzie je na chodniku.

- Proszę zanieść je na peron - powiedział sucho hrabia.

- Myślę, że wystarczająco nam Pan już pomógł - odparł detektyw. Swoje słowa skierował do lekarza, ale wzroku nie spuszczał z Cagliostro. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem jak rewolwerowcy przed pojedynkiem. W między czasie młody mężczyzna podniósł walizki i skierował się na peron.

Cagliostro i detektyw patrzyli na siebie w milczeniu. Mothman odwrócił się od hrabiego i także poszedł na dworzec. Odchodząc krzyknął przez ramię:

- Albo zdążysz albo jadę sam!

- I tak sam nie pojedziesz!

- Zobaczymy - pomyślał.

* * *

- Przekłeta Dolina? - Marynarz był wyraźnie zdumiony. Patrzył na kilku mężczyzn stojących koło niego. Nie wiedział czy ich pytanie powinien traktować jako żart czy pytali poważnie. Inni marynarze, siedzący nieopodal i pijący piwo z kufli, usłyszawszy ich rozmowę nie mieli najmniejszych wątpliwości i śmiali się do rozpuku.

Jeden z nich, mimo tego, że ledwo mógł utrzymać się na nogach, podszedł do nich i oparł się o Samuela. Otoczył go ramieniem i chuchał mu prosto w twarz. Jego towarzysze śmiali się na całe gardła.

- Chcecie dopłynąć do Przekłetej Doliny? - Zagadnął. - To bardzo daleka podróż. Widzisz przyjacielu, właśnie stamtąd wróciłem i do tej pory cierpię na chorobę morską.

Marynarz pozieleniał na twarzy i zrobił taką minę jakby miał zamiar wypluć swoje wnętrzności wprost na Samuela. Ale jego twarz nagle zmieniła kolor z zielonej na trupio bladą i oczy rozszerzyły się ze strachu, gdy mężczyzna w czerni wyjął spod płaszcza rewolwer i przyłożył mu lufę do brzucha. Teraz nikt już nie odważył się uśmiechnąć. Przedstawienie przestało być zabawne.

Przyglądający się temu zdarzeniu marynarze, pomału, krok po kroku zaczęli podkradać się do stojących przed nimi mężczyzn w czerni. Ale któryś z nich widocznie zauważył kącikiem oka jakiś

ruch, bo odwrócił się w stronę skradających się i jednoznacznie sięgnął ręką pod płaszcz. Marynarze nie zauważyli, że w czasie rozgrywającego się widowiska przyjechały jeszcze dwa powozy i wysiedli z nich inni, ubrani także na czarno mężczyźni. Teraz już nie było ich czterech, ale tuzin. Marynarze byli całkowicie dezorientowani: niektórzy złapali się za głowy mniemając, że oszaleli, kilku uciekło, a pozostali wrócili do swoich kuflí pozostawionych w kantynie.

- Do przekłótej Doliny nikt nie pływa dla przyjemności i mało, kto stamtąd powraca. Każdy, kto ma tam wypłynąć najpierw spisuje testament. Poza tym to daleka podróż - powiedział poważnie stary marynarz. - Nikt z Wami nie popłynie. A odpowiadając na Wasze pytanie: z tego portu, nie tylko dzisiaj, ale w ciągu kilku ostatnich dni nie wypłynął ani jeden statek do Przekłótej Doliny, o którym bym nie wiedział. A Wy się nie boicie? - Zapytał.

- Nie - odpowiedział twardo Gvidon, ten sam, którego rodzice kiedyś, przypadkiem znaleźli się w Przekłótej Dolinie i pozostali w niej już na zawsze; ten sam, który się w niej urodził i wychował. - A jak możemy się do niej dostać? - Zapytał, chociaż znał już odpowiedź.

- Balonem albo pociągiem.

Wsiedli do powozów nie odwracając się ani nie dziękując marynarzom. Gvidon dobrze wiedział gdzie jest dworzec. Z Samuelem i kilkoma innymi pojechał na stację Jednego Szlaku, a pozostałe furmanki porozjeżdżały się w przeciwnych kierunkach.

Młoda jasnowłosa dziewczyna wsiadła do wagonu. Pociąg był podstawiony - tak jakby tylko na nią czekał. Znalazła wolne miejsce koło jakiejś starszej kobiety, czytającej Wiejskie Wieści i usiadła nie pytając jej o pozwolenie. Nie zwracała uwagi na ciekawskie spojrzenia innych pasażerów, ale zdawała sobie sprawę z tego, że nie codziennie widzi się kogoś jadącego do Przekłótej Doliny bez jakiegokolwiek bagażu.

Siedząca naprzeciwko niej kobieta, ubrana nieco jak mniszka w czarny habit, nawet na nią nie spojrzała. Gazeta drżała jej w rękach, gdy przewracała kolejne strony. W pewnym momencie Nikki mignął przed oczami nagłówek gazety: "Bestialskie zabójstwo młodej dziewczyny".

* * *

Wnieśli bagaże do pociągu w momencie, gdy już ruszał. John odwrócił się do lekarza, żeby mu podziękować, ale ten już zdążył wyskoczyć, w ostatniej chwili, gdy pociąg nabierał szybkości. Detektyw zobaczył go przelotem na stacji. Przeniósł bagaże do wolnego przedziału i usiadł przy oknie.

- A jednak nie zdążył" - uśmiechnął się na samą myśl o Cagliostro. W wyobraźni widział go wybiegającego z bagażem z przechowalni i dobiegającego na stację w momencie, gdy pociąg już zniknął na zakręcie.

- Teraz pewnie stoi oparty o tą swoją laskę i wyciera pot z czoła.

Mothman zamknął oczy i spróbował się wyciszyć. Może nawet udałoby mu się zasnąć gdyby nie usłyszał ogłuszającego niemalże dźwięku otwieranych drzwi. Jak z najgorszego koszmaru do przedziału wszedł lekkim krokiem Cagliostro. Na jego twarzy nie było widać żadnego śladu zmęczenia. Z uśmiechem na twarzy postawił swoją walizkę obok bagaży Johna.

- Zdążyłem - powiedział z taką beztroską w głosie jakby to było coś najzwyklejszego na świecie. Zdjął płaszcz i Mothman ze zdziwieniem stwierdził, że hrabia ma na sobie czyściutkie, świeże ubranie, jakby odebrane prosto od krawca. John nie wiedział kiedy jego towarzysz podróży zdążył się przebrać w krwistoczerwoną, szytą według najnowszej mody koszulę, ze złotymi zapinkami; spodnie tego samego koloru o rozszerzanych ku dołowi nogawkach, zakończonych falbanami i przykrywających wypolerowane trzewiki. Przy tym ubraniu nawet jego twarz wydawała się być jakby młodsza, a ostre rysy łagodniejsze. Tylko oczy nadal pozostawały tajemnicze i nieprzeniknione.

- Czeka nas ekscytująca podróż.

- Nie rozumiem - odparł, zaskoczony detektyw.

- Mamy okazję poznać miejsce, o którym krążą niesamowite opowieści.

- Z naszej wcześniejszej rozmowy zrozumiałem, że kiedyś już tam byłeś Hrabio.

- A ja, że nasze kontakty przestały już być takie oficjalne, Detektywie.

Mothman poczuł się jakby dostał w twarz, ale nic się nie odezwał. Cagliostro ze stoickim spokojem kontynuował:

- Nie przeczę, byłem tam nieraz, ale powiedzmy, że... - zamilkł jakby chciał odpowiednio dobrać słowa. - Moje podróże odbywały się na nieco innych zasadach.

- Czy w tym także pomagali Twój mocodawcy?

- Poniekąd, ale nie zagłębiajmy się w szczegóły. Musimy mieć do siebie trochę zaufania, a i tak obaj mamy jakieś tajemnice i póki, co niech tak zostanie. Wkrótce poznasz moich przyjaciół.

John, nie wiedząc, czemu, jeszcze raz spojrzał głęboko w oczy swojemu rozmówcy - były inne i mimo woli go przyciągały, jakby chciały mu wyjawiać jakąś tajemnicę skrywaną przed całym światem i przez całe lata. Poczuł się nagle bardzo znużony.

- Pewnie to ten monotony dźwięk jazdy - pomyślał. Jego zmysły się przytępiły. Jak za sprawą zamkniętych szczelnie drzwi przestał cokolwiek słyszeć. Oczy same mu się zamknęły. Zmuszając się jeszcze do karkołomnego wysiłku, na chwilę otworzył je i ujrzał, siedzącego naprzeciwko siebie i patrzącego na niego wyrozumiale Cagliostro. Zdawało mu się, że ma swoiste déjà vu, ale to wrażenie minęło tak szybko jak się pojawiło.

Niespodziewanie przed jego oczy napłynęły obrazy, które do tej pory starał się wyrzucić z pamięci.

Znów stał przed lustrem i przyglądał się swemu odbiciu. Nieraz zastanawiał się jak będzie wyglądał w przyszłości. W pokoju przylegającym do salonu, przebierała się jego młodsza siostra. Wiedział, że w przyszłości będzie musiał się nią zajmować, ale ta przyszłość wydawała się jeszcze taka daleka. Była między nimi różnica wieku kilku lat, ale patrząc w lustro nie widział już dziecka tylko dorastającego młodzieńca i był z tego dumny. Młody i silny pragnął złamać świat, ale nie wiedział jeszcze, że już niedługo to świat złamie jego.

Wrócił do swojego pokoju i wyrzucił przez okno. Jego matka biegała boso po ogrodzie i wchłaniała pierwsze zapachy wiosny. Ta kobieta była dumą całego rodu.

- John! - Zawołała dostrzegając go w oknie. Jej głos był tak dźwięczny jak śpiew słowika. - Niech Nikki pomoże mi zebrać kwiaty do wazonu!

Taki obrządek odbywał się u nich w domu, co roku. Gdy odszedł od okna ponownie usłyszał krzyk, ale nie był to już krzyk ich matki. Obudził się. Czuł, że drży z wrażenia.

- To tylko zły sen - tłumaczył sam sobie. Jakby w odpowiedzi usłyszał kolejny kobiecy krzyk. Dochodził z pociągu. Rozejrzał się, dokoła, ale nigdzie nie dostrzegł Cagliostro.

Nikki zupełnie nie wiedziała, co robić, pierwszy raz znalazła się w takiej sytuacji. Spoglądała raz po raz to na siedzącą naprzeciwko niej kobietę, a raz na mężczyznę, który przed chwilą otworzył drzwi do przedziału i był nie mniej niż ona zaskoczony reakcją kobiety. Patrzył na Nikki i widocznie zastanawiał się czy nie powinien sięść w innym wagonie, bo jedną nogą przekroczył próg, a drugą stał jeszcze za nim. Zdecydował się, gdy usłyszał kolejny, ogłuszający niemalże krzyk pasażerki. Nikki nadal nie odezwała się ani słowem, więc tylko uśmiechnął się nieco nieśmiało, ale wyrozumiale do dziewczyny i wyszedł z przedziału. Nikki wołała się nawet nie zastanawiać, co sobie o nich mógł pomyśleć.

"Niby mniszka" przy drugim krzyku wyraźnie wskazała Nikki palcem i zaczęła się trząść jakby nagle dostała ataku padaczki. Gazeta wypadła jej z rąk, ale to już nie interesowało dziewczyny. Podeszła do kobiety i chciała ją uspokoić, ale, z każdym krokiem Nikki, krzyczała coraz głośniej, jakby była opętana przez jakiegoś demona. W jej oczach malowało się paniczne przerażenie.

- Proszę się uspokoić. Pomogę Pani - Nikki ponownie zaproponowała nieznajomej. Ta na chwilę się uspokoiła i, jakby przyjmując pozycję obronną, mocniej przyłgnęła do siedzenia.

Dziewczyna nie wiedziała, co ma o tym myśleć.

- Najbezpieczniej chyba będzie sięść naprzeciwko tej kobiety - pomyślała. Po chwili milczenia, która wprawiałaby w zakłopotanie każdego, rzekła najspokojniejszym głosem, na jaki w tej sytuacji mogła się tylko zdobyć. - Stało się Pani coś? Może uda mi się jakoś Pani pomóc - wyciągnęła ręce w kierunku kobiety.

Ta, zapamiętała w swoim przerażeniu zaczęła machać przed sobą rękami i krzyczeć:

- Ni..., Ni...

- Widocznie nie chce ode mnie pomocy - pomyślała Nikki. - Może nie jest stąd, bo nie mówi naszym językiem.

Z zamyślenia wyrwało ją nieoczekiwane zachowanie towarzyszk z przedziału.

Dziewczyna nic nie robiła, starała się zachowywać naturalnie, żeby nie denerwować ani nie niepokoić "niby mniszki". Ta też w milczeniu przyglądała jej się chwilę bardzo badawczo. Zastanawiała się, co robić i analizowała zaistniałą sytuację i wtedy nastąpiło coś, czego Nikki nie zapomni do końca życia. Kobieta niespodziewanie poderwała się z miejsca, podbiegła do okna i otworzyła je. Dziewczyna siedziała i nie wiedziała, co ma

robić. Była jak sparaliżowana, a kobieta wydała z siebie jeszcze jeden krzyk, ostatni, mrozący krew w żyłach i nie oglądając się za siebie wyskoczyła z pędzącego pociągu. Nikki zdawało się, że ten krzyk zawierał w sobie jej imię, ale nie była tego pewna.

Tak jakby słyszała drugi, wydany równocześnie z pierwszym, ale dobiegający z innej strony. A może jej się tylko tak wydawało; może "Ni..." wyskakującej zostało tylko nienaturalnie wydłużone przez świst wiatru i szum pociągu. Nie wiedziała. Nie wiedziała również, co stało się z samobójczynią, ale nie chciała tego sprawdzać. Nadal nie była w stanie nawet się poruszyć, a co dopiero zbliżyć się do okna.

Spojrzała tylko na drzwi do przedziału - były nadal zamknięte, tak jak zostawił je wcześniej podróżny, który zdecydował się znaleźć inny przedział. Teraz zdawało jej się, że w ich szybie widzi swego wybawiciela, kogoś, kogo tak bardzo pragnęła w tej chwili zobaczyć i się do niego przytulić, że już się czasem obawiała, że zaczyna mieć przywidzenia.

Wpatrzyła się w szybę jakby zobaczyła w niej ducha swej matki. Ale to nie była twarz Mary Mothman. I te oczy, nie Johna, ale tak miłe sercu.

- Hrabio - niemalże krzyknęła i wskazała ręką okno.

Cagliostro jednak zachowywał się jakby jej w ogóle nie widział.

- Hrabio! - Tym razem krzyknęła.

Nadal żadnej reakcji z jego strony. Przemogła odrętwienie i podeszła do drzwi. Energicznie pociągnęła za klamkę, ale były zamknięte, chociaż nie dostrzegła w nich żadnego zamka. Bezradnie spojrzała na Cagliostra. On patrzył niby na nią, ale Nikki miała wrażenie jakby jego wzrok utkwiony był gdzieś w oddali.

Dziewczyna z determinacją pociągnęła za drzwi, ale ponieważ nie dawało to żadnego rezultatu, ze łzami w oczach usiadła na podłodze i ukryła twarz w dłoniach. Jak dziecko zacisnęła pięści i przetarła nimi oczy.

Gazeta, którą wcześniej upuściła jej dziwna towarzyska podróży, leżała teraz w zasięgu ręki dziewczyny.

John nie czekał aż usłyszy po raz trzeci tajemniczy krzyk. Już wychodził z przedziału, gdy w szybie drzwi zobaczył jakieś odbicie. Był pewny, że odbiło się coś, jakby ubranie i, że to odbicie się w szybie musiało pochodzić od okna. Zbliżył się do niego, otworzył i wyjrzał na zewnątrz pociągu. To, co zobaczył nawet jego

przyprawiło o mdłości, detektywa, który był świadkiem już niejednej śmierci. Ale nie takiej.

Ciało jakiejś kobiety na jego oczach zostało rozjechane przez pociąg. Jeszcze widział zakrwawione torowisko. Miał nawet wrażenie, że słyszał chrzęst łamanych kości, może czaszki, i widział przez chwilę wleczoną, zaczepioną na kole zakrwawioną, oderwaną rękę. Ku jego zdziwieniu maszynista nawet nie zwolnił szybkości jazdy. Może nic nie wie, pociąg jest długi i głośny - pomyślał.

Był pewien, że w tym pociągu popełniono morderstwo. I miał już podejrzenia, kto mógł je popełnić. Na kolejnym zakręcie dostrzegł w którymś przedziale otwarte okno. Wszystkie pozostałe były pozamykane.

- Jeśli to nie tam popełniono morderstwo to może chociaż pasażerowie coś słyszeli - pomyślał. - Wszystko powinno się wyjaśnić jak odnajdę Hrabiego. Wybiegł z przedziału nie dbając o pozostawione bez opieki bagaże i poszedł wzdłuż pociągu. Ponieważ siedział w ostatnim przedziale, zaglądał do każdego mijanego, ale nie dostrzegał w nich niczego podejrzanego. To tylko utwierdzało go w przekonaniu, że morderca dokonał zabójstwa w przedziale z otwartym oknem. Poza tym nadal nie natknął się na Cagliostro, a minął już kilkanaście przedziałów i kilka wagonów, nie liczył nawet ile.

Otworzył drzwi oddzielające kolejne wagony i stanął zupełnie nie wiedząc, co powinien zrobić. Hrabia, którego ponoć żaden z podróżnych nie widział, gdy ten przemykał się koło ich przedziałów, stał teraz kilkanaście kroków przed detektywem, zwrócony do niego bokiem, a przodem do drzwi przedziału. Mothman domyślił się, że to w tym przedziale zostało popełnione morderstwo, a podejrzanym był oczywiście Hrabia. Detektyw miał ochotę rzucić się na niego i wycisnąć z niego wszystkie wiadomości, ale wiedział, że na razie nie mógł niczego podobnego uczynić. Potrzebował zebrać przeciwko niemu niezbite dowody, a póki, co miał tylko poszlaki i podejrzenia.

Ostrożnie zaczął zbliżać się do Hrabiego. Ten widocznie usłyszał jego kroki, bo odwrócił się w jego stronę a Mothman stanął i zaczął mu się dokładnie przyglądać.

Pierwsze, co przykuło jego uwagę to była jakaś zmiana, która zaszła w Hrabim. Najbardziej widać to było w jego oczach - były nadal nieprzystępne, ale teraz smutniejsze i jeszcze zimniejsze niż zwykle. Już nie widział w nich tej iskry życia, tak jakby ich

właściciel w ciągu tej krótkiej podróży bardzo się postarzał. Znalazło to odbicie w całej jego twarzy: jej rysy stały się ostrzejsze i bardziej widoczne. Gdy tak stał oparłszy się mocno o swoją łaskę bardziej teraz przypominał trawionego śmiertelną chorobą starca aniżeli pełnego prawie młodzieńczej energii mężczyznę, który kilka godzin wcześniej przyszedł do Mothmans Library. Johnowi, im dłużej na niego patrzył tym bardziej robiło mu się go żal. Może ma teraz wyrzuty sumienia po dokonanej zbrodni - pomyślał. - Mimo to jest jej winny. Z drugiej jednak strony czy świadomie odważyłby się popełnić morderstwo wiedząc, że jestem detektywem? Czy zaryzykowałby zdemaskowanie? Nie, głupi nie jest, jego inteligencja jest raczej równa przebiegłości. A może to rodzaj testu dla mnie, może mnie sprawdza. Jeśli tak to zagrajmy. Kąciki ust zadrgały mu w ledwo widocznym uśmiechu. Miał nadzieję, że Hrabia nie dostrzeże tego, co rozgrywa się teraz w jego myślach i duszy. I chyba tak było.

Mothman podszedł do niego zdecydowanie. Cagliostro dopiero jakby go wtedy zauważył, gdy ten stanął tuż przed nim.

- Stało się coś? - Zapytał detektyw jakby o niczym nie wiedział.

Hrabia patrzył na niego jakby nie rozumiał, co John do niego mówi. Dopiero po chwili odpowiedział, a każde jego słowo wbijało się w serce Mothmana niczym sztylet.

- Twoja siostra...

Te dwa słowa sprawiły, że krew zawrzała detektywowi w żyłach. Już przed oczami przesuwwały mu się najstraszniejsze obrazy. Chwycił Cagliostra i zaczął go dusić i szarpać.

- Co z nią?! Gdzie ona jest?! Gadaj łajdaku! Zabiłeś ją! Powinienem zrobić z Tobą to samo! - Krzyczał, a twarz Hrabiego stawała się coraz bardziej popielata z braku powietrza.

Urywany, ledwo słyszalnym głosem wykrztusił:

- ...popełniła morderstwo.

Mothman usłyszawszy to puścił go i cofnął się o parę kroków. Zachwiał się na nogach i musiał oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść.

- O czym Ty mówisz? Łżesz.

* * *

Samuel podciągnął rękaw płaszcza. Zawsze był dumny z tego, że jako jeden z nielicznych mieszkańców Doliny ma zegarek na ręce. Dla innych był to jedynie nieosiągalny cud techniki, ale nie

dla niego, nie dla syna Wielkiego Gvidona jak często nazywali jego ojca. Świejące upiornym blaskiem wskazówki utwierdziły go tylko w tragicznym przeczuciu, ale wołał nie mówić o tym nikomu. Miał nadzieję, że Gvidon nie zapyta. Tak też się stało. Zapytał dopiero, gdy znaleźli się na stacji.

Podszedł do okienka i zastukał z niecierpliwością dłonią w blat drewnianej przybudówki. Dźwięk odbijającego się złotego sygnetu rozniósł się po całym pomieszczeniu Informacji. Dopiero po kilku minutach zjawił się ktoś, kto mógł udzielić mu potrzebnych informacji. Była to kobieta, w wieku może około czterdziestu lat. Jej ponętne kształty mogły przywołać na myśl kobiety, które w Dolinie nieraz zaczepiały go składając niedwuznaczne propozycje. Zachowanie kobiety siedzącej teraz naprzeciwko niego mówiło samo za siebie. Uśmiechała się do niego zalotnie - widocznie chciała zatuszować tym złe wrażenie, które zrobiła na nim okazując pewnego rodzaju niesubordynację w pracy. Ale Gvidon nie zwracał nawet najmniejszej uwagi na okazywane mu zbyt nachalne zainteresowanie i może chęć przeprosin w sposób, na który nie miał teraz ochoty tracić czasu.

- Za ile minut odjeżdża stąd pociąg do Przeklętej Doliny? - Ponowił pytanie, którego widocznie kobieta przy okienku nie słyszała, gdy je zadał, przekraczając próg pomieszczenia, choć starał się je zadać jak najgłośniej.

- Odjechał - spojrzała na duży zegar wiszący na ścianie tuż za jej plecami i odwróciła się z tym samym wulgarnym uśmiechem w stronę przybyszów. - Dwadzieścia minut temu.

- Co?!

- To prawda, ojciec - Samuel zbliżył się kilka kroków. - Zapomnieliśmy o zmianie czasu pomiędzy... - zamilkł pod piorunującym wzrokiem Gvidona.

- Która jest teraz godzina?

To, prawie warknięcie przez zęby sprawiło, że nawet kobieta z informacji wyraźnie spoważniała. Teraz skierowała swój bardziej nieśmiały uśmiech w kierunku Samuela, ale ten nawet na nią nie spojrzał. Zerknął natomiast ukradkiem, tak, żeby nikt tego nie zauważył, na swój zegarek. Nie mógł wprost odpowiedzieć na pytanie ojca, aby nie narazić się na podejrzenia ze strony innych. Nie każdy uwierzyłby, że odziedziczył w genach talent do przepowiadania przyszłości od ojca, talent, który i tak, tak jak wszystkie pozostałe, w miarę pokoleń stawał się coraz słabszy i mniejszy i zanikał w pewnym wieku mężczyzny. Tylko mężczyźni

go dziedziczyli z pokolenia na pokolenie, a kobiety tylko raz na ileś lat, ale i tak podejrzewał, że straci ten dar w wieku ojca, tak jak przytrafiło się to Gvidonowi.

- Ta kobieta - powiedział z wyraźnym akcentem na drugie słowo. - Niestety ma rację.

- A kiedy będzie następny? - Gvidon znów skierował wzrok na pracownicę stacji.

- Dopiero jutro rano.

Już się odwrócili i podeszli do drzwi wyjściowych ze stacji, gdy Gvidonowi coś przyszło do głowy. Odwrócił się na progu i zapytał głośno:

- A czy do tego pociągu wsiadał ktoś, kto w jakiś szczególny sposób przykuł Pani uwagę?

- Nie... - zawiesiła głos jakby się nad czymś zastanawiała albo próbowała coś sobie na siłę przypomnieć. - No, może oprócz jednego jegomościa, który miał niesamowite oczy i maniery. Także wyglądał na nietutejszego jak Panowie, dlatego pomyślałam, że Panowie są tacy sami jak on.

- Pomyliła się Pani - Samuel pierwszy raz na nią spojrzał ale w jego spojrzeniu nadal nie było nawet cienia zainteresowania nią.

- Wiem - westchnęła smutno.

- Czy może nam Pani coś bliżej opowiedzieć o wyglądzie tego, jak go Pani nazwała "jegomościa"?

- Nie sądzę. Nie znam Panów.

Stawała się coraz ostrożniejsza i Gvidon to zauważył. Szybkim krokiem wrócił do okienka. Kobieta chciała jakoś zareagować, ale nie zdążyła. Wyjął z kieszeni wizytówkę i położył ją na blacie. Kobieta nawet nie wyciągnęła po nią ręki, więc wsunął karteczkę w szparę pod szybą. Kobieta aż otworzyła usta z wrażenia.

- Może jednak przypomina sobie Pani jakieś szczegóły jego wyglądu?

- Wyglądał jak jakiś... - zaczęła już trochę bardziej rozluźniona, ale już nie próbowała się narzucać przybyszom. Z prawnikami nie ma żartów - pomyślała.

- Jestem pewny, że to Cagliostro.

Gvidon nic się nie odezwał. Traktował Samuela tak, jakby go w ogóle w pobliżu nie było.

- Prawie nas zdradziłeś - rzucił tylko, gdy wychodzili ze stacji.

* * *

Siedziała z podkulonymi nogami oparta o drzwi przedziału, a płacz, co chwilę targał jej ciałem. Otworzyła gazetę na stronie, którą czytała samobójczyni i przez łzy, jak przez mgłę zobaczyła nagłówek artykułu. Pod nim było prawdopodobnie zdjęcie zamordowanej dziewczyny, ale widocznie ktoś niespełna rozumu je wyciął. Nikki nie czytała artykułu tylko bezmyślnie wpatrywała się w dziurę po fotografii jakby ta przedstawiała jakiegoś jej znajomego. Łzy rozmazały jej litery druku i nie była w stanie przeczytać podpisu zamieszczonego pod miejscem po zdjęciu.

Odłożyła gazetę, gdy tylko usłyszała głosy. Przestała płakać i spróbowała się w nie wsłuchać. Była pewna, że dochodzą zza drzwi. Wolno wstała i starała się coś dostrzec przez szybę. Coraz wyraźniej słyszała rozmowę, kłótnię, która z każdym słowem stawała się ostrzejsza. Nie wiedziała, co stało się jej powodem, ale słyszała Johna i Cagliostro. Zaczęła krzyczeć i uderzać z całej siły pięściami w drzwi. Nagle rozmowa ucichła i dziewczyna zobaczyła upragnione oblicza. Przyłgnęła do drzwi jak rozgnieciona mucha. Widocznie i oni ją zobaczyli albo usłyszeli, bo John najpierw zaczął szarpać, a potem napierać na drzwi - najwidoczniej chciał je wyważyć. Nikki na wszelki wypadek odsunęła się o kilka kroków i czekała w napięciu. Łzy jeszcze świeciły jej w oczach, ale w serce wstąpiła nowa nadzieja. Za chwilę ten koszmar się skończy - pomyślała.

John nadal nie mógł uwierzyć w słowa Hrabiego. Nawet teraz, gdy zobaczył Nikki w jedynym przedziale z otwartym oknem. Poza tym widział jej zapłakaną twarz i przerażenie w oczach. A wszystko jakby za mgłą, w oddali - zdawało mu się, że nie drzwi ich dzielą a wielka odległość.

Brutalnie odepchnął od siebie Cagliostro i próbował otworzyć drzwi. Gdy to nie dawało rezultatu krzyknął na całe gardło mając nadzieję, że siostra go usłyszy:

- Otwórz drzwi!

Ale ona nawet nie ruszyła się z miejsca.

John nadal szarpał za klamkę.

- Obawiam się, że to nic nie da. Tych drzwi nie otworzysz od zewnątrz - powiedział Hrabia i detektywowi zdawało się, że w jego głosie usłyszał nutkę szczerzego smutku.

- Dlaczego sama nie otworzy tych drzwi? - John syknął przez zaciśnięte zęby.

- Może się zacięły.

John spojrział na towarzysza spode łba i ponownie skierował wzrok na Nikki. Wydawało mu się, że trzyma coś w rękach, jakby gazetę. Z determinacją naparł całym ciałem na drzwi, ale te nie chciały ustąpić. Mothman zaczynał tracić siły.

- Będiesz tak stał i mi nie pomożesz? - Zapytał z wyrzutem Hrabiego.

- I tak ich nie otworzymy. Mam wrażenie, że działają tutaj siły potężniejsze od nas.

- Co masz na myśli?

- To, że zbliżamy się do celu naszej podróży. A z tego, co wiem to Przekłeta Dolina jest dość specyficznym miejscem.

John spojrział na niego i chciał o coś jeszcze zapytać, ale Hrabia uprzedził go odpowiedzią:

- Za chwilę się dowiesz.

Mothman nie wiedział, co Hrabia miał na myśli.

- Stajesz się coraz bardziej tajemniczy. Myślę, że skoro już razem jedziemy to powinniśmy zacząć jakoś współpracować.

Cagliostro spojrział na detektywa, ale nic mu nie odpowiedział. Wyraźnie natomiast cofnął się o kilka kroków, odsunął się od drzwi jakby chciał się odsunąć od Mothmana. John ruszył w jego kierunku, ale niespodziewanie poczuł tak mocne szarpnięcie jakby cały pociąg uderzył w jakąś niewidzialną przeszkodę z ogromną prędkością. Hrabia zdążył złapać się metalowej poręczy przytwierdzonej do ściany, ale Mothman nie zdołał utrzymać się na nogach - twardo wylądował na podwoziu, pojechał po nim jak zabawka i zatrzymał się dopiero uderzając w ścianę tuż pod stopami Cagliostora. Miał szczęście, że nie uderzył głową, bo wtedy, prawdopodobnie zginąłby na miejscu. Na chwilę zgasło światło w całym wagonie i zapanowała mrożąca krew w żyłach cisza. Detektyw nie słyszał nawet własnego oddechu ani bicia serca. Nie słyszał także niczego, co mogłoby wskazywać na czyjąkolwiek obecność w pobliżu. Mimo, iż wcześniej jego zmysły nie rejestrowały najmniejszego ruchu pociągu był pewien, że teraz się zatrzymał.

Światło zapaliło się samoczynnie i John zobaczył pochylającego się nad nim Hrabiego.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się uspokajającym głosem, ale Mothman był jakby otępiały. - Pomogę Ci wstać. Moi przyjaciele nie powinni Cię zobaczyć w takim stanie.

Pomógł mu się podnieść z podwozia i użyczył czasowo swojej laski, żeby detektyw nie upadł ponownie gdyby stracił czucie w nogach.

Mothman wodził mętnym wzrokiem dookoła i nawet nie słyszał jak drzwi do przedziału wcześniej się otworzyły. Dopiero, gdy jego wzrok przez krótką chwilę prześlizgnął się przez otwarty przedział w pełni wróciła mu pamięć i odzyskał siły. Odrzucił laskę Hrabiego i wbiegł do przedziału, ale nie znalazł w nim Nikki. Cagliostro otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Podniósł laskę i w milczeniu wszedł do przedziału. Nie odzywali się do siebie.

* * *

John przyglądał się drzwiom, ale nie mógł w nich znaleźć żadnego zamka. Cagliostro natomiast przeglądał zostawioną przez dziewczynę gazetę.

- Pomógłbyś mi.

- Myślę, że to jest ciekawsze - odparł Hrabia. - Obawiam się, że niczego nie znajdziesz w tych drzwiach natomiast to może Cię zainteresować - przy tych słowach podsunął mu przed oczy gazetę.

John spojrzał na artykuł i oczy nabiegły mu krwią z przerażenia i złości. Jeszcze nie wiedział, w jaki sposób, ale czuł, że jego siostrze grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. To, że jest osobą podejrzaną o popełnienie morderstwa wydawało mu się teraz mało ważne. Podeszedł do okna, przez które wcześniej wypadła nieznajoma kobieta. Na zewnątrz pociągu panowała dziwna ciemność przemieszana z mgłą. Widział ludzi chodzących po stacji, biegających w różne strony, szukających bagaży i czekających na pociągi. Jego wzrok przykuła grupka ludzi. Niby wyglądali normalnie, ale w ich zachowaniu było coś nienaturalnego. Nawet ich ruchy wydawały mu się sztuczne. Nie widział ich twarzy, ale chyba nawet nie chciałby ich zobaczyć z bliska. Nagle zobaczył Nikki. Był pewien, że to ona. Chociaż była daleko rozpoznał ją bez trudu. Była w tym samym ubraniu, w którym widział ją uwięzioną w przedziale. Krzyknął na całe gardło jej imię, gdy przechodziła koło grupki podejrzanych mężczyzn, których nie spuszczał z oka. Widocznie nie dosłyszała jego krzyku, bowiem nie odwróciła się nawet w stronę pociągu a wręcz

przeciwnie - odwróciła się plecami do grupki mężczyzn i odeszła w mrok.

- Przyjechali - John usłyszał wyraźnie jednego osobnika z podejrzanej grupy i miał wrażenie, że pochodzi on z najgłębszego piekła.

- Nikki! - Krzyknął ponownie i zaczął gramolić się przez okno. Gdy był już jedną nogą na zewnątrz złożył gazetę na kilka części i schował do kieszeni.

- John - ten spokojny, łagodny kobiecy głos sprawił, że detektyw nie umiał ruszyć się z miejsca. Poczul także na ramieniu delikatną dłoń - dotknięcie, które tak dobrze pamiętał z dzieciństwa.

Machinalnie zszedł z okna i stanął twarzą w twarz z gośćmi.

* * *

- Domyślam się, że skoro tu przyjechałeś razem z Hrabią to otrzymałeś mój list.

Jej głos przyprawiał go o dreszcze. Nie śmiał się do niej odezwać ani oderwać od niej wzroku.

- Jest zawstydzony Twoją urodą, Pani - odpowiedział za niego Cagliostro.

John w milczeniu przyglądał się kobiecie. Jej wzrok palił jego serce. Był ciepły, zachęcający, a jednocześnie wywołujący ból wspomnień. Była tylko o parę lat starsza od niego, ale wyglądała jak obraz jego matki. Nigdy do końca nie wyleczył się z kompleksu Edypa.

Krępująca cisza przedłużała się niemiłosiernie.

- Pozwolę sobie Was przedstawić. Pani, to jest jeden z najlepszych detektywów, jakich kiedykolwiek spotkałem, John Mothman - Mothman nie zareagował na jego komplement. - John, przedstawiam Ci Lady M.

Po niej, po kolei przedstawił pozostałych przedstawicieli Delegacji, jak ich nazywał Cagliostro. Mothman zmusił się ledwo do przelotnego spojrzenia na nich i błyskawicznie wrócił do stojącej przed nim kobiety.

Wiedział, że i tak nie zapamięta ich nazwisk. Były wyszukane, obco brzmiące dla jego uszu, a tytuły delegatów reprezentowały tutejszą arystokrację - z niej najbardziej jednak interesowała go tajemnicza Lady. Wyróżniała się spośród pozostałych nawet ubiorem. Wszyscy ubrani byli w iście galowe stroje - modne

koszule z bufiastymi rękawami, złotymi spinkami przy mankietach i szafirowymi guzikami. W ich butach mógłby się przejrzeć jak w lustrze. Ale ona i tak ich przyćmiewała. Piękna suknia obszyta cekinami i diamentami leżała na niej jakby była szyta na miarę. Nawet oczy miała inne od nich - łagodne, lśniące, ale przyjazne zarazem.

- Otrzymałeś mój list, prawda? - Zapytała i chwyciła go za rękę. Trzymała ją bardzo delikatnie. Za ten dotyk i ten wzrok w niego wpatrzony gotów byłby oddać życie. W tej chwili zapomniał nawet o ratowaniu swojej siostry. Lady M. magnetyzowała go wzrokiem. Jak we śnie wyjął list z kieszeni i podał kobiecie.

Uśmiechnęła się do niego, a pod nim ugięły się nogi ze szczęścia. Ośmielony jej czułym spojrzeniem powiedział:

- Dostałem także Pani książkę.

- Ale - zaczęła i spojrzała pytająco na stojących wokół niej przyjaciół, a gdy milczeli dokończyła. - Nie wysyłałiśmy żadnej książki.

Cagliostro był nie mniej zaskoczony od detektywa.

- W takim razie...

- A co to za książka? - Spytała kobieta.

- Ta - John otworzył swoją walizkę przyniesioną przez jednego z przyjaciół Hrabiego i wyjął z niej autobiografię.

Lady M. rozszerzyła oczy ze zdumienia widząc okładkę książki. Rozbłyśły, gdy zobaczyła pierwsze znaki napisane na stronach.

- Czy wiecie, co to za symbole?

- To jakiś...

- Dość! - Ucięła ostro kobieta.

Hrabia nie był zadowolony, że się z nim nie liczyła. Ale już niedługo - pomyślał i już zacierał ręce w myślach.

- To runy - powiedziała dobitnie i spojrzała znacząco na Mothmana.

- Moja siostra kiedyś wspomniała... - i nagle przypomniał sobie o Nikki. Zerwał się z miejsca, chwycił walizkę i wybiegł z pociągu.

Cagliostro i Lady M. wybiegli tuż za nim. Delegaci zabrali pozostałe bagaże i także opuścili pociąg.

- Jego siostra Nikki zaginęła w tej Dolinie - kobieta usłyszała głos Hrabiego. Nagle stanęła jakby w nią piorun strzelił.

Spojrzała na Cagliostra a w jej oczach malowało się przerażenie.

- John! - Krzyknęła za biegnącym detektywem. - Ona żyje!

Mothman zatrzymał się w połowie drogi dzielącej go od grupy nienaturalnie wyglądających mężczyzn i odwrócił się w stronę

kobiety. Wolno ruszył ku niej z zaciśniętymi do białości pięściami. Widząc jego desperację Hrabia zagroził mu drogę.

- Uspokój się. W nocy i tak jej nie znajdziesz, a my możemy Ci pomóc. Zaginięcie Twojej siostry może mieć związek z wydarzeniami, które ostatnio mają tu miejsce. Sam nie pokonasz tych ludzi.

Mężczyźni, którzy wydawali mu się podejrzani nagle odeszli i detektyw nie wiedział gdzie, ale podejrzewał, że jeszcze ich spotka. Spojrzał błagalnie na kobietę. Ona patrzyła mu prosto w oczy. Pod tym spojrzeniem lód topnieje - pomyślał znowu zapominając o Nikki.

- Myślę, że po podróży należy Wam się porządny odpoczynek i posiłek - zwróciła się także do Cagliostro. - Zapraszam wszystkich do siebie.

Instynkt samozachowawczy nagle coś Mothmanowi przypomniał.

- W tej Dolinie mieszka ktoś, kto przez pomyłkę otrzymał adresowane na mnie przesyłki. Powinienem je jak najszybciej odzyskać. Dziękuję za kuszące zaproszenie, Pani, ale nie mogę z niego skorzystać.

- Twoje paczki są u mnie. I tak musisz ze mną jechać - przy tych słowach uśmiechnęła się zniewalająco ukazując szereg białych, równych zębów.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Mimo heroicznej walki z samym sobą nie umiał się jej oprzeć.

Nieopodal stacji czekało już kilka powozów zaprzęgniętych w najprzedniejsze konie. Lady M. zatrzymała się przed powozem, niemalże kareta obita złotem i zaprzęgniętą w sześć Arabów.

- Pan detektyw pojedzie ze mną. Muszę mu wyjaśnić kilka rzeczy - zdecydowała. - Hrabia pojedzie tuż za nami i będzie trzymał pieczę nad bagażami - przy tych słowach nie raczyła nawet spojrzeć na Cagliostro.

Stangret nawet nie czekał na polecenia Lady, zeskoczył z karety i z ukłonem otworzył drzwiczki. Kobieta wsiadła pierwsza i podała rękę detektywowi. Gdy John usiadł wygodnie na wyłożonej aksamitem i suknem kanapie stangret nie zwlekając zamknął drzwiczki. Bagaże także zostały załadowane przez woźnicę stojącego obok nich wozu i, chcąc nie chcąc Hrabia zniknął w kabinie. Gdy tylko drzwiczki jego powozu się zamknęły opuścił czarne zasłony. Zazdrość zmieszała się z nienawiścią do

Mothmana i zapłonęła żywym ogniem w jego oczach. Nie chciał, żeby ktoś widział targające nim emocje. Zaciśnął pięści. Usłyszał stukot końskich kopyt - pierwsza karetka odjeżdżała, ale nie zamierzał nawet uchylić zasłon, wiedział, która zawsze jechała pierwsza.

Nie śpieszyli się jakby Lady specjalnie wypróbowywała jego cierpliwość. Słyszał jak we śnie rżenie koni, odgłos toczących się kół. Przez na wpół zasłonięte czerwone zasłony wpadały blade odbłaski księżyca. Nie wiedział czy atmosfera panująca wewnątrz karety czy sama świadomość bliskości umiłowanej osoby sprawiła, że pot wystąpił mu na czoło. Kobieta widząc to wyciągnęła z jakiegoś schowka chusteczkę i przy świetle księżyca zaczęła mu wycierać pojawiające się kropelki potu. Zamknął oczy ze szczęścia. Jej delikatny dotyk, zapach lawendowych perfum i całego ciała, i gorący oddech, który poczuł przed swoimi ustami sprawiły, że nieświadomie wypowiedział imię matki.

- Mary - powtórzył półprzytomnie i nagle czar prysł.

Oddech zniknął i detektyw już nie czuł czułego dotyku. Otworzył oczy. Lady M. przyglądała mu się badawczo.

- Kim jest Mary?

Mothmanowi zrobiło się bardzo głupio i poczerwieniał jak mały chłopiec złapany na jakimś przestępstwie. Odwrócił wzrok od kobiety.

- Była moją matką. Zginęła, gdy ja i Nikki byliśmy jeszcze prawie dziećmi. Nigdy jej nie odnalazłem - mówił zduszonym głosem. Nie wiedział, czemu ale miał do siedzącej obok siebie kobiety więcej zaufania aniżeli do Hrabiego. - Nie mam dowodu, że nie żyje, dlatego gdy otrzymałem pocztą stąd jej autobiografię miałem nadzieję, że ją odnajdę.

- Domyślam się, że to ta książka, którą mi pokazałeś. A Nikki to Twoja siostra? Gdzie jest teraz?

- Nie wiem. Wiem tylko, że gdzieś w tej Dolinie i że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Nie jest jedyną zaginioną. Niedawno została zamordowana córka mojej przyjaciółki. Miała na imię Mary. Napisałam do Ciebie, bo jest ona już nie pierwszą ofiarą. Wszyscy nas zawiedli. Jesteś naszą ostatnią nadzieją.

Detektyw słuchał z uwagą opowieści o młodej, pełnej życia dziewczynie. Tym bardziej się denerwował, bo z tego, co mówiła

Lady M. wynikało, że wszystkimi zaginionymi były dziewczyny i kobiety mniej więcej w jednym wieku, w wieku Nikki. Jeden szczegół mu nie pasował w jej opowieści.

- Opowiedziałaś mi, Pani, tylko o jednej dziewczynie, ale z Twojej opowieści wynika, że jest więcej przypuszczalnych ofiar.

- Tak. Zaginęły dwadzieścia cztery osoby. Twoja siostra może być dwudziestą piątą. Wszystkie pochodzą z dobrych, arystokratycznych domów.

- Oprócz Nikki - zauważył detektyw. W jego głosie dał się słyszeć żal. Lady ścisnęła nieco mocniej jego dłoń. Spojrzał w jej modre oczy.

- Wasza matka była bardzo szanowaną osobą w Przeklętej Dolinie.

- Co z tym wszystkim ma wspólnego jej autobiografia?

- Na pierwszy rzut oka nic, ale...

Nie dokończyła. John usłyszał świdrujący uszy świst. Powóz przechylił się niespodziewanie skręcając i detektyw wylądował w ramionach Lady. Poczuł się niezręcznie, gdy jego usta znalazły się między jej piersiami.

- Bardzo Panią przepraszam - zaczął zawstydzony i wrócił na swoje miejsce.

- To było bardzo przyjemne - uśmiechnęła się do niego życzliwie - ale na to będziemy mieli jeszcze dzisiaj czas. - Zawiesiła zagadkowo głos.

Drzwi karety otworzyły się i Mothman zobaczył uśmiech na twarzy stangreta.

- Jesteśmy na miejscu.

Przetarł oczy niedowierzając widokowi miejsca, w którym się znalazł. Urzekł go barokowy styl pałacyku. Mimo mgły i strug deszczu dostrzegał najmniejsze szczegóły dekoracji ogrodu. Stajenny wprowadzając powozy przez ogromną, zwieńczoną łukiem bramę wspominał o krwiożerczych psach strzegących posiadłości. Tuzin tych bestii był teraz zamknięty w specjalnie przystosowanym do tego celu budynku na tyłach posiadłości. Mothman słyszał tylko ich zacięte ujadanie. Stajnia znajdująca się kilka metrów od ściany budynku z łatwością mogła pomieścić kilkanaście koni. Ładny dworek – pomyślał, ale dopiero, gdy detektyw przekroczył próg głównego holu mógł ocenić go lepiej. Obrazy, gobeliny na czyściutkich ścianach, kilka jadalni i dwa saloniki sprawiły, że poczuł się jak członek wycieczki zwiedzającej

zamek. Służba krzątała się po całym domostwie i nie wiedział gdzie się podziać, żeby nie przeszkadzać w porządkach. Wiedział, że posprzątać sam dom - salony, jadalnie, holle, kilkanaście pokoi, łazienki i ubikacje, sypialnie, których z pewnością było kilka, nie licząc przybudówek i pomniejszych budyneczków wraz ze stajnią i psiarnią było nie lada wyczynem nawet dla czterdziestu ludzi. Zastanawiał się, jaki ogród pasowałby do takiego domostwa. Chciał zapytać na przyjęcie, kogo trwają takie przygotowania, ale nigdzie nie widział pana domu a Lady M. zniknęła gdzieś wydając coraz to nowe polecenia.

Detektyw postanowił zaszyć się w jakimś cichym pomieszczeniu i przeanalizować obecną sytuację. Tym bardziej, że od momentu przyjazdu czuł na sobie czyjś wzrok. Komuś wyraźnie przeszkadzała jego obecność. Zaczął podejrzewać milczącego i stroniącego od niego od pewnego czasu Hrabiego.

John wszedł do pierwszego lepszego pokoju i stwierdził, że cały dworek jest przesiąknięty iście królewskim przepychem. Złote zastawy stołowe, pianino, arcydzieła malarstwa podpisane własnoręcznie przez mistrzów. Usiadł w hebanowym fotelu obitym czerwonym suknem. Złote poręcze lśniły czystością. Lady M. lubiła wykwintne życie i kolor krwi, który dostrzegał w całym jej otoczeniu. Na szklanym stoliczku przed fotelem stał inkrustowany złotem i drogimi kamieniami kałamarz. Leżące obok, na notatniku pióro było przygotowane do pisania. Mothman rzucił tylko okiem na nogi stoliczka. W oczach zaświeciło mu złoto, a pod blatem ujrzał chyba największy na świecie krwawnik. Nie namyślając się chwycił obłożony skórą notatnik, umoczył pióro w kałamarzu i zaczął spisywać swoje spostrzeżenia.

* * *

Nie ominął najmniejszego nawet szczegółu. Wypisał wszystkie pytania i wątpliwości. Narysował sobie nawet drzewko osób podejrzanych - ich krąg systematycznie się powiększał. Podejrzewał już nie tylko Cagliostro, do niego dołączyła grupka na stacji, kobieta z pociągu, Lady M. a nawet swoją własną siostrę. Kluczem do rozwiązania zagadki mogła być książka. Notatki zajęły mu kilka stron. Wstał na chwilę, żeby rozprostować nogi. Podeszedł do okna, ale dżdżysta pogoda nie chciała ustąpić nieba zachodzącemu słońcu.

Z odrętwienia wyrwało go energiczne pukanie do drzwi. Szybko schował notatki do kieszeni i usiadł w fotelu. Udawał, że dopiero się budzi. Pukanie rozległo się ponownie.

- Proszę - powiedział niechętnie.

Drzwi do pokoju otworzyły się i stanął w nich ubrany w czysty, prawie odświętny strój Cagliostro.

- Przepraszam, że Cię obudziłem. Lady M. zaprasza na posiłek - odezwał się z wymuszonym uśmiechem.

- Znajdę swój bagaż. Jak się przebiorę to przyjdę.

- Lady nie lubi czekać. Ubierz coś z szafy - Hrabia podszedł do stojącej pod ścianą szafy i otworzył ją. Johnowi stanął przed oczyma szereg najrozmaitszych męskich ubrań.

- Ale to stroje Pana domu. Nie mogę...

- Możesz. Nie widziałeś tabliczki na drzwiach wejściowych? - Zapytał ironicznie Hrabia. - Na bramie pisze to samo. I w dokumentach tego dworku też, zresztą powinny one być w Autobiografii, którą otrzymałeś. Myślałem, że już ją przeczytałeś.

- Ty mi ją wysłałeś?

- Ja tylko zredagowałem list na polecenie Lady M. Ona go przepisała i wysłała.

- Ale jak...?

- Mam dar odnajdywania ludzi. Poczekam na Ciebie w hollu - Cagliostro odwrócił się i wolno wyszedł z pokoju.

Detektyw nie był zadowolony, że ktoś pokroju Hrabiego wytknął mu brak spostrzegawczości. Wybiegł do hollu drugimi drzwiami. Po kilku minutach stał przed domem i z niedowierzaniem wpatrywał się w tabliczkę przytwierdzoną do drzwi. Drewniane zadaszenie chroniło go przed strugami ulewnego deszczu. Trzy razy przeczytał nim napis "John Mothman i Lady M." dotarł do jego świadomości. Wrócił do pokoju tą samą drogą, którą się z niego wymknął.

Po kilku minutach był już umyty i przebrany. Gdy otworzyły się drzwi i wszedł przez nie Hrabia, Mothman przyglądał się sobie w lustrze. Smoking leżał na nim jakby był szyty na miarę.

- Możemy już iść, detektywie? - Usłyszał niecierpliwe pytanie.

- Tak - odwrócił się i w tym momencie w progu pojawiła się Lady M. Długa różowawa suknia z falbanami kusząco opinała jej wąską kibić. Pełne piersi falowały z każdym jej ruchem jakby nie były niczym hamowane. Usta niemalże błagały o pieszczoty. Delikatny

łańcuszek podkreślał miękkość jej skóry. John pragnął wtulić się w te lśniące, brązowe włosy opadające kaskadą na ramiona.

Cagliostro także usłyszał jej pantofelki.

- Już schodzimy. Przepraszam, że... – zaczął, ale kobieta nie dała mu skończyć. Podeszła do Johna i delikatnie ujęła go za rękę. Nie odwracając się w stronę Hrabiego zdecydowała:

- Kolacja jest już przygotowana. Wszyscy czekają na Ciebie, Hrabio, w jadalni. My zjemy w prywatnym pokoju - uśmiechnęła się do Mothmana.

Cagliostro bez słowa wyszedł z pokoju i trzasnął za sobą drzwiami. Jego przekleństwa dały się słyszeć w całym hollu.

Niezrażona zachowaniem Hrabiego Lady M. prowadziła detektywa wzdłuż szeregu pokoi, a zapach jej perfum unoszący się wokół niej przyćmiewał mu zmysły. W końcu zatrzymali się przed masywnymi drzwiami. Lady M. otworzyła wszystkie siedem zamków i schowała klucze w fałdach sukni.

- To jest moja Twierdza.

Po tych słowach wciągnęła Johna do pokoju. Tutaj też, tak jak w innych pomieszczeniach światło zapalało się automatycznie po otwarciu drzwi. Pierwsze, co rzuciło się Mothmanowi w oczy, oprócz suto zastawionego stolika, było dwuosobowe, zasłane łoże z baldachimem.

Jego kolacja zapowiadała się bardzo interesująco.

Rozdział IV

Dzień zapowiadał się nie mniej interesująco aniżeli noc, ale z pewnością mniej upojnie. Gdy John leniwie otworzył oczy jakiś czas po przebudzeniu się, w środku nocy, nie czuł już ciepła kochanki. Sam siebie nie poznawał. To nie leżało w jego charakterze, ale w tej chwili nie miał nawet wyrzutów sumienia wobec Nikki. Po kilkunastu minutach wstał z łóżka. Nie zakręciło mu się w głowie, czego się tak bardzo obawiał, ale nie umiał sobie przypomnieć, co dokładnie wydarzyło się minionej nocy. Pamiętał smak czerwonego, półsłodkiego wina, po którym puste puchary stały jeszcze na stoliku, obok półmisek, z niedojedzonymi resztkami pieczonego bażanta i innymi potrawami.

Nad ich zapachem górowała delikatna woń różanych perfum Lady M. Mothman nie wiedział skąd, ale tkwiło w jego świadomości, że ta kobieta musiała być jego żoną. Czuł się tak jakby nagle znalazł się w zupełnie innym świecie, wolnym od jakichkolwiek trosk.

Na języku czuł jeszcze lepką słodycz Lady.

Stał nagi i wspominał uczucie ciepła na podbrzuszu, które towarzyszyło mu tej nocy.

Po drugiej stronie łóżka, na pomiętej pościeli czekało na niego świeże ubranie, godne Pana Domu. Wrzucił je na siebie w pośpiechu. Czas zobaczyć, co się tu dzieje - pomyślał.

Machinalnie włożył rękę do kieszeni. Pod palcami poczuł coś jakby kawałek papieru. Może to liścik miłosny od żony? - Uśmiechnął się sam do siebie. Ale nie był to liścik.

Nogi ugięły mu się z przerażenia. Cofnął się o kilka kroków i opadł ciężko na łóżko. Płacz wstrząsnął całym jego ciałem. Drzwi do pokoju były zamknięte, więc nikt nie mógł usłyszeć szlochu detektywa. Z kawałka papieru patrzyła na niego twarz Nikki - te same oczy, włosy i usta, chociaż była bardzo zniekształcona. Patrząc na jeden zakrwawiony oczodół dostawał mdłości.

Dziewczyna, a raczej jej nieme zdjęcie patrzyło na detektywa błagalnie i jakby z wyrzutem. Nikki, którą trzymał teraz w dłoni miała zaszyte igłą i niemi usta, a w ich kąciach widać było zakrzepłe krople krwi. Jakby jej język ucięli, żeby nie mogła mówić. Jaki zwyrodnialec... A może to ktoś chory żartuje sobie ze mnie... - myślał. - Cały ten dom jest chory, ale już ja go wyleczę. Czuł, że cały trzęsie się ze złości.

Jej piękne, złote włosy były potargane i zlepione, a cała twarz jakby pocięta nożem.

John był tak wstrząśnięty, że nie słyszał, kiedy drzwi do pokoju się otworzyły. Nie interesowało go, co się wokół niego dzieje. Podniósł głowę i ujrzał ubraną w błękitną suknię Lady M. Biła od niej świeżość i pełnia energii.

Mothman, w innych okolicznościach rzuciłby się na nią i przygniótł do ściany albo do łóżka, ale teraz jedynie opuścił wzrok i wbił go w zdjęcie dziewczyny.

- Widzę, że masz już to zdjęcie - zaczęła zagadkowo, ale detektyw nie dał jej dokończyć.

W mgnieniu oka, niczym lew dopadł swą ofiarę. Chwycił ją za włosy i brutalnie przeciągnął przez pokój. Rzucił ją na łóżko i przygniótł swym ciałem. Szarpała się jak ranne zwierzę, ale silnym uściskiem trzymał jej przeguby rąk nad głową, a wolną ręką macał stojącą obok szafkę w poszukiwaniu czegoś ostrego. Znalazł jedynie nóż do otwierania listów. Przyłożył jego ostrze do gardła kobiety. Oddychała coraz trudniej, ale nie przestawała się szamotać. Nawet nie krzyczała.

- Co zrobiliście mojej siostrze? - pytał przez zaciśnięte zęby. - Skończysz gorzej niż ona.

Lady M. nawet mu nie odpowiedziała. Tylko patrzyła na niego wymownie.

- To nie jest... - zdążyła z siebie wykrztusić gdy nagle, zupełnie niespodziewanie poczuł mocne uderzenie w tył głowy. Jego ciało bezwładnie opadło na kobietę. Nim stracił całkowicie przytomność usłyszał jeszcze wściekłe słowa Hrabiego:

- Smiths wracają.

Nic więcej już nie usłyszał.

* * *

Nikki sama nie wiedziała gdzie idzie. Była jakby na wpół świadoma tego, co robi. W sercu czuła dziwne ciepło, jakby ktoś w nie wlał nową nadzieję. Coś mówiło jej, że powinna znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, chociaż sama nie bardzo wiedziała, przed czym ma się chronić.

Szła przed siebie omijając kawiarnie, głośnie speluny i podejrzane uliczki, które, jak podejrzewała panienki z dobrych domów starały się omijać.

Z każdą chwilą stawało się coraz ciemniej i tylko latarnie rozświeślały mrok, choć i one z trudem przebijały się przez gęstą

mgłę. Zwolniła kroku by nie potknąć się w ciemnościach o jakiś kamień.

W zasadzie to nawet nie zastanawiała się gdzie idzie. Nogi same ją prowadziły, a serce ciągnęło ku tylko jemu znanemu miejscu.

Właśnie mijała kolejną, straszącą ruiną posiadłość i dobudowaną do niej karczmę, gdy nieoczekiwanie jej drzwi otworzyły się na oścież. Wyszło z niej kilku ledwo trzymających się na nogach klientów. Nikki odruchowo przyspieszyła kroku. Nie oglądała się w ich stronę - dobrze wiedziała, jakie szumowiny mogły zbierać się w takich miejscach.

Pamiętała pikantne opowiadania brata mające na celu ostrzeżenie i przestraszenie jej na przyszłość.

Chciała jak najszybciej ukryć się w ciemnościach nocy, ale, ku swemu przerażeniu zorientowała się, że grupka mocno podchmielonych mężczyzn ją dostrzegła.

- Panienko, gdzie się tak śpieszysz? - Usłyszała chrypiący głos.

- Zgubisz się sama. Poczekaj, odprowadzimy Cię! - Zaśmiał się złowieszczo inny pijany głos.

Mężczyźni widocznie postanowili nie dać łatwo za wygraną. Nikki słyszała ich wulgarne propozycje i, z gwałtownym biciem serca zaczęła biec.

Cały czas czuła na karku ich gorące, śmierzące oddechy. W głębi serca ucieszyła się jak jeden ze ścigających ją mężczyzn potknął się o coś i upadł na ziemię. Na całą ulicę rozległy się wtedy jego obelżywe przekleństwa i "obietnice" pod adresem dziewczyny. Nikki bała się nawet myśleć, co by się z nią stało gdyby ją złapali.

Cały czas deptali jej po piętach. Skręciła za róg rozsypującej się kamienicy. Chciała jak najszybciej zgubić pościg. Jeden z napastników wcześniej wpadł na ten sam pomysł i skręcił we wcześniejszą przecnicę. Nikki dobrze wiedziała, że sama, w obcym miejscu ma nikłe szanse ucieczki, tym bardziej, że ścigający ją, mimo stanu odurzenia świetnie znali okolicę. Po chwili przekonała się jak bardzo.

Za następnym zakrętem wpadła w rozwarte ramiona jednego z napastników. Ten aż mlasnął z radości łapiąc długo oczekiwaną zdobycz. Krzyknął do swoich towarzyszy, a zapach z jego ust przyprawił ją o mdłości. Nikki próbowała się wyrwać z trzymających ją tłustych i spoconych rąk. Im bardziej się wyrywała tym mocniej oprawca ścisnął ją ramionami. Wyszczерzył żółte zęby w uśmiechu i zaczął przybliżać swoje do jej ust.

Dziewczyna z obrzydzeniem splunęła mu prosto w twarz i kopnęła kolanem w jądra. Napastnik wydał z siebie ryk śmiertelnie ranionego bawoła, puścił Nikki i złapał się za obolałe miejsce. Odetchnęła z ulgą.

- Przeklęte miejsce - pomyślała.

Mimo odżegnania niebezpieczeństwa nadal nie czuła się zbyt bezpiecznie. Cofała się krok po kroku i aż krzyknęła, gdy poczuła parę rąk obłapiających jej piersi. Ze strachu serce podeszło jej aż do gardła.

Napastnik brudną od sadzy dłonią zatkał jej usta. Nikki nie miała już nawet siły, żeby się szamotać.

- Mam przeczucie, że wkrótce nasze sprawy przybiorą szybszy obrót - Gvidon siedział z zamkniętymi oczami na krześle.

Samuel patrzył na ojca w milczeniu. Liczył na to, że może dowie się czegoś więcej, ale Gvidon umilkł. Nie chciał zdradzać swoich myśli. Samuel musiał się dowiedzieć, co ojciec miał na myśli, co przed nim ukrywał. Młody prawnik nerwowo spacerował po spartańsko umeblowanym pokoju. Gvidon zawsze był oszczędny, skąpy nawet, a bogactwo rodziny miało być tylko na pokaz. Samuel zatrzymał się tuż przed krzesłem, na którym siedział jego ojciec, a jego cień złowrogo padł na starszego prawnika. Ten jednakże nawet nie otworzył oczu, żeby na niego spojrzeć. Siedział z opuszczoną głową, podpartą dłońmi. Jego łokcie wbijały się mocno w blat stołu.

- To znaczy?

- Odbieram dziwny przekaz. Ktoś próbuje się z nami skontaktować - Gvidon nadal nie otwierał oczu.

- Nie pierwszy raz - Samuel machnął lekceważąco ręką. - To nic nie znaczy.

Odetchnął z ulgą.

- Wręcz przeciwnie - Samuel aż przystanął z wrażenia. To nie był głos jego ojca. Zdawało mu się, że słyszy kogoś ze swej przeszłości; kogoś tak potężnego jak on sam. Ale czy to możliwe, żeby po tym wszystkim, co nastąpiło od ich ostatniego spotkania. To niemożliwe, żeby ten człowiek mógł jeszcze nawiązywać jakikolwiek kontakt mentalny.

Gdy Samuel widział go po raz ostatni, jego największy wróg wyglądał jak człowiek, co najmniej w wieku dziewięćdziesięciu lat, a jego dziwne oczy sugerowały, że mógłby być jeszcze o wiele starszy. Od tego czasu do dnia dzisiejszego minęło kilka lat.

Samuel był pewien, że ten starzec już dawno szezł w lochach tartaru. Ale odkąd dowiedział się, że to zombie, jak go często nazywał, nadal żyje i próbuje pomagać Mothmanowi czuł, że powoli traci grunt pod nogami. Ale to, że jeszcze miał na tyle siły psychicznej, żeby się z kimś kontaktować jak z medium przeraziło go.

- Cieszę się, że mnie poznajesz.

Samuel wszędzie rozpoznałby głos Cagliostro.

- Czego chcesz? - Zapytał grubiańsko, gdy otrząsnął się z pierwszego wrażenia.

- Mam dla Was interesującą propozycję.

W głosie Hrabiego nie dało się wyczuć żadnych emocji.

- Ani ja ani mój ojciec...

- Wiem, czym się zajmujesz. Mogę Ci pomóc albo Cię zniszczyć. Twój wybór. Czekam na odpowiedź po Waszym powrocie do Doliny.

Samuel chciał jeszcze coś powiedzieć, ale połączenie z Hrabią zostało przerwane. Gvidon powoli znów stawał się sobą. Oddychał powoli, ale miarowo jakby obudził się długiego snu.

Młody prawnik nerwowo chodził po pokoju.

- Musimy pierwszym pociągim dotrzeć do Przeklętej Doliny. Nastąpił przekaz - powiedział nie przestając krążyć po spleśniałej podłodze.

- Od kogo? - Gvidon był całkowicie zaskoczony.

Wyraźnie się ożywił. Samuel był przyzwyczajony do tego, że jego ojciec zawsze zapominał szczegółów tuż po zakończeniu kontaktu.

- Od Cagliostro.

Ta krótka odpowiedź sprawiła, że starszy prawnik machinalnie się przeżegnał. Samuel nawet nie zwrócił uwagi na ten odruch dewocji ojca. Obaj milczeli zatopieni we własnych myślach. Ciszę przerwało nieśmiałe pukanie do drzwi. Samuel miał nadzieję, że gość się jednak rozmyśli i odejdzie, ale po kilku sekundach ciche, przerywane pukanie rozległo się ponownie. Młody prawnik podszedł i wolno otworzył drzwi.

Obaj domyślali się, kim może być wieczorny gość - zostawili wyraźne wskazówki recepcjoniście na parterze, kogo ma im szukać, ale takiego widoku się nie spodziewali. Nawet Gvidon wstał i otworzył usta w niemym podziwieniu ujrawszy stojącą w progu kobietę. Mimo chłodnej, wieczornej pory ubrana była niemalże tak jakby dopiero zeszła z plaży.

Pewnie mieszka w tym hotelu, pomyślał Gvidon. Jego wzrok zatrzymał się na czarnej, połyskującej bluzeczce ściśle przylegającej do ciała. Przez siateczkę można było dostrzec nagie, pełne piersi. Jak zaczarowany patrzył na jej głęboki dekolt. Samuel natomiast zamknął za nią drzwi, gdy weszła do pokoju. Przyjrzał się jej szczupłym udom ukrytym pod czarną spódniczką. Długie nogi dziewczyny były gładkie jak polerowane ostrze.

- Jak masz na imię?

- Jackie - głos miała jeszcze dziewczęcy. Ta rudowłosa piękność o modrych oczach i pełnych wargach mogła mieć zaledwie dwadzieścia lat, ale doświadczeniem zapewne mogła pokonać niejedną konkurentkę. Miała wszelkie walory, aby zostać gwiazdą. Na samą myśl o tym się uśmiechnęła. Ona także odwzajemniła jego uśmiech.

Nie dała po sobie poznać, jakie na pierwszy rzut oka pokój zrobił na niej wrażenie. Najwyraźniej była przyzwyczajona do pracy w różnych miejscach. Nie okazała także zdziwienia, gdy Samuel położył dłonie na jej kształtnej pupie. Kolejny pociąg do Przekłêtej Doliny odjeżdżał dopiero o brzasku, tam chcieli się z kimś spotkać i dopiero powiadomić Cagliostro, a więc mieli jeszcze około czterech godzin czasu.

- Nie bój się, Jackie - powiedział Gvidon zbliżając się do dziewczyny. - Wszystko zostanie w rodzinie. Będziesz naszą gwiazdą na jedną noc.

* * *

Pierwszym uczuciem, które przeniknęło jego ciało po odzyskaniu przytomności był przeszywający ból głowy. Na szczęście pamiętał, co się stało. Delikatnie dotknął potylicy i pod palcami poczuł zimny, wilgotny materiał. Domyślił się, że bandaż przesiąkły krwią. Miał wrażenie, że był nieprzytomny cały dzień. Znów leżał na łóżku. Wiedział, że nie powinien zabijać Lady M., ale nie panował nad swoimi uczuciami. Gdyby nie cios zadany przez Cagliostro ta kobieta nie siedziałaby teraz tak spokojnie na fotelu naprzeciwko łóżka. Światło w pokoju było nieco przygaszone, ale wyraźnie widział swoją żonę. Siedziała i przyglądała mu się w milczeniu.

Detektyw z wysiłkiem i zaciśniętymi z bólu zębami usiadł na łóżku. Nigdzie nie dostrzegł hrabiego. Przez chwilę patrzyli na siebie nie wiedząc, co powiedzieć.

- Źle mnie oceniłeś. To nie jest zdjęcie Nikki, to Mary. Musisz mi pomóc ją odnaleźć, choćby po to, żeby ją pochować. Po to Cię wezwałam.

- Nikki może być następna – pomyślał.

Samuel i Gvidon czuli się zupełnie bezkarni, gdy opuszczali tandetny motel. Mimo, że byli jego jedynymi gośćmi nie przypuszczali, żeby ktoś ich słyszał. A gdyby nawet to i tak nikt nie mógłby ich odnaleźć.

Teraz, gdy siedzieli już spokojnie w pociągu i zbliżali się do Przekłêtej Doliny, zastanawiali się ile czasu upłynie nim ktokolwiek znajdzie ciało Jackie. Nie spodziewali się, żeby specjalnie ktoś jej szukał. Z doświadczenia wiedzieli, że z reguły dziewczyny takiego pokroju jak ona nie miały rodzin ani znajomych. A gdyby nawet ktoś ją znalazł, to i tak nie mógłby rozpoznać jej zmasakrowanej twarzy.

I tak jak jej powiedzieli - wszystko zostało w rodzinie.

* * *

Zbliżał się poranek, ale na ulicach Przekłêtej Doliny mgła szczelnie zasnuwała zaułki. Wiatr tańczący wśród liści drzew zagłuszał krzyk Nikki. Jej oprawcy dopiero teraz rozpoczynali swoją zabawę. Poczuli jak rozpinają jej spodnie. Znów zaczęła się szarpać, ale nadal bez rezultatu. Poczuli jak te dłonie, które jeszcze przed chwilą ledwo ją złapały, teraz bez trudu rozpinają jej spodnie i zdejmują je z niej. Po chwili, wśród obłęsnego uśmiechu, odrzucającego zapachu i oddechu nieco już otrzeźwiałych napastników to samo uczynili z jej majteczkami. Teraz ich ruchy stawały się coraz bardziej skoordynowane, co oznaczało, że oprawcy zaczęli dochodzić do swego naturalnego stanu. Ich dłonie krążyły i zagłębiały się w coraz bardziej intymne miejsca jej ciała. Do napastujących ją mężczyzn dołączyło jeszcze kilka osób.

Jej przerażenie sięgnęło szczytu, gdy na wysokości pupy poczuła coś podłużnego i bardzo twardego. Nie mogła nawet krzyknąć, bo we mgle nie widziała, kto, ale ktoś ponownie zatkał jej usta i wsunął w nie palec.

Ale nic nie robili więcej i Nikki zupełnie nie wiedziała, co się stało.

- A może ze mną się zabawicie? - Usłyszała za swoimi plecami głos, który sprawił, że na chwilę odebrało jej mowę. Nie wiedziała,

do kogo należał, ale po jego barwie zrozumiała, że choć ochrypli to jednak był to głos jakieś kobiety. Nikki była pewna, że teraz obie zginą, ale wydarzyło się coś, czego zupełnie się nie spodziewała.

Jeden z oprawców z przeraźliwym krzykiem przyłożył dłoń do oczu. Nikki nie wiedziała, co się dzieje. W otaczającej ją mgle dostrzegła dziwną, zielonkawą kulę, która z sekundy na sekundę stawała się coraz większa i bardziej oślepiająca. Nikki także zaczęły boleć oczy, ale miała wrażenie, że dzięki tej kuli zaczynała coś widzieć, jakby ta dziwna poświata rozrzedzała mgłę. Na jej oczach przybrała kształt rąk i palców, które skoczyły do oczu napastnika i dziewczyna widziała jak mu je wydłubały. Oślepiiony po omacku uciekł w mgłę. Pozostali oprawcy też nagle zniknęli. Nikki odwróciła się, aby podziękować tajemniczej kobiecie, ale gdy ją zobaczyła, słowa znów uwięzły jej w gardle. Patrzyła na osobę ubraną w mnisi habit. Bała się, że to ta kobieta z pociągu. Tylko jej kształty utwierdzały dziewczynę w przekonaniu, że jej wybawicielką była kobieta.

- Kim jesteś? - Zapytała, ale nie otrzymała odpowiedzi. - A jak mogę ci podziękować?

- Wystarczy, że tu przyjechaliście.

Kobieta tylko machnęła ręką. Nikki przypadkowo ujrzała zniekształconą dłoń wystającą z rękawa. Wydawało się jej, że dostrzegła palce połączone błoną, ale wołała się im nie przyglądać. Na samą myśl o tym odczuwała silne mdłości.

- Chodź ze mną - ten głos także wydawał się Nikki dość dziwny.

Do ogólnego wrażenia dołączył jeszcze jeden szczegół. Otóż tajemnicza kobieta ani na chwilę nie zdejmowała kaptura z głowy. Dziewczyna nie mogła nawet dostrzec jej twarzy. I myśląc o swoim wcześniejszym wrażeniu nie miała ochoty jej oglądać. Mimo to, z bijącym ze strachu sercem ubrała się i zdała się na jej przewodnictwo.

* * *

Detektyw dopiero po chwili otrząsnął się z ogarniającej go apatii. Chcąc nie chcąc musiał raz jeszcze zaufać siedzącej naprzeciwko niego kobiecie.

- Założmy, że to wszystko prawda - jego bezbarwny głos powinien dać jej do myślenia.

- Jest jakby bliźniaczką twojej siostry. Mogłeś się pomylić patrząc na wycięty kawałek gazety. Nie mam do ciebie o to żalu.

Mothman tylko machnął lekceważąco ręką jakby to nie miało dla niego znaczenia. W rzeczywistości jednak było zupełnie inaczej.

- Jeśli mamy współpracować... - zmienił temat i odwrócił wzrok od kobiety, kierując go na jeden z arrasów wiszących na ścianie. - To powinniśmy się zastanowić gdzie rozpocząć poszukiwania. Masz jakiś pomysł?

- Hrabia Cagliostro mógłby nam pomóc, ale zauważyłam, że niezbyt przyjaźnie się do siebie odnosicie.

Ciekawe spostrzeżenie, zauważył w duchu. Ale trudno wymagać od niego, żeby szczególnie lubił podejrzanego indywidua.

- Myślę... Jest takie jedno miejsce, to Bloody Cemetery. Nie wiem skąd wzięła się nazwa tego cmentarza. Jedna z ofiar tych maniaków została na nim pochowana, ale tutejsi Strażnicy nie zezwolili na oględziny zwłok. Może ty, swoim zawodem jakoś ich przekonasz.

- Nie wiem. Guardianie zwykle mnie unikają - udał, że się nad tym zastanawia, ale tak na prawdę uderzyło go stwierdzenie Lady. Nie wiedział czy się przejęczyła czy wiedziała coś więcej o popełnianych w dolinie morderstwach. Czemu powiedziała o sprawcach a nie o sprawcy? Nie wierzył w jej intuicję. - Ale spróbuję.

Po kilkunastu minutach pożegnał się z Lady M. Nie chciał tracić czasu na niepotrzebne rozmowy. Wyjaśnienia kobiety mogły być całkowicie fałszywe, ale musiał sam się o tym przekonać. Dostał od niej mapę Przeklętej Doliny i kierując się nią ruszył w stronę cmentarza.

Dziwnie czuł się w urzędowym stroju, ale czasem okoliczności zmuszały go do jego noszenia. Bardzo go nie lubił.

Wiedział, kogo ma szukać. Ze słów Lady wynikało, że ofiarą była córka miejscowego prefekta. Była tak zmasakrowana, że ojciec ledwo ją rozpoznał. Detektyw domyślał się, że łatwo odnajdzie miejsce jej pochówku - rodziny księży przeważnie miały okazałe groby. A gdyby było inaczej to zna jej nazwisko. Mimo mało sprzyjającej nawet na spacer pogody, nie wezwał woźnicy i nie skorzystał z powozu czekającego w stajni. Pomyślał, że spacer i chłodny wiatr wstającego dnia wywieje mu z głowy myśli udręki. Zdawał sobie sprawę, że nadal walczy z cieniem. Liczył na to, że

idąc ulicami Przekłętej Doliny natknie się na ślad Nikki. Przecież ktoś musiał ją widzieć.

Stanął pod latarnią i w jej nikłym świetle spojrzał na mapę. Musiał założyć okulary i mocno wyteńczyć wzrok, żeby coś na niej dostrzec. Na ulicach nie widać było żywej duszy i skazany był tylko na swoje zmysły. Dowiedział się od Lady, że cmentarz znajduje się w środku doliny i tym się kierował. Spojrzał na tabliczkę na ścianie na pobliskiej kamienicy: znajdował się na ulicy Gościniec Podróżnych. Z trudem odszukał ją na mapie i upewnił się, że idzie w dobrym kierunku - do centrum doliny. Lada chwila powinien dotrzeć do cmentarza. Złożył mapę i schował ją wraz z okularami do kieszeni, co i raz to oglądając się na boki.

Raźniejszym krokiem skręcił w najbliższą przecznicę i po chwili, wśród opadającej mgły ujrzał żelazne ogrodzenie cmentarza.

* * *

Gvidon pierwszy wysiadł z pociągu, tuż za nim wyskoczył Samuel. Nie musiał patrzeć na zegarek, żeby się zorientować, która jest godzina - w Przekłętej Dolinie nie było przeskoku czasu. Poza tym mało, który z jej mieszkańców mógł sobie pozwolić na luksus posiadania zegarka.

Prawnicy spojrzeli na niebo; chociaż noce prawie niczym nie różniły się od dni, i może właśnie, dlatego życie w dolinie toczyło się własnym tempem - obie pory były zachmurzone, dżdżyste i chłodne, a mgła rzadko się rozrzedzała, nauczył się rozróżniać bladą poświatę księżyca od ledwo przebijających się promieni słońca.

Teraz Gvidon rozglądał się uważnie wśród grupek ludzi czekających na peronie na swoje pociągi, wyraźnie kogoś wypatrując.

- Powinni już tu być - powiedział przyciszonym, niemal ledwo słyszalnym głosem Samuel. Jego czujne oczy też nikogo nie dostrzegły. Czyżby nikt na nich nie czekał?

Poczekali jeszcze chwilę i gdy już mieli odchodzić, z szarości świtu wyłoniło się kilku mężczyzn.

Wolnym krokiem podeszli do siebie.

- Nikt was nie śledził? - Zapytał Gvidon.

- Nie, ale nie tego powinniśmy się najbardziej obawiać - odparł jeden z mężczyzn. Jego twarz przypominała maskę, na której nie

malowały się żadne uczucia. Odkąd Gvidon go pamiętał, a znali się kilka lat, nie okazywał swoich uczuć.

Samuel nie umiał powstrzymać swoich emocji i chwycił mężczyznę za kołnierz płaszcza.

- Mów ważniejsze rzeczy.

Znajomy Gvidona nawet nie spiorunował wzrokiem młodego prawnika.

- Przyjechali.

Samuel odetchnął głęboko. Z biciem serca czekał na potwierdzenie swego złego przeczucia i właśnie nastąpiło to, czego się tak obawiał. Osłabł z wrażenia, puścił mężczyznę i Gvidon musiał podtrzymać syna, żeby nie upadł.

- To przez zmiany powietrza - wytłumaczył Gvidon. - Biedaczek, zawsze mu się to zdarza, gdy wracamy z jakiejś podróży. - Zdawało mu się, że uwierzyli i oby tak było.

- Gdzie są? - Głos Samuela był cichy jak szum wiatru.

- Śledziliśmy ich, ale nic o tym nie wiemy. John Mothman mieszka u Lady M.

Prawnicy spojrzeli na siebie z niepokojem. Przeszli wraz ze zwiadowcami w ustronne miejsce i ukryli się przed niepotrzebnymi świadkami ich rozmowy, w budynku stacji kolejowej.

Teraz, gdy już siedzieli w knajpce dla podróżnych i wolno sączyli piwo, mogli swobodnie rozmawiać. Mało w niej było trzeźwych ludzi i mało, kto odważyłby się zaczepić czy podsłuchiwać rozmowę jedenastu ludzi.

- Co on tam robi?

- Moi informatorzy twierdzą, że z nią mieszka, podobno jak mąż z żoną.

Gvidon nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

- Może właśnie to chce nam przekazać Cagliostro - powiedział słabym głosem Samuel, który długo nie mógł dojść do siebie.

- Możliwe - odparł inny ze zwiadowców. - On także mieszka w tym domu.

Gvidon, usłyszawszy to, zakrztusił się piwem.

- Muszą się nienawidzić. A co z dziewczyną?

- Uciekła nam. Żyje, ale ciężko będzie ją odnaleźć.

- Skoro ją zgubiliście to skąd pewność, że jeszcze żyje?

- Była napastowana przez grupkę pijanych mężczyzn. Nie zdążyli jej zgwałcić, bo uratowała ją... - nie wiedział jak to powiedzieć.

Prawnicy, z jednej strony odetchnęli z ulgą, że Nikki nic się nie stało, ale z drugiej strony wyczuwali jakieś nieokreślone niebezpieczeństwo.

- Kto? - Dopytywał się Gvidon. - I gdzie to miało miejsce?

- Niedaleko Klasztoru St. Mary.

Oczy Samuela rozszerzały się coraz bardziej.

- Kobieta - kontynuował ich rozmówca. - Ubrana w mnisi habit. I o bardzo dziwnym głosie.

- Widziałeś jej twarz?

- Nie, ale z jej całej postaci emanowała jakaś zielona poświata. Gdy dotknęła jednego z napastników poczułem swąd palonego mięsa i biedak uciekał z krzykiem, jakby go obdzierano ze skóry. Pozostali napastnicy także się rozpierzchli w popłochu.

- I nie widziałeś jej twarzy? - Jeszcze raz zapytał Samuel.

- Nie, stałem za daleko. Poza tym skryła ją pod kapturem.

Prawnicy spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Podziękowali swoim rozmówcom, zostawili kilka złotych monet na zapłacenie rachunku i wyszli z budynku stacji, zostawiając mężczyzn przy pełnych kuflach.

- Musimy spotkać się z Cagliostrem.

- Ojcie. Myślisz, że to ona mści się po tylu latach?

- Nie mam żadnych wątpliwości. Musimy znaleźć dziewczynę.

- Ale gdzie?

Gvidon milczał.

* * *

Miejsce było dość przygnębiające. Odczuł to, gdy tylko zbliżył się do marmurowej, zarośniętej bluszczem i powojem bramy. Lady M. Ostrzegła go przed Strażnikami, ale żadnego z nich jeszcze nie spotkał na swej drodze. Nikt nie zatrzymał go nawet wtedy, gdy bez pozwolenia przeciskał się przez zardzewiałą, na wpół otwartą kratę. Zresztą zdawało mu się, że tak na prawdę cały cmentarz był bez dozoru. No, może tylko czarny kot był stróżem.

Zwierzę uciekło z sykiem spod buta detektywa, gdy mijał krzaki rosnące w pobliżu zaniedbanych grobów. Mothman dostrzegł tylko wystające żebra i liniejące futro kota. Długo do jego uszu

dobiegało jeszcze miauczenie zwierzęcia, ale sam kot zniknął gdzieś między grobami.

Mothman wiedział, że będzie musiał sprawdzić wszystkie mogiły nim znajdzie interesujący go grób. Cmentarz imponował mu wielkością i detektyw przygotował się na kilkugodzinne poszukiwania.

Zaczął od grobów znajdujących się wokół, gdzieniegdzie pękającego i rozsypującego się już ogrodzenia. Następnie spoglądał na groby, krzyże i figury przedstawiające anielskie postacie, ale na żadnym z nich nie znalazł szukanego imienia i nazwiska.

Stopniowo zbliżał się ku środkowi cmentarza mijając poniszczone, popękane i zdewastowane groby, i obawiał się, że jego poszukiwania okażą się daremne, gdy, przeciskając się pomiędzy sięgającymi mu aż do piersi grobowcami, i odsuwając dłonią zroszone liście topoli rosnącej między nimi dostrzegł coś, co wyraźnie przykuło jego uwagę. Po prawej stronie ścieżki znajdował się mały, zupełnie niewidoczny wśród gałęzi grobowiec. Mothman zapewne nie zwróciłby na niego uwagi, tym bardziej, że napis na nim był mało czytelny. Ale na płycie nagrobnej siedział czarny kot, który kilka godzin wcześniej uciekł detektywowi spod buta, i wpatrywał się w niego prowokująco.

Mothman podszedł powoli do grobu. Gdy stanął tuż przed nim, kot zamiauczał jakby chciał mu coś powiedzieć i czmychnął z płyty. John, nie zastanawiając się nad tym, co robi, machinalnie pochylił się nad grobem. Nie zważając na szkło, dłonią zepchnął na ziemię potłuczone znicze i zwiędłe kwiaty. Jego oczom ukazał się zalany miejscami napis. Paznokciami zdrapał parafinę i przeczytał: Julie James. Znalazł ją, której szukał.

- To święte miejsce. Bez pozwolenia nie wolno tu wchodzić.

Drgnął słysząc te słowa. Nie spodziewał się, że ktoś go śledzi. Odwrócił się i ujrzał, stojącego przed sobą i rzucającemu mu złowrogie spojrzenia, mężczyznę. Patrząc na niego detektyw poznał, że takich ludzi miała na myśli Lady M. mówiąc o strażnikach.

Zacięta twarz i zimne oczy świadczyły o charakterze tego człowieka, dla którego nic się nie liczyło oprócz służby. Tylko, że Mothman nie bardzo wiedział, komu ten człowiek służył.

- Jestem tu w celach służbowych - odparł i sięgnął do kieszeni uniformu po dokumenty.

Strażnik nic się nie odezwał, tylko zmarszczył szpakowate brwi i przyglądał mu się badawczo. Mothman wyjął legitymację i podał mężczyźnie mówiąc:

- Prowadzę dochodzenie w sprawie zaginięć i zabójstw młodych kobiet.

Guardian albo go nie słuchał, albo bardzo dobrze udawał brak zainteresowania. W milczeniu przeglądał książeczkę legitymacyjną. Wyraźnie zwęziły mu się oczy, gdy zobaczył nazwisko i zawód Mothmana. Nie uszło to uwagi detektywa, który postanowił podążać dalej obraną ścieżką.

- I chciałbym obejrzeć zwłoki Julie James.

Strażnik drgnął i spojrzał groźnie na Mothmana. Z oczu biły mu błyskawice. Detektyw jednak wytrzymał jego spojrzenie.

- Dzisiaj to niemożliwe, Panie Detektywie - powiedział ironicznie i podkreślając ostatnie wyrazy. Z niechęcią oddał mu legitymację.

Mothman nie odpowiedział, schował dokument i skierował się ku bramie cmentarza. Czuł jednak odprowadzający go wzrok strażnika. Na pożegnanie usłyszał jeszcze:

- Śledztwo może niczego nie wykazać. A jeśli wykaże to tym gorzej.

Gdy Mothman obrócił się, ujrzał tylko oddalającego się człowieka. W promieniach słońca, ledwo przebijającego mgłę dostrzegł znajomy symbol, wyszyty na plecach munduru strażnika. Była to prosta, gruba kreska, od której, po prawej stronie, ukośnie skierowane w dół, i symetrycznie odchodziły dwie linie równej długości, tworząc jakby pół dłuższej strzałki, i leżące na niej pół krótszej. Widział go wśród krwistych znaków, znajdujących się na stronicach "Autobiografii" Mary Mothman.

Sprawdzi to po powrocie do domu.

Tu znajdziesz schronienie. Tu będziesz bezpieczna - kołatały jej w głowie słowa tajemniczej wybawicielki. I tak właśnie było.

Siedziała w specjalnym pokoju, Pokoju Zagubionych Dusz - jak go nazywały opiekujące się nią zakonnice. Klasztor St. Mary wydawał się być najspokojniejszym miejscem na świecie. Nikki kontemplowała jego piękno. Nie był to taki klasztor, o jakich słyszała w opowiadaniach matki. Był piękny, ale gustowny i skromny. Nie było w nim marmurów, drogich kamieni - wszystko było w drewnie. Obrazy, ryciny - naliczyła ich jedenaście. Na ołtarzu zauważyła tylko posąg w kształcie krzyża, ale nie dostrzegła figurki Chrystusa. Nigdzie też nie widziała miejsca

ukrycia Hostii. Pomyślała, że pewnie ksiądz przynosi ją na początku mszy.

Tyle zdążyła zauważyć, gdy wraz ze swoją wybawicielką przemierzała klasztor i teraz zastanawiała się nad tym w Pokoju Zagubionych Dusz. W sąsiedniej komnacie tajemnicza kobieta rozmawiała z księdzem.

Minęło kilkanaście minut nim drzwi się otworzyły i weszli do pokoju. Zakonnice wyszły zabierając naczynia do kuchni.

- Smakowało? - Zapytał ksiądz. Miał może trzydzieści lat i łagodne rysy twarzy. Jego głos wlewał ukojenie w serce.

- Tak. Bardzo dziękuję, Ojcze - odpowiedziała wstając zza stołu.

- Siedź, moje dziecko - poczuła nienaturalną siłę uścisku jego dłoni na swoim ramieniu. Była tak brutalna, że Nikki musiała ponownie usiąść za stołem. Ta siła zupełnie nie pasowała do łagodnego oblicza księdza.

- To jest Ksiądz Hugon - powiedziała tajemnicza kobieta. - Jest proboszczem tego klasztoru. Będzie traktował cię jak ojciec.

- Nie bój się. To nie więzienie - po tych słowach zostawił kobiety same, wychodząc z pokoju.

- Pokażę ci twoją sypialnię.

Nikki wstała i, wraz ze swoją wybawicielką wyszły z pokoju.

Ciekawość nie pozwalała mu nawet na chwilę oderwać myśli od tajemniczego symbolu. Gdy tylko przekroczył próg domu, przebieg kilka pokoi w poszukiwaniu Lady M. Nie zamknął nawet drzwi wejściowych. Służba nie wiedziała, co się stało, i przezornie wołała zejść mu z drogi, a nawet nie wychodzić z pokoi.

Odgłos jego butów roznosił się po parkiecie.

Mothman myślał, że pierwszą osobą, jaką spotka będzie Cagliostro, ale tak się nie stało. Zamiast niego, nieomal na niego nie wpadając wyłoniła się pobliskiego pokoju młoda pomocnica kucharki. Na rękach niosła kilka dopiero, co umytych talerzy. Detektyw nie zważał na nic. Stanowczo zagroził jej drogę. Mocno chwycił ją za ramiona, tak mocno, że wypuściła talerze z rąk. John jakby nie słyszał tłukących się naczyń. Młoda dziewczyna nie odważyła się nawet spojrzeć mu w oczy.

- Przepraszam - powiedziała tylko ledwo słyszalnym, wystraszonym głosem. - Nic nie zrobiłam.

Detektywowi zrobiło się jej żal. Skarcił sam siebie w duchu i powiedział już nieco łagodniejszym głosem:

- Nic się nie stało. Wystraszyłem Cię. Chciałem się tylko dowiedzieć gdzie jest Lady.

Zwolnił uścisk i dziewczyna odetchnęła z ulgą. Nadal nie miała odwagi podnieść na niego wzroku. Była od niego niższa, więc musiał patrzeć na nią z góry i wyraźnie widział jej pełne, unoszące się szybko piersi. Starał się odegnać od siebie sprośne myśli, ale nie potrafił oderwać wzroku od atrybutów kobiecości młodej dziewczyny.

- Pani jest w ogrodzie, ale prosiła, żeby jej nie przeszkadzać.

- Nie bój się. Wezmę odpowiedzialność na siebie - pogłaskał ją lekko po buzi. Dziewczyna przycisnęła swoją dłońią jego rękę do policzka.

- Dziękuję – wyszeptała.

John chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nagle puściła go i uciekła do drugiego pokoju. Mothman przez chwilę zastanawiał się nad jej zachowaniem, po czym przemierzył kilka korytarzy i wyszedł na balkon jednego z pokoi.

Schody prowadziły do ogrodu, który na oko mógł mieć kilka hektarów wielkości. Mothmanowi zdawało się, że w oddali widzi postać leżącą na trawie. Kształtem przypominała człowieka. Wolno zszedł po schodach i zagłębił się w krzaki i las, przetykany gdzieś polankami. Roślinność i drzewa miejscami tylko przepuszczały blade promienie słońca. Nie wyobrażał sobie ile potrzeba rąk ludzkich do zagospodarowania takiej połaci terenu.

Minęło kilkanaście minut nim wreszcie dotarł do leżącej pod jabłonią kobiety. Podniosła na niego wzrok, odrywając wzrok od czytanej książki. Zamknęła ją, gdy tylko zobaczyła, kto przed nią stoi, i wyciągnęła do niego rękę. Widziała jego groźne spojrzenie i zacięte wargi, ale nic nie powiedziała. Nadal trzymała tylko wyciągniętą przed siebie rękę. Ale jej oczy wyrażały miłość i błaganie, którym nie mógł się oprzeć.

- Dowiedziałeś się czegoś? - Zapytała kusząco miękkim głosem. Detektyw nie odpowiedział. Chwycił ją za rękę i usiadł koło niej na trawie. Wyraz jego twarzy się nie zmienił.

- Tak myślałam. Bałam się tego. Minie sporo czasu zanim Strażnicy przyzwyczają się do ciebie i zaczną z nami współpracować.

- Tak - odpowiedział niby od niechcienia.

Chciał sprawdzić jej reakcję. Nie pomylił się - Lady M. uniosła brwi z zaskoczenia.

- Tak, dowiedziałem się czegoś - nieco skłamał. - Co to jest? - Zapytał rysując patykiem tajemniczy znak na ziemi, ten sam, który ujrzał na płaszczu Guardiana i ten sam, który widniał na stronach Biografii Mary Mothman.

Kobieta przyjrzała mu się uważnie, po czym powiedziała, starannie dobierając każde słowo:

- To bardzo silny znak. Jeden z tajemnych, magicznych i alfabetycznych znaków ludów skandynawskich. Słyszałam, że ktoś w dolinie używał tych znaków, ale było to bardzo dawno temu. Rozumiem, że widziałeś ten znak w książce. Ja też go tam widziałam, jest w niej zapisany cały alfabet.

- Nie tylko w niej go widziałem. A co możesz mi powiedzieć o ludziach posługujących się tym symbolem w dniu dzisiejszym?

Kobieta milczała. Patrzyła tylko detektywowi prosto w oczy. Jej dłoń trzęsła się i nie wiedział czy ze strachu czy z wrażenia. Chciała coś powiedzieć, ale John ją ubiegł.

- Widziałem go na płaszczu strażnika.

Jej oczy rozszerzyły się ze strachu.

- Jesteś tego pewien? - Głos Lady wyraźnie się załamywał.

- Tak jak ciebie teraz.

- Myślałam, że... - zaczęła ale urwała w połowie zdania. Mothman chwycił ją mocno za ramiona i potrząsnął nią. Był już na dobrym tropie.

- Co myślałaś? - Niemal krzyknął

- Że Ansuzycy już dawno nie istnieją. Przestało być o nich głośno 20 lat temu. To niebezpieczni ludzie. Jeśli dalej istnieją to będę zmuszona prosić cię o opuszczenie doliny, gdy tylko odnajdziesz Nikki.

- Ale kim oni są? - Nadal trzymał ją mocno w swoich dłoniach. Oczy mu się zwęziły i zaczęły ciskać złowieszcze błyski. - Widzę, że dużo o nich wiesz.

- Tylko z książek - próbowała się bronić. - Pokażę ci jedną z nich. Lepiej będzie jak sam o nich poczytasz.

Lady M. spojrzała na niebo, które zasnuły ciemne chmury. Lada moment znów zaczęły się opady. Wiatr przybrał na sile i zamieniał się już w porywach w wichurę. Nagle cały ogród zaczął żyć. Szum liści zagłuszał ich słowa. Nie mogli się porozumieć. Nawet jabłonia nie mogła oprzeć się jego sile i niechętnie się pod nim ugięła.

Dopiero na balkonie John usłyszał jej urywane słowa.

- Gdzie są te książki? - Zapytał, krzycząc jej prosto do ucha.
- W bibliotece Hrabiego.

Mothman miał nadzieję, że się przesłyszał, ale niestety tak nie było. Znowu ten Cagliostro, pomyślał ze złością. Może, chociaż raz mu się na coś przyda. Ale interesowało go skąd hrabia ma wiadomości o ansuzyjczykach i czemu się nimi interesuje.

- Zaprowadź mnie tam.
- Hrabia nie lubi, nikogo nie wpuszcza do swojej biblioteki, ale go nie ma dzisiaj.
- A gdzie jest? - Zapytał detektyw.
- Nie wiem. Powiedział, że ma jakieś ważne spotkanie i prosił, żebyśmy nie czekali na niego z obiadem, ani z kolacją.

Mothmanowi zdawało się, że wyczuł podkreślenie ostatniego wyrazu.

Przeszli przez pokój. Ledwo weszli do niego, pokojówka zamknęła drzwi balkonowe. Garderobiany odebrał od Mothmana wierzchni strój urzędowy - był tak mokry, że krople lały się po parkiecie i zaniósł do garderoby.

Detektyw miał okazję bliżej przyjrzeć się swojej posiadłości. Kobieta prowadziła go po różnych korytarzach, pokojach. Oglądał sprzęt i pracujących w domostwie ludzi.

- Z czego utrzymujemy ten dom?
- Hrabia nam pomaga - odpowiedziała. Szli po schodach prowadzących na drugie piętro. Mothman nawet nie wiedział, że jest drugie piętro. Musiały to być prywatne pokoje Cagliostra i chyba nie mniej tajemnicze niż on sam. Lady M. zapaliła świeczniki stojące w korytarzu, żeby nie potknęli się o stopnie. - To chyba jedyne miejsca nieoświetlane w tym domu.

- Dlaczego?
- Hrabia nie zgodził się podłączać elektryczności. Nie wiem, czemu. Często w nocy słyszałam jak chodzi po pięttrze. Kiedyś nawet zakradłam się zobaczyć, co robi, ale drzwi były zamknięte od środka. W każdym razie nie widziałam nawet iskry, a co dopiero światła. Jakby wszystko robił po ciemku. Gdyby teraz był w domu to nie miałabym odwagi nawet oddychać w tych zakamarkach domu, ale teraz go nie ma i możemy śmiało rozmawiać.

- Hrabia ma bardzo dużo tajemnic - zastanawiał się Mothman. - Może nawet za dużo.

- Dużo się zmieniło odkąd wyjechałeś.

- Wyjechałem? Cały czas mam wrażenie, że mylicie mnie z kimś innym. Ja nie mieszkam w dolinie, przyjechałem tylko, dlatego, że listonoszowi pomyliły się listy. Ty wysłałaś do mnie przesyłkę i od początku mnie okłamujesz, tak samo Cagliostro. I lepiej powiedz mi, o co tu chodzi.

- Dobrze.

Lady M. odwróciła się na szczycie schodów i spojrzała mu prosto w oczy. Stali przed drzwiami, które prowadziły do pokoi hrabiego.

- To ja wysłałam list i książkę. Twoja matka urodziła się w Dolinie. To jej dom. Zapisała go w spadku mnie, ale pod warunkiem, że cię odnajdę i za ciebie wyjdę. Cagliostro miał być gwarantem małżeństwa. Ślub odbył się kilka lat temu. Potem wyjechałeś i ślad po tobie zaginął. Zabrałeś ze sobą Nikki i zostałam sama. Postanowiłam cię odnaleźć i wiedziałam, że jesteś detektywem. Najlepszym pretekstem mogła być tylko sprawa, która by cię zainteresowała. Lata czekałam aż coś się wydarzy w dolinie i się doczekałam. Teraz już wiesz wszystko.

Patrzyła na niego i wiedział, że w tej chwili nic więcej nie mógł już z niej wyciągnąć. Na wszystko przyjdzie czas.

- Wierzysz mi? - Zapytała słodkim głosem zbesztanej dziewczynki. - Nie martw się, z czasem wszystko ci się przypomni. To wszystko przez ten przeskok czasowy.

- Masz rację - powiedział. Wiedział, że albo w tej dolinie wszyscy są szaleni albo on wkrótce oszaleje. - Pokaż mi książkę. Muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia, zanim ponownie spotkam się ze Strażnikami.

- Kiedy chcesz się z nimi spotkać?

Otworzyła drzwi. Nie wiedział skąd, ale miała klucz do zamka. Uśmiechnęła się widząc jego zaskoczenie.

- To jest nasz dom. Dla bezpieczeństwa musimy mieć zapasowe klucze do wszystkich pokoi - uśmiechnęła się kokieteryjnie. - Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Jutro - rzekł sucho, wchodząc do ciemnego pomieszczenia.

Przez chwilę stała bez ruchu. Teraz ona była wyraźnie zaskoczona. Odpaliła knot świecy od świecznika stojącego na schodach. Weszła za Johnem i odpaliła od niej świeczniki. Oczom detektywa ukazał się obszerny pokój. Na suficie nie dostrzegł żadnego żyrandola, tylko kilkanaście świeczników zamocowanych przy ścianach oświetlało pomieszczenie. W pokoju było jedno

okno, ale tak małe, że przepuszczało niewiele światła. Cagliostro musi mieć świetny wzrok, pomyślał Mothman.

Pod ścianą stał drewniany segment cały wypełniony książkami. Zaiste, była to prawdziwa biblioteka. John tylko przelotnie oglądał oprawione w skórę, zapewne zwierzęcą, woluminy, papirusy o datach sprzed wieków. Ale nie dostrzegał między nimi zwykłej literatury tylko księgi znajdujące się do nie dawna na Indeksie Ksiąg Zakazanych. Niektóre z nich nadal jeszcze były do niego wpisane. Czyżby hrabia parał się czarną magią?

Lady M. w milczeniu przeglądała tytuły książek. Nie miała tak dobrego wzroku jak właściciel pokoju i podświetlała segment trzymanym w ręku świecznikiem. W pewnej chwili jej dłoń zatrzymała się na chwilę.

- Znalazłam - powiedziała. Wyjęła z półki książkę i podała Mothmanowi.

Detektyw rzucił na nią z ciekawością. Nie sądził, żeby znalazł w niej coś, co mogłoby zaważyć na prowadzonych przez niego poszukiwaniach, ale przez lata prowadzonej pracy nauczył się, chociaż pobieżnie studiować wszelkie dokumenty. Jednakże tytuł, który teraz miał przed oczami mógł go do czegoś doprowadzić. W milczeniu wziął z jej rąk zakurzony wolumin. Skórzana oprawa była szorstka w dotyku, dobrze zakonserwowana i na pewno była naturalna.

- Myślę, że powinniśmy się przyjrzeć tej książce. Za ile może wrócić hrabia? - Nie odrywał wzroku od książki.

- W każdej chwili. Co chcesz zrobić?

Nie odpowiedział. Podeszedł do stolika ustawionego pod ścianą, naprzeciwko kredensu i położył książkę na blacie. Kobieta odprowadzała go wzrokiem.

- Postaw świecznik na stoliku, ale nie gaś go. I stań koło stolika skierowana w stronę drzwi.

W czasie, gdy to robiła, Mothman zaczął się przechadzać wolno wzdłuż każdej ściany.

- Czym zajmuje się hrabia w wolnych chwilach? Ma jakieś ulubione miejsce? Ma jakieś hobby?

- Nie wiem. Rzadko wychodzi z tego pokoju. Ale czasem go nie ma i... - zawahała się.

- I? - Zatrzymał się na chwilę. Przyglądał się jej z wyraźnym oczekiwaniem.

- Nie wiem, do czego zmierzasz? Podejrzewasz mnie o coś?

- Póki, co, każdy jest podejrzany - w zamyśleniu podrapał się po trzydniowym zarostcie.

- Nikt nie wie gdzie on wtedy jest.

- Dziwne. Ja nie mógłbym wytrzymać w jednym pokoju, mając dyspozycję cały dom. Wspominałaś, że ma więcej pokoi.

- Tak, ale wejście do nich znajduje się w innej części domu. Zetrzesz sobie skórę - widziała, jak co jakiś czas dotykał dłonią ściany.

- Obejrzyjmy tę księgę.

- Tutaj? - Zapytała przerażona. - A jeśli nagle hrabia przyjdzie?

- Wtedy... - niby przypadkowo oparł się o ścianę dłonią i Lady M. usłyszała najpierw przeraźliwe skrzypienie, a potem jej oczom ukazało się ukryte za ścianą mroczne pomieszczenie. - Myślę, że zamyka się samoczynnie po wejściu do pokoju. - Podeszedł do stolika, a ściana pozostała odsunięta.

W milczeniu siadł w fotelu i przysunął bliżej świecznik. Kobieta przysunęła drugi fotel i siadła obok Johna, żeby także widzieć książkę. Palcem przesunął po tłoczonym tytule jakby chciał się upewnić, że jest rzeczywisty. Odwrócił okładkę i w świetle świec płonących w świeczniku zobaczył namalowany taki sam znak, jaki widział na płaszczu Strażnika. Nad nim czerwone litery głosiły: Historia Zakonu Ansuzyczyków.

- Domyślam się, że jest to jakaś sekta - powiedział półgłosem.

- Bardzo groźna.

- Zakładam, że czytałaś tę książkę - spojrzał pytająco na kobietę.

- Tak, ale bardzo dawno temu. Mimo to myślę, że uda mi znaleźć w niej coś, co może nam się przydać.

- To poszukaj, ja muszę chwilę pomyśleć.

Podał jej książkę, a ona z werwą zaczęła ją przeglądać.

Co chwilę zamykał oczy i otwierał je tylko gdy pokazywała mu pewne opisy. Analizował fakty. Co jakiś czas dochodziły nowe. Książka była ciekawa, a Lady M. umiała szybko znaleźć najważniejsze rzeczy. Wiedział już, kiedy powstał Zakon, z raczej sekta, kto stał na jego czele i jakie miał źródła pochodzenia. Mniej więcej też orientował się w regułach życia i zasadach postępowania. Ale to była historia. Nadal jednak nie wiedział, czym ansuzyczycy zajmowali się obecnie.

- Nic więcej na razie nie znajdę.

- Myślę, że to chwilowo powinno nam wystarczyć. Jutro sprawdzę informacje. Chodźmy, zrobiło się późno. Książkę weźmiemy ze sobą - może się nam jeszcze przydać. Cagliostro ma tu tyle książek, że z pewnością nie zauważy jak sobie jedną od niego pożyczymy.

Lady M. nie protestowała. Odstawiła fotel na swoje miejsce, zabrała świecznik ze stolika, a pozostałe zgasiła.

- A co z ukrytym przejściem?

- Musi tak zostać - odpowiedział John wychodząc z pokoju. - Może się samo zamknie.

Kobieta podążyła za nim. Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. W milczeniu zeszli po schodach. Na piętrze doleciał do nich zapach obiadu. Unosił się po całym domu.

- Chyba dzisiaj znowu zjemy sami - uśmiechnęła się. Detektyw nie miał nic przeciwko temu.

* * *

Cagliostro i prawnicy, wszyscy trzej domyślali się gdzie może przebywać Nikki Mothman i kto może jej pomagać. Każdy z nich chciał ją wydostać z ukrycia.

Ksiądz Hugon wszedł do bocznej kapliczki przy klasztorze i ukląkł na ziemi. Nie zważał na kałuże i błoto. W milczeniu pogрузzył się w modlitwie. Postanowił zaopiekować się dziewczyną, ale potrzebował siły i wiary, oświecenia od Boga. Wierzył, że gorąca i szczerza modlitwa pomoże mu. Może z czasem odnajdzie jakąś rodzinę Nikki. Na razie musi pomóc biedaczce. Jego przyjaciółka nie powiedziała mu, co jej grozi, ale nie miał wątpliwości, że chodziło o życie Nikki. A to było teraz dla niego najważniejsze.

Tak się zapomniał w modlitwie, że przestał całkowicie słyszeć, co się dzieje dookoła niego. Nie słyszał zbliżających się do niego kroków. Miał zamknięte oczy, żeby lepiej się skupić i nie widział nawet cienia rzucanego przez atakującego go napastnika.

Pierwszy cios pobawił go przytomności. Ksiądz nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Zabójca pochylił się nad nieprzytomnym ciałem i przyjrzał się wyraźnie jego twarzy.

- Ojczulku, złamałeś pewne zasady. Nie ma kary bez winy. Złośliwy uśmiech rozjaśnił mu twarz, gdy spod płaszcza wyjął ostry jak brzytwa nóż i sprawnym ruchem podciął ofierze gardło. Przez chwilę z chorą fascynacją przyglądał się mieszej się z

kałużą krwi. Końcówką noża, na czole księdza wyciął tajemnicze symbole. Opłukał nóż w kałuży, schował pod płaszcz i w milczeniu opuścił teren klasztoru.

Rozdział V

- Ojciec Hugon nie żyje! - Krzyczała zakonnica, biegnąc do kapliczki.

Nikki nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Z bijącym sercem podbiegła do okna wychodzącego na plac przyklasztorny. Z jej komnaty widać go było jak na dłoni. Nawet w szarości nadchodzącego wieczoru bez trudu dostrzegła kapliczkę i leżące tuż przed nią bezwładnie ciało. Wokół księdza zbierała się grupa zakonnic. Ich lament dał się słyszeć nawet przez zamknięte okno. Nie czekając ani chwili podbiegła do drzwi, otworzyła je i wypadła do hollu. W mgnieniu oka znalazła się na schodach. W minutę później przepychała się przez tłum płaczących.

- Wynoś się! - Usłyszała. - To wszystko przez Ciebie. Jak tylko się pojawiłaś...

Dziewczyna w milczeniu spojrzała na ubraną w habit zakonnice. Była mniej więcej w jej wieku, ale z oczu biła jej nieskrywana nienawiść zmieszana z szaloną odwagą i desperacją. Nikki potoczyła zmieszanym wzrokiem po twarzach pozostałych. Zrobiło się jej przykro widząc ich zaciętość. Może rzeczywiście ona była winna śmierci swojego dobroczyńcy.

Wśród zebranych nie było tajemniczej kobiety i nikt nie mógł się teraz za nią wstawić.

- Przepraszam - tylko tyle mogła teraz powiedzieć. Poczula jak łązy stają jej w oczach. Nie chciała, aby jej oskarżycielka to widziała. Odwróciła się i wolnym krokiem, ze spuszczoną głową poszła w kierunku klasztoru.

John wiedziałby, co robić. Ona też wiedziała. Przez moment widziała tylko leżącego księdza, ale dostrzegła coś, co ją zaniepokoiło. Była pewna, że popełniono morderstwo. To już druga ofiara związana najwidoczniej z jej osobą, ale z tą różnicą, że w tym przypadku było rytualne morderstwo. Widziała znaki wyrżnięte na czole Ojca Hugona. Powinna jak najszybciej opuścić Przekłętą Dolinę, ale zanim to zrobi musi napisać pewien list.

Czuła na sobie ich wzrok, ale żadna z kobiet nie pobięła za nią. Odchodząc krzyknęła tylko:

- Nie chowajcie go!

Nie wiedziała czy ją usłyszeli.

Wolno, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa, Nikki weszła po schodach prowadzących na piętro klasztoru. Zatrzymała się na chwilę przed przydzielonym jej przez księdza pokojem. Nie mogła pozbyć się wyrzutów sumienia. Weszła do komnaty i zamknęła

drzwi na klucz, mimo, że była sama w klasztorze. Wiedziała, że w każdej chwili mogła przyjść któraś z zakonnic i próbować topić swój żal, obarczając ją całą winą. Jediną osobą, którą Nikki chciałaby teraz widzieć była Tajemnicza Kobieta, która wcześniej uratowała jej życie. Dziewczyna nie wiedziała, dlaczego, ale miała do niej pełne zaufanie i czuła jakąś nieokreśloną więź między nią, a sobą.

Bez sił opadła na łóżko. Z oczu popłynęły jej łzy. Wytarła je rękawem sukni, którą dostała od swojej wybawicielki. Będzie musiał zabrać ubranie, może jeszcze nie wyschło po upraniu, ale musi je zabrać i jak najszybciej wracać do domu. Ta myśl sprawiła, że podniosła się z łóżka. Przeszukała komnatę i znalazła kawałek czystej kartki i pióro. W na wpół otwartym biurku, w pojemniczku było troszkę atramentu. Nikki siadła na krześle przy biurku i zaczęła pisać.

Nie wiedziała jak zacząć. Każde słowo było igłą przekłuwającą jej serce. Znała tylko jedną osobę, która mogłaby wyjaśnić śmierć Ojca Hugona, oprócz Johna oczywiście. Przeznaczenie musiało postawić na ich drodze lekarza i dziewczyna postanowiła to wykorzystać. Wiedziała, że młody chirurg nie będzie potrafił powstrzymać się od wyzwania.

List był gotowy po kilkunastu minutach. Jeszcze raz przeczytała go. Już myślała spokojniej i jej oddech z każdą chwilą stawał się bardziej opanowany. Złożyła kartkę na cztery i odłożyła pióro. Jeszcze raz spojrzała na pokój. Czekwała kilka minut z nadzieją, że Tajemnicza Kobieta do niej przyjdzie i będzie mogła jej podziękować i pożegnać się. Nie napisała listu do zakonnic, były tak roztrzęsione i zrozpaczone, że pewnie i tak by jej nie zrozumiały. Obiecała sobie, że kiedyś napisze.

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi. Nikki ucieszyła się, że może przyszła Tajemnicza Kobieta. Schowała list pod poduszkę i przykryła kocem - nawet ona nie mogła go widzieć.

Otworzyła drzwi i nagle głos zamarł jej w gardle. Cofnęła się o kilka kroków, odwróciła i podbiegła do okna. Chciała je otworzyć i krzyknąć na pomoc zakonnicę, ale nie zdążyła. Poczowała jak zaczyna się dusić i robi jej się ciemno przed oczami. Zdawała sobie sprawę, że wysoki mężczyzna wszedł do pokoju i zarzucił jej płócienny worek na głowę. Próbowwała go z siebie zrzucić, ale coraz bardziej brakowało jej powietrza. Silne dłonie zaciskały się na jej

szyi. Poczula jeszcze silne uderzenie w głowę, czymś jakby kamieniem i straciła przytomność.

* * *

Nie mógł się nadziwić swojemu szczęściu. Najpierw bez przeszkód udało mu się pozbyć księdza, a teraz wreszcie odnalazł dziewczynę. Wiedział, że minie wiele czasu nim ktoś ją znajdzie. Miał szczęście, że udało mu się ją złapać zanim zdążyła zawiadomić zakonnicę. Inaczej nie tak łatwo by jej nie ukrył. Miał też szczęście, że udało mu się ją odnaleźć przed detektywem Mothmanem, Cagiostrem i tą, która wcześniej pomogła dziewczynie.

Cały czas się na tym zastanawiał ciągnąc ją po ziemi, gdy przerzucał ją sobie przez ramię i niedostrzeżony przez nikogo wyszedł z klasztoru. Miał upatrzone miejsce na kryjówkę, lepszego nie mógł sobie wymyślić. Nie przypuszczał, żeby ktokolwiek pomyślał o szukaniu ich tutaj.

Leżała przed nim ze związanymi, podkulonymi nogami i rękami związanymi na plecach. Nawet przy bladym świetle lampy płomiennej widział jej doskonałą figurę - młode, pełne piersi ukryte pod bluzką i jędrne pośladki. Długie blond włosy przywodziły mu na myśl boginię. Czuł jak z każdą chwilą wzbiera w nim żądza. Bawił się. Miarowy i spokojny oddech Nikki świadczył o tym, że dziewczyna nie odzyskała jeszcze przytomności. Zastanawiał się, jaką będzie miała minę, gdy oprzytomnieje i go zobaczy.

Cicho, prawie bezszelestnie zbliżył się do niej, ukląkł przy bezwładnym ciele i drżącą dłonią pogłaskał ją po twarzy. Delikatnie odsunął włosy z czoła. Nie umiał się powstrzymać. Położył się przy niej. Delikatnie gładził jej ciało. Jego usta dotknęły jej ust. W tym momencie otworzyła oczy. Chciała krzyknąć, ale mocno chwycił jej głowę i przywarł do niej ustami. Jego ciało zaczęło ocierać się o Nikki. Tym razem nie miała siły się bronić.

* * *

Plac przyklasztorny stał się pusty i cichy jakby wraz z odejściem Ojca Hugona uszło jego życie. Nawet dzień zaczął ustępować pola nocy. Zakonnice zaniósł jego ciało i ostrożnie złożyły je w kaplicy.

Ta, która wcześniej oskarżyła Nikki, gdy się nieco uspokoiła postanowiła z nią porozmawiać i ją przeprosić. Emocje sprawiły, że powiedziała nie to, co chciała. Ze spuszczoną głową weszła wolnym krokiem na schody i stanęła przed pokojem dziewczyny. Była zaskoczona widząc otwarte drzwi, ale nie dostrzegając lokatorki. Ostrożnie weszła do środka, obejrzała cały pokój i tylko upewniła się, że jest sama. Na łóżku znalazła kilka ubrań, pożyczonych przez inne zakonnice, a teraz złożonych i gotowych do oddania.

Już miała wyjść z pokoju, gdy coś przykuło jej uwagę. Czyżby Nikki coś pisała? Podeszła do biurka i znalazła jeszcze wilgotne pióro. Rozejrzała się ponownie po pokoju, ale tym razem nieco bardziej uważnie. Szukała listu. Może Nikki nie zabrała go ze sobą wychodząc z klasztoru i gdzie mogła pójść. Pewnie za chwilę wróci.

Minęło sporo czasu nim zakonnica znalazła list. Dziwne, że Nikki do tej pory nie wróciła, ale oskarżycielka się tym szczególnie nie niepokoiła. Rozumiała, że po tym, co od niej usłyszała, dziewczyna będzie potrzebowała dużo czasu, żeby wrócić do rzeczywistości.

Ostrożnie rozłożyła kartkę i przeczytała. Z każdym słowem jej oczy stawały się coraz większe z przerażenia. Miała przed sobą niesamowitą historię opisaną lekarzowi. Jej fabuła opowiadała o zaginięciu matki i próbie rozwiązania zagadki. Nikki prosiła w liście o przyjazd lekarza i pomoc jej bratu Johnowi Mothmanowi. Sama postanowiła wrócić do domu. Zakonnica złożyła list i schowała go do kieszeni. Wyśle go jutro osobiście. Widocznie Nikki o nim zapomniała.

Zakonnica wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

* * *

Mothman zastanawiał się gdzie jest Nikki. Wierzył, że Bóg ma ją w swojej opiece i, że nic się jej nie stało. Gdyby było inaczej to z pewnością byłoby o tym głośno w całej dolinie. Tutaj wieści o morderstwach roznoszą się lotem błyskawicy. Minęły już trzy dni odkąd wyjechali z rodzinnego miasta. Czy ktoś ich szukał? A może Guardianie potrzebowali jego pomocy? Nadal nie wiedział, kto i czego szukał w jego gabinecie. A może wszyscy już o nim zapomnieli?

Zapadał kolejny zmierzch, a nie mógł tam wrócić. Nie mógł póki nie odnajdzie Nikki.

- Znalazłam coś jeszcze - powiedziała Lady M. wchodząc do pokoju. Detektyw słysząc podniecenie w jej głosie podniósł oczy z nad książki i wpatrzył się w nią czujnie. - Z tej książki wynika, że ansuzyjczycy na siedziby wybierają dość znaczące miejsca, takie, które pomagają im ukryć swą prawdziwą działalność - położyła na stole kolejną książkę.

Teraz detektyw miał już przed sobą tuzin woluminów i całą noc na ich przeglądanie. Posilili się wytrawną kolacją, więc mogli teraz spokojnie pracować. Zgodzili się, że odzyskają swoje noce po odnalezieniu dziewczyny i wtedy będą one jeszcze bardziej upojne.

- Zaraz Ci pomogę. Myślę, że już nic więcej nie odnajdę w zbiorach.

John nic nie odpowiedział. Spod okularów patrzyły na nią zmęczone, przekrwione oczy. Próbował, choć na chwilę odegnąć od siebie czarne myśli związane z siostrą, tak jak przed chwilą myśląc o ich rodzinnym miasteczku zanim Lady weszła do pokoju, ale na dłuższą metę nie potrafił tego dokonać.

Wziął do ręki przyniesioną przez nią książkę. "Zakony i ich świątynie" - nie wierzył, żeby ta książka coś mu wyjaśniła, ale z pewnością ją przejrzy.

- Zaraz Ci pomogę.

Wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Detektyw znów na chwilę został sam ze swoimi myślami.

Nie minęło może piętnaście minut jak drzwi otworzyły się ponownie i weszła do pokoju. Mothman nie patrzył w jej kierunku, wiedział, że to ona.

- Dałam służbie wolne i pozwoliłam iść wcześniej spać albo wyjść z domu, więc nikt nie powinien nam przeszkadzać w pracy - postawiła karafkę z wodą, kawą obok wina i półpełnych kieliszków. - Myślę, że ten zapas nie pozwoli nam zasnąć nad lekturą.

Mothman nadal milczał pochłonięty książką.

- "Historia zakonu" to dobra książka, ale na początek. Jesteś już bardzo zmęczony - popatrzyła na stos książek przejranych od obiadu do wieczora, z małą przerwą na kolację. - Podzielmy się, szybciej się z tym uporamy. O której mamy spotkanie z tym Guardianem?

Detektyw oderwał oczy od książki i spojrzał zdziwiony na kobietę. Teraz dopiero zobaczyła jego bladą twarz, drobne

zmarszczki i ledwo patrzące oczy. Bardzo się postarzał przez te kilkanaście godzin poszukiwań.

- Nie myślałeś chyba, że puszczę Cię samego. Nie chcę Cię stracić. Dość już ginie osób w tej dolinie, bliskich mi osób.

Ponownie zaczął przeglądać książkę. Lady M. siadła w fotelu naprzeciwko niego i przysunęła do siebie kilka książek.

- Nieważne, o której godzinie. Powinniśmy tak być jak najwcześniej, najlepiej z samego rana, żeby obserwować cmentarz i, żeby nic nie uszło naszej uwadze - odpowiedział po chwili nie podnosząc wzroku.

Było dość jasno, gdy obudziło go natarczywe stukanie do drzwi. Z początku zdawało mu się, że mu się tylko śniło, ale po chwili znów usłyszał - jednak już nie stukanie, a łomotanie do drzwi. Przetarł oczy dłonią i spojrzał na zegarek stojący na szafce obok łóżka. Pokazywał godzinę dziesiątą.

Wstał i ubrał się we wczorajsze ubranie. Jak dobrze, że zostawił je wczoraj na krześle. Ziewając i zastanawiając się nad powodem tak natarczywego budzenia go, wyszedł z pokoju, przeszedł przez przedpokój i skierował się ku drzwiom. Nie przypominał sobie, żeby ktoś na dzisiaj zamawiał u niego dorożkę. Dzisiaj miał dzień wolny od pracy.

- Kto tam? - Zapytał niechętnie.

- W imieniu Urzędu Guardian Street otwierać!

Odsunął zasuwę i przekręcił klucz w zamku. Nie zdążył dotknąć klamki, gdy drzwi się otworzyły i zobaczył trzech ubranych w urzędowe ubranie mężczyzn. Jeden z nich podsunął mu pod nos legitymację. Zbudzony, niemal wyciągnięty z łóżka mężczyzna z trudem dochodził do siebie analizując w pamięci wydarzenia ostatnich dni i nocy, ale nie przypominał sobie, żeby popełnił jakieś przestępstwo.

- Jest Pan nam bardzo potrzebny, doktorze Poitos.

- Czy jestem o coś oskarżony?

- Jeszcze nie. Dziwne, że pan o to zapytał doktorze. Popełniono morderstwo i chcemy, żeby pan się przyjrzał zbrodni.

- Powinien się tym raczej zająć detektyw, ale...

- Ale nasz najlepszy detektyw zaginął i to też może być powiązane z panem, Pierre.

Lekarz zatrzymał się na moment i spojrzał poważnie na Strażników. Nie zdziwiło go to, że znają jego imię i nazwisko - przecież na plakietce na drzwiach mieszkania pisało "Pierre Poitos

- lekarz medycyny" - ale ich insynuacje. Przyglądał się uważnie mężczyznom, ale oni nie mogli przyjrzeć się wyraźnie jego twarzy, ponieważ wszyscy stali w cieniu kamienicy i światło lampy ulicznej padało tylko na Guardianów. Ale nie dostrzegł na nich żadnych emocji.

- Ktoś pana widział, gdy powoził pan dorożką, w której był detektyw John Mothman i jego siostra. Od tego czasu ślad po nich zaginął a przeszukaliśmy całe miasteczko - kontynuował po chwili beznamietnym głosem jeden ze Strażników. - Czy może nam to pan jakoś wyjaśnić?

Młody lekarz ledwo mógł utrzymać swoje nerwy na wodzy. Poczerwieniał na twarzy i gdyby nie fakt, że miał do czynienia z funkcjonariuszami, to chętnie któremuś z nich przeprowadziłby trepanację czaszki.

- Widocznie słabo szukaliście - odpowiedział z nieukrywaną złością w głosie. - Zróbcie to jeszcze raz.

Odwrócił się i ruszył w kierunku czekającej na nich dorożki.

- I to zrobimy. Przeszukamy wszystko, całe miasteczko, z mieszkańcami, piwnicami i ogrodami lekarzy włącznie - usłyszał za swoimi plecami. Nawet się nie odwrócił. W milczeniu wsiadł pierwszy do dorożki, a za nim wsiedli Guardianie.

- Do Motelu Casey - rzucił jeden z nich woźnicy.

Konie ruszyły galopem i pędziły jakby je sam diabeł gonił. Lekarz ledwo zdążył się ubrać i coś zjeść przed wyjazdem, a po pięciu minutach w dorożce już tego zaczął żałować. Czuł jak wszystko mu w żołądku tańczy. Na szczęście trwało to około kwadransa. Odetchnął z ulgą, gdy powóz zatrzymał się i drzwiczki się otworzyły.

Oczom Pierre'a ukazała się rumiana, uśmiechnięta twarz furmana, który najprawdopodobniej liczył na pochwały za szybką jazdę, ale zamiast nich spadł na niego grad przekleństw ze strony medyka. Furman tylko uśmiechnął się jeszcze szerzej, ukazując szczerby i dziury pomiędzy zębami.

- Za dużo masz zębów, człowieku? - Krzyknął lekarz wysiadając z powozu. Nerwy mu puściły i zamierzył się walizką na furmana.

- Napaść i groźby w naszym prawie są karalne - usłyszał za sobą głos Strażnika.

- Wasze również - odparł nawet się nie odwracając.

Co za rudera. Kto mógłby zatrzymać się w takiej norze? - Zastanawiał się. Gdy tylko przekroczył próg motelu, ledwo się przy

tym nie przewracając o stopień, doleciał go zapach spleśniałego jedzenia.

- Gdzie jest ofiara? - Zapytał. Miał nadzieję szybko przeprowadzić oględziny zwłok i jeszcze szybciej wydostać się na świeże powietrze.

- W pokoju na piętrze - odpowiedział mu głos mężczyzny w sile wieku.

Pierre rozejrzał się i dopiero po chwili zobaczył jego tajemniczego właściciela. Był to około sześćdziesięcioletni mężczyzna o głosie czterdziestolatka, stojący za szynkwasem służącym także za recepcję motelu. Pierre zbliżył się do niego i przyjrzał się uważnie mężczyźnie w świetle lampy stojącej na blacie.

- Chciałbym, aby w czasie moich oględzin obecny był właściciel tego przybytku.

- Ja jestem właścicielem.

Lekarz jeszcze raz przyjrzał się mężczyźnie.

- A kim była denatka?

- Moją córką.

- Chciałbym ją zobaczyć.

Casey ze spuszczoną głową poprowadził ich do jednego z pomieszczeń. Trudno było nazwać je pokojem, ale za niego miało służyć. Panujące w nim spartańskie warunki mogłyby odpowiadać tylko mnichom, ale nie tylko im służyło. To, co zobaczył tak nim wstrząsnęło, że pierwszy raz od kilku lat zaczął żałować obranego zawodu. Miał przed sobą ciało młodej, pięknej kobiety. Kawałki jej ubrania leżały porozrzucane i zakrwawione po całej podłodze. Wśród nich zobaczył poucinane palce. Ich poszarpane końcówki świadczyły o użyciu tępego narzędzia.

Całe jej ciało było poranione i po sposobie zadawania bólu dało się poznać maniakalne skłonności oprawcy. Ofiara umierała przez kilka godzin, nie tracąc przytomności nawet na chwilę.

- Proszę mnie zostawić samego. Chcę się lepiej przyjrzeć denatce - powiedział Poitos zduszonym, ledwo słyszalnym głosem.

- Ja nie... - zaczął jeden ze Strażników, ten, który wcześniej próbował grozić lekarzowi, ale Casey dał mu stanowczy znak ręką.

- Tak będzie lepiej, Mark.

Guardian chciał jeszcze oponować, ale właściciel motelu i pozostali Strażnicy opuścili pokój. Mark obrzucił lekarza groźnym spojrzeniem i także, choć niechętnie, wyszedł z pokoju, zamykając

za sobą drzwi. Z jego zachowania Pierre wywnioskował, że musiało go coś łączyć z zamordowaną dziewczyną.

Gdy został sam, z trudem opanował obrzydzenie i pochylił się nad ciałem.

Dawno już księżyc schował się za horyzontem, gdy lekarz odstawił lampy na swoje miejsca i podniósł się z klęczek. Odetchnął głęboko i dopiero po chwili podszedł do drzwi i je otworzył. W korytarzu był tylko jeden Strażnik, który miał zapewne pilnować, aby podejrzany nie uciekł. Pozostali pewnie naradzali się z właścicielem motelu. Lekarz nie okazał zdziwienia widząc, że pilnuje go Mark. Strażnik wstał i krzyknął na swoich towarzyszy. Razem weszli do pokoju.

* * *

- Proszę to jak najszybciej wysłać na wskazany adres.

Kobieta siedząca za biurkiem leniwie podniosła głowę. Ożywiła się nieco widząc przed sobą zakonnicę.

- Słyszałam, co się stało w Klasztorze. Bardzo mi przykro - powiedziała i wzięła z jej rąk list.

- Bóg zapłać - odpowiedziała cicho zakonnica.

Kobieta za biurkiem poprawiła nieco okulary na nosie i spojrzała na adresata. Uśmiechnęła się znacząco.

- Ma siostra szczęście. Przyszła siostra w ostatniej chwili. W południe kurier będzie jechał w tamtym kierunku i list jeszcze dzisiaj zostanie doręczony do adresata. A czy jest ktoś podejrzany o dokonanie zabójstwa? - Zapytała mimochodem.

- Tajemnica spowiedzi - gładko skłamała zakonnica, ale niczym nie dała po sobie poznać zaskoczenia pytaniem.

Podziękowała, wyszła z poczty i skierowała się do klasztoru.

* * *

Gdy tylko wszyscy weszli do pokoju, Pierre Poitos zamknął za nimi drzwi.

- Czy jest ktoś oprócz nas w tym motelu? - Zapytał właściciela.

- Nie. Rzadko miewamy tu gości.

Nie zdziwiła go ta odpowiedź. On sam, gdyby miał zamieszkać w tym motelu wybrałby namiot.

- Dobrze, nikt nas nie podsłucha. Ustaliłem kilka faktów. Podejrzewam, że było dwóch oprawców. Używali tępego narzędzia - możliwe, że noża. Poza tym moje oględziny potwierdziły wcześniejsze przypuszczenia, że mamy do czynienia z osobami chorymi psychicznie.

- Skąd ta pewność, doktorze? - Zapytał Casey.

- Świadczą o tym liczne, cięte rany na ciele, które były jej zadawane, gdy jeszcze żyła. Sińce i rany na piersiach są efektem zgniatania obciążkami. Ofiara była cały czas świadoma tego, co się z nią dzieje. Nie była zawiązana a na ustach nie znalazłem żadnych śladów knebla. Musiała bardzo głośno krzyczeć - ostatnie słowa powiedział dobitniej.

- Nie było mnie dzisiaj nocy - odpowiedział właściciel motelu.

- Łzy zaschnięte na twarzy ofiary mówią same za siebie.

Wszyscy klęczeli tak blisko dziewczyny, że bez trudu widzieli ślady zbrodni wskazywane przez lekarza.

- Zresztą nie tylko łzy są na jej ciele.

Strażnicy spojrzeli na siebie zaskoczeni, ale Casey nic się nie odezwał.

- Nie znalazłem w jej organizmie żadnych śladów lekarstw ani podejrzanych specyfików. Na jej ciele i strzępach ubrania widoczne są zaschnięte ślady nasienia.

- Została zgwałcona? Niech ja go tylko dorwę w swoje ręce. Żaden sąd mu nie pomoże! - Krzyknął Mark.

- Tak - odpowiedział spokojnym głosem Pierre Poitos. Aby potwierdzić swoje słowa, na oczach zebranych rozsunał szerzej zakrwawione uda dziewczyny i pokazał zaschnięte białe krople na pochwie. Nienaturalnie wykręcona i złamana w kilku miejscach noga ofiary była niemal oderwana od tułowia.

- Kolejne ślady nasienia możemy dostrzec - przy tych słowach odwrócił ciało dziewczyny na brzuch - na i pomiędzy jej pośladkami.

- Boże, nie wystarczyło mu jej zgwałcić, musiał dwa razy i jeszcze się nad nią znęcał - westchnął ojciec denatki widząc poranione paznokciami plecy dziewczyny. W jego oczach pojawiły się łzy.

- Ich było dwóch - podkreślił lekarz. - Ślady pochodzą z tego samego czasu.

- Dużo pan wie.

Poitos spojrział na Casey'a.

- Myślę, że pan też i to więcej niż mi pan powiedział.

Oczy właściciela motelu zwęziły się groźnie. Medyk nie zwrócił na to uwagi i mówił dalej.

- Przypuszczam, że pańska córka często się tak lekko ubierała i odwiedzała gości. Motel, który ma rzadko gości z czegoś musi żyć. Może nawet pan pomagał w jej spotkaniach.

Casey robił się coraz bardziej czerwony na twarzy, a jego ciałem targały dreszcze ze złości.

- Myślę, że resztę swojej teorii może pan przedstawić na Guardian Street. Ale powiem panu, że do dzisiejszego poranka w tym motelu pracował recepcjonista, ale jego też niestety nie udało nam się znaleźć - powiedział Mark głosem, w którym młody lekarz wyczuł nienawiść.

- Dobrze. Chciałbym jeszcze coś panom pokazać - coś, co być może rzuci nieco więcej światła na poszukiwania zabójców. Ale przy tym świetle niewiele zobaczymy.

Podniósł się z klęczek i ustawił kilka lamp w tych samych miejscach, w których to zrobił wcześniej, gdy sam przeprowadzał oględziny.

- Z tej odległości niewiele zobaczą panowie wcześniej aniżeli to, co widzieli panowie przed chwilą, ale stańcie koło mnie.

Począł aż podejść i stanąć przy nim. Gdy to zrobili zapadła grobowa cisza. Casey pobladł, a jego twarz kolorem przypominała teraz płótno. Złapał się jedną ręką drzwi, żeby nie upaść, a drugą chwycił ramię lekarza i wbił w nie paznokcie.

- Cco to jesst? - Wyjąkał ze zgrozą.

- Pentagram. Gwiazda pięcioramienna - odpowiedział Poitos. - Z pańską córką w środku i narysowana jej krwią. Teraz już chyba nie macie panowie wątpliwości, że ścigacie maniaków.

Znów zapanowała cisza. Wszyscy ze strachem i rozszerzonymi z wrażenia oczami przyglądali się makabrycznemu arcydziełu chorego umysłu.

- Myślę, że teraz mogę z panami udać się na Guardian Street - lekarz zwrócił się do Strażników, gdy cisza przedłużała się niemiłosiernie. Wszystkim zdawała się już niestosowna, ale tylko Poitos odważył się ją przerwać. - Ale najpierw chciałbym jeszcze na chwilę wstąpić do swojego mieszkania, umyć się i przebrać, a potem będę do panów dyspozycji.

- Nas dwóch wystarczy, Mark - powiedział jeden ze Strażników.

- Możesz zostać z Casey'em. Nie powinien być teraz sam. Ale

niczego nie dotykajcie - ostrzegł. - A my pojedziemy do pana Poitosa i na Guardian Street. Dzisiaj jeszcze tu przyjedziemy.

Dwaj Strażnicy wraz z lekarzem wyszli z pokoju. Casey odetchnął ciężko i oparł się na ramieniu Marka.

* * *

Detektyw odstawił pustą filiżankę. Więcej zostało w niej fusów niż kawy. Zdjął okulary i potarł oczy dłońmi.

- Już chyba niczego nie znajdziemy - powiedział znużonym głosem. - Nieco naświetliło nam to obraz, ale, po odsianiu ziarna od plew nadal mamy więcej historii niż rzeczywistości.

Spojrzał uważnie na siedzącą tuż obok Lady M. Także była zmęczona. Jak mała dziewczynka przytuliła się do niego i położyła głowę na jego ramieniu. Choć miała zamknięte oczy i równomierny oddech, wiedział, że nie śpi. Delikatnie przeczesał dłońmi jej włosy. Może nie wierzył w całą jej historię, ale powoli przyzwyczajał się do wspólnego życia z kobietą.

- Może będziemy coś więcej wiedzieć jak obejrzymy ciało dziewczyny - zasugerowała.

- Tak - powiedział w zamyśleniu. Pochylił się nad kobietą i delikatnie pocałował ją w głowę. - Masz rację. Chodźmy się przekonać.

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Kocham cię - wyszeptała.

Wolno wstała i przeciągnęła się. John spojrzał na stos przejrzanych książek i dokumentów, po czym także wstał. Wychodząc z pokoju natknęli się na młodą dziewczynę. Mothman rozpoznał w niej tą samą dziewczynę, z którą wcześniej rozmawiał nim znalazł Lady w ogrodzie.

- Wychodzimy z domu - oświadczyła Lady M. - Możliwe, że wrócimy dopiero na kolację. Do tego czasu ty jesteś panią tego domu.

- A jeśli wróci Hrabia Cagliostro? - Zapytała dziewczyna.

- To ma cię słuchać.

- Dobrze - odpowiedziała i zniknęła w głębi domu.

- Nie boisz się, że to za duża odpowiedzialność dla tej dziewczyny? - Zdziwił się detektyw, gdy zostali sami i nikt nie mógł ich usłyszeć.

- Poradzi sobie - odpowiedziała spokojnie Lady M. - To nasza córka.

Mothman zatrzymał się w pół kroku.

- Cóрка? - Powtórzył z niedowierzaniem. To jakiś obłąd. Ile my mamy lat?

Wiedział, że to niemożliwe, chyba, że znajdują się w innym wymiarze czasu.

- Masz czterdzieści cztery lata kochanie, ja mam trzydzieści pięć. Klimat nam służy i wolno się starzejemy na twarzy.

Mothman nic nie odpowiedział, ale postanowił zapamiętać usłyszane właśnie rewelacje i zapisać je w wolnej chwili w swoim notatniku.

- Chodźmy już - zdecydował.

Wyszli przed dom. Byli zgodni, co do tego, że powinni jak najszybciej znaleźć się na cmentarzu. A najlepszym na to sposobem byłaby dorożka. John żałował, że nie ma w pobliżu pewnego młodego lekarza, który już dwa razy mu pomógł. Ale tym razem nie było w pobliżu żadnej dorożki.

- Chyba nie mamy, na co czekać. Szybciej będziemy pieszo.

- Weźmiemy nasz powóz - sprzeciwiła się lady. - Poczekaj tu.

Chciał coś powiedzieć, ale kobieta pobiegła już w stronę budynków stojących przy domu. Odetchnął tylko zrezygnowany. Usłyszał rżenie koni i po chwili zza domu ukazała się piękna dorożka. Konie rażno galopowały pod batem woźnicy. Gdy zatrzymała się tuż przy nim, drzwiczki się otworzyły i detektyw wskoczył na siedzenie. Nie zdążył ich zamknąć, gdy konie ruszyły z kopyta.

- Mam złe przeczucie - myślał głośno.

Mijali sklepy, butiki, banki i domostwa. Inne furmanki usuwały im się z drogi, a mieszkańcy zatrzymywali się i przyglądali się zdziwieni pędzącej na łeb na szyję dorożce.

- Dlaczego? - Zapytała Lady M.

- Nie wiem. Może to intuicja, ale obawiam się, że przyjedziemy za późno. Poza tym zapomnieliśmy, że dzisiaj niedziela.

Wskazał przez okno cmentarz, przy którym nagle wyrosły butiki z kwiatami i zniczami. Ludzie kręcili się we wszystkich kierunkach i nie było miejsca, żeby się nawet na chwilę zatrzymać dorożką.

- Ciekawe, dlaczego Strażnik wyznaczył dzisiejszy dzień. Dzisiaj musi stać się coś szczególnego.

- Proszę zatrzymać się przy tej kamienicy po lewej - detektyw wskazał woźnicy wolne miejsce ręką, po czym spojrzał na Lady M.
- Dlaczego tak myślisz?
- W Przeklętej Dolinie nie ma przypadków.
- Dorożka zatrzymała się i John otworzył drzwiczki.
- Zaraz się przekonamy - wysiadł pierwszy z dorożki i podał rękę kobiecie.

Gdy szli, wszyscy w pośpiechu ustępowali im z drogi. Rozmowy milkły i John oraz trzymająca go pod rękę kobieta czuli na sobie palący wzrok zazdrości. Młode kobiety i przystojni mężczyźni ubrani w najpiękniejsze stroje obdarzali ich dwuznacznymi uśmiechami. Dzieci wskazywały ich palcami, a ich rodzice i dziadkowie tylko patrzyli na nich w milczeniu. John nie wiedział jak się zachować, a towarzysząca mu kobieta odpowiadała tylko delikatnymi uśmiechami na powitania. Detektyw postanowił robić to samo, chociaż widział tych ludzi po raz pierwszy.

- Nikt nie wierzył, że wrócisz. Miałam wielu adoratorów od czasu twojego wyjazdu - powiedziała słodko i jakby tendencyjnie, na przekór gapiom zatrzymała się na chwilę i gdy detektyw zrobił to samo, niespodziewanie pocałowała go w usta.

- Zakładam, że jednym z nich był i może nadal jeszcze jest Hrabia Cagliostro, prawda? - Zapytał, ale zbyła jego pytanie milczeniem. - Skoro jesteśmy małżeństwem i mamy razem dziecko, uważam, że lepiej byłoby gdyby hrabia opuścił nasz dom.

Kobieta nie okazała swojego zdziwienia słysząc te słowa.

- Porozmawiamy z nim po powrocie - powiedziała tylko.

Mothman bez problemu odnalazł ścieżkę wcześniej wskazaną mu przez czworonożnego przewodnika. Przy grobie stało kilku Strażników. Spojrzeli po sobie - najwidoczniej nie spodziewali się, że detektyw nie przyjdzie sam. Przechodnie przyglądali im się z ciekawością. Nie codziennie mieli okazję widzieć tylu mężczyzn ubranych służbowo, przedstawicieli prawa na cmentarzu. Najbardziej jednak przyglądali się ubranemu w uniform detektywowi i jego, ubranej w długą, czarną obszytą cekinami suknię towarzysze.

- Nie rozmyślił się Pan? - Zapytał ten sam Strażnik, z którym wcześniej rozmawiał Mothman. W tej samej chwili usłyszeli bijące dzwony i lament kobiet.

- Nie. Chcę zobaczyć ciało Julie James.

- Dobrze, ale nie sędzę, żeby Pani...
- Ta Pani to moja żona i także ma prawo je obejrzeć.
- Agnes Mothman - przedstawiła się. - Zmarła dziewczyna była moją znajomą.

Do ich uszu cały czas dobiegało monotonne bicie dzwonów.

- Czyj pogrzeb mamy dzisiaj? - Zapytała niby od niechcenia.
- Jakiegoś księdza Hugona, czy kogoś tam - z lekceważeniem odpowiedział jeden ze Strażników.

Słyszając to Agnes uszczypnęła męża w rękę. Na szczęście nikt tego nie zauważył, a detektyw nie dał po sobie niczego poznać.

- Dobrze, skoro mają Państwo tak silne nerwy. Podnieście płytę
- rozkazał Strażnik z tajemniczą runą na ramieniu, patrząc zimno w oczy Mothmanowi. Te jego oczy mówiły jedno: Pamiętaj, że Cię ostrzegałem.

Pozostali stróże prawa bez słowa chwycili mosiężne obręcze, przymocowane do boków płyty, podnieśli ją z niemałym wysiłkiem i położyli na ziemi obok grobowca. John zajrzał do środka i nic się nie odezwał, ale Agnes nie potrafiła ukryć swego zdziwienia i krzyknęła z zaskoczenia.

Grobowiec był pusty. Strażnicy także milczeli zmieszani.

- Gdzie jest ciało? - Zapytał detektyw.
- Nie wiem - odpowiedział Strażnik z runą. - Może poszło na spacer.

Nikt się nie zaśmiał z jego złośliwości.

- Jeszcze się spotkamy - powiedział Mothman i odwrócił się od pustego grobu.
- Z pewnością - odpowiedział Strażnik.

Lady M. bez słowa podążyła za odchodzącym mężem. Wyczuwała jego złość i tylko się do niego przytuliła. John, nic się nie odzywając skierował się w stronę, z której dobiegał ich dźwięk dzwonów.

- To była koleżanka Mary - powiedziała celem wyjaśnienia, ale odpowiedziało jej jego milczenie.

Gdy zbliżyli się do miejsca pogrzebu księdza trwała już mowa pożegnalna. Małżeństwo Mothmanów dobrze widziało ubraną z mnisi habit kobietę. Mówiła silnym, pewnym głosem. John był pewny, że zna skądś ten głos i tę kobietę, ale nie wiedział skąd. Może rozpoznałby ją gdyby zobaczył jej twarz, ale była dobrze ukryta pod kapturem. Nie mógł też się do niej zbliżyć. Widział ją

tylko, dlatego, że stali na nasypie z ziemi. Przed nimi natomiast stał tłum płaczących zakonnic i wiernych.

- Nasz Ojciec Hugon, człowiek niezłomnej siły i wiary w nas - maluczkich, odchodzi dzisiaj od nas nie z wyroku Najwyższego, ale tych, których kochał. Wszyscyśmy znali jego dobro. Przygarniał każdą zagubioną, potrzebującą pomocy duszę. Dał temu wyraz nawet ostatnio, dając schronienie młodej dziewczynie, naszej siostrze w cierpieniu, Nikki M. i wierzę, że gdziekolwiek ona się teraz znajduje, modli się za niego i dziękuje mu za opiekę. Tak i my teraz pomódlmy się, żeby Przepowiednia dopełniła się i pojawił się oczekiwany przez nas mąż; żeby wykrył innych tej haniebnego zbrodni i zdjął klątwę z naszej doliny.

Po tych słowach kobieta spojrzała w stronę Johna i Agnes, i wtopiła się w tłum wiernych. Detektyw i Lady M. zaczęli przepychać się między ludźmi, ale nigdzie nie znaleźli tajemniczej kobiety. Ze spuszczonymi głowami opuścili cmentarz.

- Myślisz o tym samym, co ja? - Zapytał Mothman.

- Był proboszczem Klasztoru St. Mary - odpowiedziała Agnes.

Wsiedli do dorożki. Wiedzieli już gdzie mają szukać.

* * *

Przywieźli go pod sam dom.

- Poczekamy tu na Pana - powiedział jeden z Guardianów, gdy Pierre Poitos wyskakiwał z dorożki.

- To może chwilę potrwać.

- Poczekamy, doktorze.

Poitos nie odwracając się za siebie wszedł do kamienicy. W szczelinie drzwi zobaczył zaadresowaną na siebie kopertę. Szybko wszedł do mieszkania i przeczytał list. Po chwili usiadł na krześle i przeczytał go ponownie. Podpisała go Nikki Mothman. To nie mógł być zbieg okoliczności. Pierre dobrze pamiętał, kogo ostatnio wioził dorożką. Z listu wynikało, że detektyw potrzebował pomocy. Poitos musiał jakoś dostać się do Przeklętej Doliny. Najszybsze są zawsze najprostsze rozwiązania.

Zamknął drzwi do mieszkania i przekręcił od środka klucz w zamku. Szybkim krokiem podszedł do szafy, otworzył ją i wyjął walizkę. Zapakował do niej kilka ubrań, dokumenty i niezbędne środki higieny. Nie zapomniał także przyborów medycznych i listu od Nikki. Zatrzasnął walizkę, otworzył okno i zwinnie, niczym kot, zsunął się po rynnie na ziemię. Rozejrzał się czujnie, dookoła ale

widząc, że nikt go nie śledzi, pobiegł z walizką w ręce ku postojowi furmanek.

Był zadowolony, że udało mu się wsiąść do pociągu zanim Guardianie wysłali za nim list gończy. Nie zastanawiał się nad tym czy będą go szukać, ale intrygowała go siatka łącząca dziwne zbiegi okoliczności pojawiające się w jego życiu.

Bagaż wrzucił na siedzenie. Siadł koło okna i odetchnął głęboko. Odtworzył w pamięci treść listu otrzymanego od Nikki M. Czy mogło to mieć jakiś związek ze śmiercią córki Casey'a? Nie wiedział, ale był pewien, że ten pełen dramatyzmu list uratował go przed krępującymi pytaniami Strażników i być może aresztowaniem.

Z zamyślenia wyrwał go zgrzyt otwieranych drzwi. Z początku nawet nie spojrzał w ich kierunku. Do tej pory jechał sam w przedziale i to mu odpowiadało. Drzwi się zamknęły. Poitos czuł czyjaś obecność i niechętnie odwrócił głowę od okna. Widząc, kto dosiadł się do niego w przedziale, otworzył szeroko oczy ze zdziwienia i na kilka chwil odebrało mu mowę. Naprzeciwko niego siedziała kobieta, którą znał, ale nie ze swego życia. Znał ją bardzo dobrze z otrzymanego listu. Zdawało mu się, że ma przed sobą ducha. Kobieta niczym nie różniła się od "niby mniszki", która popełniła samobójstwo widząc Nikki, opisaną w liście od dziewczyny. Dopiero po chwili zorientował się, że kobieta coś do niego mówi. Był jak w amoku i nie słyszał jej słów, ale machinalnie odpowiedział coś, czego nie chciał powiedzieć.

- Ależ proszę bardzo.

Uśmiechnęła się delikatnie w podziękowaniu.

- Bałam się, że będę panu przeszkadzała. Był pan bardzo zamyślony.

- Głupstwo - odparł lekceważąco, prawie tak jak chciał.

- Często jeżdżę tą linią - nie dawała za wygraną i koniecznie chciała go wciągnąć do rozmowy. - Ale pana pierwszy raz widzę w tym pociągu.

Słyszając to lekarz nieco się ożywił. Czyżby jednak miał do czynienia z żywą istotą? Ktoś kłamał, ale Poitos nie wiedział czy Nikki czy siedząca naprzeciwko niego kobieta. Postanowił także grać nie całkiem czysto.

- Jadę do Przeklętej Doliny po raz pierwszy. Znajomi mnie zaprosili.

- Niezbyt miłe miejsce na spędzanie czasu, ale co kto lubi.

- A pani też do doliny?

- Nie. Ja wysiadam wcześniej.
- Nie przedstawiłem się - powiedział lekarz. - Przepraszam za moje niedopatrzenie. Nazywam się Pierre Poitos.
- Julie James - odpowiedziała z uśmiechem.
Pociąg niespodziewanie zaczął zwalniać.
- Miło mi było pana poznać. Zbliża się mój przystanek i będziemy musieli się pożegnać.
Wstała i podeszła do drzwi. Pociąg już prawie stanął.
- Może się jeszcze spotkamy, gdy będę wracał.
- Wątpię - odpowiedziała tajemniczo, stojąc już w drzwiach.
Wyszła zostawiając Poitosa sam na sam ze swoimi myślami.
Duchy mogą przybierać różne postacie i formy, pomyślał. Może jednak? Potrząsnął z niedowierzaniem głową.

* * *

- Za długo to trwa. Trzeba sprawdzić, co robi.
Strażnicy wysiedli z dorożki i weszli do kamienicy, w której mieszkał Pierre Poitos, ale drzwi do jego mieszkania zastali zamknięte.
- Doktorze.
Odpowiedziała im cisza. Na sygnał dzwonka także nikt nie odpowiedział. We dwóch natarli na drzwi, ale dopiero po kilku uderzeniach ustąpiły i wypadły z zawiasów.
- Doktorze Poitos, jest pan aresztowany za utrudnianie śledztwa.
Zmęczony i zdenerwowany głos odbił się pustym echem po mieszkaniu. Przeszukali mieszkanie, ale nie znaleźli w nim lekarza. Zobaczyli natomiast otwarte okno i ślady butów na podłodze prowadzące do niego. Wyjrzel na zewnątrz i dostrzegli te same, świeże ślady na ziemi.
- Wracamy na Guardian Street - krzyknął jeden ze Strażników.

Nie szczydzili koni, którym już piana ciekła z pysków. Były tak zmęczone, że przymuszone do bezustannego, pełnego galopu potykały się już na równej powierzchni. Zatrzymali dorożkę dopiero na Guardian Street.

- Czy jestem już wolny? Konie muszą odpocząć - zapytał woźnica zdyszonym głosem, gdy dwaj Strażnicy wysiadali z dorożki.

- Tak - krzyknął jeden z nich nie oglądając się za siebie, gdy już wbiegali do budynku.

Wbiegli po schodach na drugie piętro i skierowali się wprost do gabinetu naczelnika.

- Jest w tej chwili bardzo zajęty - usłyszeli głos sekretarki siedzącej przy biurku w przedpokoju prowadzącym do gabinetu, ale nie zatrzymali się. Szarpnięciem otworzyli drzwi.

- Wyłumaczę Ci wieczorem - powiedział młodszy z nich i uśmiechnął się do długowłosej brunetki. Jej twarz pokryła się rumieńcem.

Zanim drzwi do gabinetu zostały zamknięte usłyszała tylko jak jeden ze Strażników powiedział, że podejrzany wymknął się z zasadzki i naczelnik powiedział coś o jakimś artykule w gazecie, ale już nie usłyszała, jakim.

Pierre Poitos był zdenerwowany całą zaistniałą sytuacją i wcale nie ucieszyło go ponowne otwarcie drzwi do przedziału.

- Nie jestem zainteresowany - powiedział gburowatym głosem gdy tylko zobaczył młodego chłopca trzymającego plik gazet w ręce.

- Tylko jeden egzemplarz, proszę pana.

- Powiedziałem, że nie jestem zainteresowany. Nie mam pieniędzy.

- To dam panu wydanie specjalne. Jest darmowe - nie czekając na odpowiedź położył gazetę na fotelu. - Miłej podróży - odwrócił się i wyszedł z przedziału, zamykając za sobą drzwi.

Lekarz od niechcienia rzucił okiem na nagłówek gazety i poczuł jak fala gorąca napływa mu do głowy. Na całej stronie, dużymi literami pisało: "Właściciel Motelu, Pan Casey rozpoznaje zabójcę swojej córki. DNA martwego recepcjonisty potwierdzają ślady odkryte przez lekarza medycyny Pierre'a Poitosa, na ciele ofiary.". Poniżej, nieco mniejszymi literami wydawca napisał: "Urząd przy Guardian Street zamyka pierwszy etap dochodzenia. Wspólnik mordercy pozostaje nieznany i nieuchwytny a podejrzany doktor zaginął. Trwają poszukiwania.". Sprytnie, pomyślał lekarz.

Pociąg zaczął zwalniać. Pierre wyjrzał przez okno i zobaczył szyld zamieszczony na ścianie budynku stacji kolejowej. Dotarł do Przekłêtej Doliny, celu swojej podróży.

* * *

Nikki leżała na ziemi. Bała się nawet poruszyć i oddychać. Udawała martwą, żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń swego oprawcy. Wyteżała słuch, żeby zorientować się gdzie się na nią czai, ale nie umiała go zlokalizować. Dopiero po jakiejś godzinie czasu od dokonania gwałtu odważyła się głośniej odetchnąć. Gdy była już pewna, że znajduje się sama w pomieszczeniu zaczęła płakać nad swoim losem jak małe dziecko. Czuła się zbrukana i najchętniej, gdyby mogła zakończyłaby swoje życie, ale związana nie mogła tego dokonać. Nie wiedziała nawet jak wygląda. Czuła tylko ból i zapach potu, i jeszcze coś, co ją przerażało i wywoływało mdłości. Czuła się mokra i lepka od swojej własnej krwi. Nie tak chciała wkroczyć w dorosłość. Ale tu nikt nie mógł usłyszeć jej płaczu.

Gvidon siedział na obitym atłasem fotelu. Miał przymknięte oczy i bardzo spokojny, miarowy oddech. Kontemplował ciszę. Nagle, bez pukania drzwi rozwarły się na oścież i do gabinetu wszedł Samuel.

- Gdzie dziewczyna?

Młody prawnik uśmiechnął się tajemniczo.

- Nie pytam cię, co z nią zrobiłeś tylko...

- Żyje i jest bezpieczna - Samuel przerwał ojcu w pół zdania. - Powiedzmy, że postanowiłem się nieco zemścić na Cagliostro. A tak przy okazji, miałeś z nim jakiś kontakt?

- Tak. Dzisiaj przyjdzie do nas na rozmowę.

- I to o wiele szybciej niż myślicie - w progu pojawiła się wyniosła, wysoka postać hrabiego.

Nie spotkało go przyjemne powitanie ze strony prawników, ale Cagliostro bynajmniej jej nie oczekiwał. Przecież nie przyszedł do nich w celach towarzyskich, tylko w interesach.

- Nie myślałem, że tak szybko znowu się spotkamy - powiedział przez zaciśnięte zęby Samuel, siląc się na w miarę opanowany głos, ale nie bardzo mu się to udało.

- Doprawdy? - Zapytał ironicznie, mrużąc złowrogo oczy, hrabia.

- Może najlepiej będzie załatwić nasze sprawy jak najszybciej i pożegnać się, choćby w udawanej przyjaźni - spróbował rozładować jakoś sytuację Gvidon.

Hrabia nic nie odpowiedział, tylko spojrzał na starszego prawnika.

- Nic się nie zmieniłeś. Wejdz.

Cagliostro skorzystał z zaproszenia i wszedł do biura. Drzwi zamknęły się za nim same, jakby pod wpływem niewyczuwalnego wiatru.

- Nadal lubisz robić wokół siebie dużo szumu - rzekł Gvidon.

- A wy smrodu - stwierdził hrabia. - Ale mam wrażenie, że przeszkodziłem wam w jakiejś ważnej rozmowie. Nie przeszkadzajcie sobie. Traktujcie mnie jakby mnie tu nie było.

- Niestety, to nie możliwe.

- Mnie także miło jest cię ponownie spotkać, Samuelu.

Młody prawnik miał ochotę rzucić się na hrabiego i udusić go, nawet gołymi rękami. Te jego czujne, zimne oczy doprowadzały go do białej gorączki. Nienawidził jego szyderczego uśmiechu.

- Trzymaj swój temperament na wodzy. Twój fach tego wymaga. A wracając do przedmiotu mojej wizyty, myślę, że w obecnie zaistniałej sytuacji powinniśmy nieco zmodyfikować treść wiążącej nas umowy. Gdzie jest Nikki?

Gvidon uniósł nieco brwi, wyraźnie zaskoczony takim obrotem spraw i spojrzał na syna.

Samuel dusił się ze złości. Mógł tylko jedno teraz zrobić, żeby zapanować nad sytuacją. Skupił wszystkie swoje myśli i pragnienia na jednym celu, nie chciał, żeby cokolwiek mu przeszkadzało, ale o dziwo nic się nie wydarzyło.

Zamknął oczy i zaczął drzeć z wysiłku na całym ciele. Jego ekstatyczny stan spowodował, że z wolna zamierał w nim oddech. I wtedy, mimo zamkniętych oczu, i dzięki otwarciu umysłu i duszy, młody prawnik zaczął widzieć. Obraz gabinetu i znajdujących się w pomieszczeniu osób został zastąpiony najpierw burzą, a później paletą przenikających się wzajemnie barw. Samuel skupił na niej swe myśli.

Stracił już czucie w całym ciele, ale podświadomość żyła własnym życiem. Wiedział, że właśnie teraz jego duch wychodzi z ciała i będzie błędził gdzieś pomiędzy światami aż dotrze do tego, który teraz widzi.

Trwało to może ułamki sekund, choć Samuelowi wydawało się to wiecznością, nim jego duch stanął przed paletą barw. Żył wystąpiły mu na czoło, gdy jego myśli uformowały się w kształt ręki i zaczął dłonią rozdzielać kolory. Przekładał je na inne miejsca, znajdujące się w niewidzialnych dla zwykłych ludzi

światach. I zostały tylko poszczególne kolorowe nitki tworzące gęstą siatkę.

* * *

Cagliostro wiedział, że Samuel nie słyszy ich rozmowy, ale wyczuwał, co młody prawnik próbuje zrobić.

- Wiem, co ostatnio zrobiliście, a ty wiesz, że teraz jesteście zależni ode mnie. Dla waszego dobra ściągnij Samuela z powrotem. Obaj wiemy, że póki ja tu jestem, nie uda mu się poprzekładać nici czasu. Musimy inaczej rozwiązać nasz problem.

- Już nie jestem w stanie go powstrzymać.

Hrabiemu zdawało się, że usłyszał nutę smutku w tym przyznaniu się prawnika do własnej słabości.

- W takim razie sam muszę go unieszkodliwić w tej rozgrywce - pomyślał.

Już prawie udało mu się ustawić w odpowiedniej kolejności wszystkie nici czasu. Pozostały mu już tylko trzy; tylko trzy, ale najważniejsze. Jednocześnie jednak wzrastał w nim niepokój, którego źródłem był mały czerwony punkt w środku trójkąta, który powiększał się na jego oczach. Samuel nie mógł na niego nie patrzeć, bowiem punkt przyciągał go jak magnes. Po chwili wypełniał już cały trójkąt. Prawniki rozpoznali kształt kuli. W jej środku pulsowały różne odcienie czerwieni i wydobywał się z niej działający na nerwy brzęczący dźwięk. Samuel chciałby się cofnąć, uciec od niego, ale nie potrafił uwolnić się spod jego władzy. Z przerażeniem widział jak dziwna kula wchłania go do swego środka.

Samuel znalazł się w więzieniu, z którego nie było ucieczki.

- A jeśli nie przyjmę twoich warunków?

- Przyjacielu - rzekł spokojnie Cagliostro do Gvidona. - Pomyśl o moim zakładniku. Kto przedstawia dla ciebie większą wartość: jakaś nieznana dziewczyna czy życie twojego syna?

Hrabia nie miał wątpliwości, jaka będzie odpowiedź prawnika, więc kontynuował ze stoickim spokojem.

- Proponuję ci zamianę. Życie za życie. Jeśli jednak odmówisz to i tak postawię na swoim, ale wy zginiecie, a jeszcze jesteście mi potrzebni.

- Niczym nie ryzykujemy.

- To prawda. Ale chyba chcesz jeszcze pożyć.
- Twoje eksperymenty się powiodły. Pamiętaj, że nam to zawdzięczasz.
- A ty pamiętaj Gvidonie, że zawdzięczacie mi swoje życie i ode mnie ono zależy. Tylko ode mnie - podkreślił.
- Dlaczego tak ci na niej zależy? Chcesz z niej uczynić nową Kapłankę?
- Cagliostro przemilczał zadane mu pytanie.
- Jak brzmi twoja odpowiedź?
- Znałeś ją zanim zadałeś pytanie.
- Hrabia uśmiechnął się ironicznie. Wyjął z kieszeni płaszcza kawałek kartki. Na jej rogach namalowane były czerwone, tajemnicze symbole. Majestatycznym, wolnym krokiem podszedł do prawnika.
- Poznajesz dokument? Nie uległ zmianie od naszego ostatniego spotkania. Ostatni jego paragraf to nasza, zawarta dzisiaj klauzula - podsunął Gvidonowi kartkę pod nos.
- Atrament sympatyczny. Nie muszę tego czytać, poznaję. Nie pozostawiłeś mi wyboru.
- Cagliostro wyjął spod płaszcza złoty, ostry jak brzytwa sztylet i podał Gvidonowi, kierując ku niemu grawerowaną rękojeść.
- Nawet jego zachowałeś.
- Jak za dawnych lat.
- Prawniki podciągnął rękaw koszuli i bez namysłu rozciął skórę na przegubie dłoni. Zamoczył ostrze w krwi i podpisał dokument. W tym samym momencie, magicznym sposobem obok jego podpisu ukazała się pieczęć hrabiego. Gvidon oddał Cagliostrze pismo i sztylet, po czym odetchnął głęboko.
- Gdzie jest Nikki? - Ponowił pytanie hrabia.
- To wie Samuel. Musisz go uwolnić.
- Cagliostro zmarszczył brwi i spojrzał złowrogo na prawnika.
- My nie łamiemy umów.

Samuel usłyszał huk przypominający odgłos grzmotu. Gdy huk powtórzył się i był głośniejszy, mężczyzna zrozumiał, że znalazł się w samym środku burzy. Wiedział, że prędzej czy później piorun trafi w niego. I tak też się stało. Wstrząs elektryczny targnął całym jego ciałem, a odgłos ogłuszył. Zdał sobie sprawę z tego, że kula się rozprysła, a jego uwolniony duch spadał bezwładnie w niekończącą się przepaść.

Młody prawnik upadł na podłogę. Cagliostro podszedł do niego i postawił nogę na jego klatce piersiowej. Samuel oddychał wolno i ledwo słyszalnie.

- Gdzie jest dziewczyna?

Hrabiemu odpowiedział zimny, nienawistny wzrok prawnika. Cagliostro mocniej nacisnął butem na jego piersi. Leżący mężczyzna zaczął rzeźić zamiast oddychać.

- Powiedz mu - rzekł smutno Gvidon.

Samuel poddał się i spróbował coś powiedzieć, ale jego usta nie wydały z siebie żadnego dźwięku. Cagliostro pochylił się i dopiero po chwili usłyszał jego słowa, ledwo słyszany szept. To mu wystarczyło.

Bez pożegnania opuścił biuro.

* * *

Gdy wrócili do domu, w salonie czekały już zastawione stoły do kolacji. Hrabięgo nie zastali w swoim pokoju. Po posiłku detektyw uzupełnił swój notes o nowe spostrzeżenia, po czym podał go Agnes.

- Chcesz coś dopisać?

Lady M. przejrzała notatki i wzięła od Mothmana pióro.

- Powinniśmy narysować jakąś mapę doliny, choćby przybliżoną i szkic naszych działań. Tu jest cmentarz - narysowała owalny kształt z kilkoma krzyżami. - My znajdujemy się tutaj. Ale mniej więcej w połowie odległości dzielącej nas od cmentarza, tylko, że powyżej, znajduje się Klasztor St. Mary. Zamordowany ksiądz Hugon był jego proboszczem. Wydaje mi się...

John wyrwał jej z rąk notes.

- To trójkąt. Równoboczny - przerwał jej.

- Tak, ale... Nie rozumiem - kobieta była wyraźnie zaskoczona zachowaniem męża.

- Pamiętasz tę książkę, "Historia Ansuzyczyków", czy coś takiego?

- Tak.

- Przynieś ją. Jeśli się nie mylę to trafiliśmy na kolejny ślad układanki.

Lady M. bez pytania wybiegła z salonu.

Po chwili przyglądała się jak Mothman w skupieniu przewracał kartkę po kartce.

- Widzisz? - Zapytał triumfalnie, wskazując rysunek bardzo zbliżony do szkicu wykonanego przez Agnes. - Gdyby wprowadzić kilka modyfikacji - zastanawiał się głośno. - Ten rysunek pochodzi właśnie z Klasztoru St. Mary, jednej z siedzib zakonu.

- Chcesz iść do niego?

- Myślę, że powinniśmy.

- Teraz trwa w nim msza.

- Chciałbym ją zobaczyć. Ubierzmy się odpowiednio.

Mothman wstał i wyszedł z salonu.

Rozdział VI

Gdy tylko wysiadł z wagonu i znalazł się na stacji kolejowej, z wrażenia otworzył szeroko oczy. Pomimo nie wczesnej już pory stacja była pusta i Poitos był jedynym podróżnym. Z początku także, poza nim nikt więcej nie wysiadł. Lekarz usłyszał przeciągły gwizd i pociąg wolno ruszył z miejsca.

Nikt też nie widział jak Poitosowi walizka wypadła z rąk i znalazła się na chodniku. Na szczęście była dobrze zamknięta. Pierre otrząsnął się z pierwszego wrażenia i podniósł bagaż. Gdyby nie tabliczka informacyjna, którą przeczytał siedząc jeszcze w przedziale, byłby pewny, że wcale nie wyjechał z miasteczka. Tak Przekłeta Dolina była podobna do jego miejsca zamieszkania. Poczuł jak ciarki przechodzą mu po plecach. Bał się, że zaraz usłyszy głos wołających go Guardianów, ale nic takiego się nie stało.

Dopiero po paru minutach przeszedł przez budynek stacji, która teraz także zdawała się być wymarłą i znalazł się na małym placu, obok postoju dorożek. Wyglądało tak, jakby wszyscy mieszkańcy opuścili dolinę albo poszli do kościoła na mszę. Tylko w oddali dojrzał idącego gdzieś samotnego mężczyznę. Poitos ruszył w jego kierunku szybkim krokiem.

- To mała dolina, może tutaj też wszyscy się znają, pomyślał.

Z początku nie poznał idącego przed nim mężczyzny, ale im bardziej się do niego zbliżał tym bardziej wzrastało w nim napięcie i złe przeczucia. Przywołał w pamięci wyniosłego, dziwnego, ale bardzo pociągającego mężczyznę, opisanego przez Nikki Mothman w liście. Ale czy to możliwe, żeby...?

- Przepraszam Pana najmocniej - zagadnął mężczyznę zdyszonym głosem, gdy znalazł się tuż za nim.

Ten przystanął zaskoczony i powoli odwrócił się w stronę natręta. Wtedy medyk nie miał już najmniejszych wątpliwości, że ma przed sobą tajemniczego hrabiego Cagliostro we własnej osobie. Wiedząc z listu, że hrabia miał podróżować razem z detektywem, Poitos zaryzykował pytanie.

- Czy może mi pan powiedzieć gdzie zatrzymał się detektyw John Mothman? Jestem lekarzem z innego miasta, ale dowiedziałem się, że może przebywać w tej dolinie.

- A do czego jest panu potrzebny?

- Popełniono brutalne morderstwo, a słyszałem, że jest on najlepszym detektywem w okolicy. Musi pojechać ze mną - skłamał Poitos.

- Ciekawe, ale skoro tak, to powiem panu. Akurat tak się składa, że wiem gdzie aktualnie przebywa pan Mothman. Pójdzie pan do końca tej ulicy, potem... - wskazał ręką.

Medyk niby go słuchał, ale tak na prawdę zastanawiał się zupełnie nad czymś innym.

- Zajmie to panu dużo czasu. Ma pan pecha, że akurat nie ma teraz żadnej dorożki.

- Znajdę. Dziękuję - odparł lekarz.

Cagliostro uśmiechnął się tajemniczo i ruszył w swoją stronę, zostawiając Poitosa sam na sam ze swoimi myślami. Hrabia ucieszył się z tego spotkania. Miał nadzieję, że może w ten sposób pozbędzie się irytującego go detektywa.

Poitosowi natomiast z całej rozmowy z Cagliostrem utkwiło w pamięci tylko to, że ma szukać i pytać o dom jakiejś Lady M.

* * *

Luiza podeszła do drzwi. Tylko ona usłyszała dzwonek. Gdy je otworzyła ujrzała młodego, przystojnego listonosza.

- Szukam Pani Luizy Mothman.

- To ja - szybko odpowiedziała.

Chłopak podniósł głowę znad notesu i spojrzał na ubraną jak pokojówka dziewczynę. Ich oczy spotkały się na moment i dziewczyna wstydliwie zarumieniła się na twarzy. Szybko wyrwała z rąk listonosza zaadresowany do niej list, podziękowała i zamknęła drzwi. Oparła się o nie plecami od wewnątrz i odetchnęła kilka razy głęboko, żeby się uspokoić.

Obejrzała dokładnie kopertę i, chociaż nie znalazła żadnego śladu nadawcy, wiedziała, od kogo ten list. Po charakterze pisma, literach napisanych adresata rozpoznała swojego ukochanego. Z bijącym sercem rozerwała kopertę i na podłogę wypadły zdjęcia wraz z zapisaną karteczką. Pochyliła się nad nimi i aż krzyknęła ze strachu. Na zdjęciach zobaczyła zmasakrowane ciała dziewczyn w jej wieku oraz detektywa i Lady M. pochylonych nad jakimś grobem. Na karteczce ktoś napisał na czerwono "Ostrzeż ich - ty możesz być następna". W pośpiechu zebrała zdjęcia i pobiegła do salonu, w którym siedzieli John i Agnes, ale salon był pusty. Musieli niedawno wyjść z domu. Luiza przerażona opadła na fotel i zapłakała, ukrywając twarz w dłoniach.

Cagliostro dotarł do Klasztoru St. Mary. Miał nadzieję, że udało mu się znacznie wyprzedzić detektywa. Postanowił nie wchodzić głównym wejściem, tym bardziej, że słyszał dochodzące z wewnątrz słowa mszy. Wszedł na plac przyklasztorny i minął kapliczkę. Z tyłu klasztoru dostrzegł ukryte w cieniu drzwi i kilka schodów do nich prowadzących. Zszedł po nich bezszelestnie i naparł na drzwi całym ciałem.

Gdy znalazł się w podziemiach zewsząd otaczała go ciemność. Ostrożnie, macając nogą podłogę, zszedł jeszcze kilka stopni. Mimo, że nasłuchiwał, nie dochodził do niego żaden dźwięk. Czyżby Smiths zakpili sobie z niego? Zatrzymał się na chwilę.

- Nikki? - Zapytał cicho. Żadnej odpowiedzi. - Nikki - powtórzył głośniej. Nadal bez rezultatu.

Zszedł jeszcze kilka schodów.

- Nikki.

I gdy się już odwrócił, żeby wyjść z podziemi klasztoru i wrócić porozmawiać jeszcze raz z prawnikami, usłyszał stłumiony jęk.

- Nikki.

- Tutaj, hrabio - dotarło do jego uszu.

- Zabiorę cię stąd.

Nie patrząc na nic, i potykając się o niewidzialne w ciemnościach przeszkody, zbiegł do stóp schodów.

- Cały czas mów, odzywaj się do mnie. Inaczej cię nie znajdę.

- Nie wiem czy chciałbyś mnie oglądać w takim stanie.

Podążał kierując się jej głosem.

- Jestem związana, zapłakana i zbrukana - przy ostatnim słowie znów zaczęła płakać.

Był tuż przy niej, ale nic nie widział.

Musiał zdać się na swój zmysł dotyku. Najpierw pod palcami wyczuł jej piersi. Zatrzymał się na chwilę, a Nikki, zaskoczona, przestała płakać. Hrabia nie mógł sam siebie oszukiwać, że ta sytuacja go nie podniecała, ale nie miał teraz na to czasu. Chciał zabrać dziewczynę zanim pojawi się detektyw.

Jedną jego ręką powędrowała niżej, delikatnie po jej ciele, a druga wyżej. Cagliostro wyczuł więzy krępujące nogi i ręce Nikki. Delikatnie wziął ją na ręce i skierował się ku wyjściu z podziemi.

Na chwilę oślepiło ich słońce. Gdy jego oczy przyzwyczaiły się już do światła, hrabia rozwiązał ręce i nogi dziewczyny.

- Możesz iść?

- Z trudem.

- Uciekajmy stąd.

Nikki nic nie powiedziała. Razem z Cagliostrem opuściła plac przyklasztorny.

* * *

Lady M. nie pomyliła się. Już z oddali Mothman słyszał odgłos instrumentów i śpiew chóru.

Nikt się nie odwrócił i nie spojrział na nich, mimo, że weszli w środek mszy. Detektyw od razu zaczął szukać wśród wiernych jednej osoby. Po chwili znalazł, stojącą prawie na środku, tajemniczą, zakapturzoną postać.

Nie słuchał mszy. Poza tym była śpiewana w nieznanym mu języku. Rozumiał tylko niektóre wyrazy.

Pomyślał, że to dość specyficzny klasztor. Pierwszy raz był na mszy, która polegała tylko na śpiewie. Zresztą, kogo, jak kogo, ale detektywa nic nie powinno w życiu zaskoczyć; on powinien na wszystko być przygotowanym. Nie zdziwiła go, zatem obecność tajemniczej, zakapturzonej postaci.

- Co chcesz zrobić? - Usłyszał pytający szept Agnes.

- Dowiedzieć się, kim ona jest.

Lady M. chciała jeszcze o coś zapytać, ale zobaczyła jak Mothman delikatnie przepycha się przez tłum wiernych. Co chwilę zatrzymywał się tylko i wychylał, żeby zobaczyć czy tajemnicza postać nadal stoi w tym samym miejscu, co przed momentem. Ona jednak nie ruszała się z miejsca, jakby na niego czekała.

Lady M. podążyła za nim jak cień.

Mothman czuł się tak jakby był w labiryncie. Tracił kontakt z rzeczywistością. Nie zwracał uwagi na oznaki niezadowolenia popychanych osób. Chciał jak najszybciej zaspokoić swoją ciekawość. Wiedział, że w tej dolinie nic nie dzieje się przypadkowo i miał przeczucie, że powinien porozmawiać z tą tajemniczą osobą. Nawet, jeśli miałyby ona okazać się duchem Julie James. Tak czy inaczej mogła coś wiedzieć na temat ansuzyjczyków. A może sama też do nich należała? Spróbował wyciszyć wszystkie dźwięki dochodzące do jego uszu, wszystkie oprócz jednego - chciał usłyszeć jej głos. Chciał usłyszeć jak śpiewa, chciał upewnić się, co do jednego. Co do czego, sam jednak nie wiedział. Cały czas po głowie krążył mu głos Mary Mothman. Dziwne, że nasilał się właśnie w takich sytuacjach, jakby to miała być jakaś wskazówka.

W pewnej chwili zatrzymał się i jakby obudził się z głębokiego snu. Otworzył szeroko oczy, jak dziecko dziwiące się aniołowi. Machinalnie odwrócił się i ujrzał tuż za sobą Agnes. Uspokoił się nieco, gdy ją zobaczył, a ona uśmiechnęła się łagodnie. Stali tak przez chwilę, jakby znajdowali się na granicy rzeczywistości. Już nie docierała do ich uszu żadna muzyka, żaden śpiew, tylko odgłosy rozmów. Falami omijali ich wierni wychodzący z klasztoru. Ale pośrodku, nadal jak posąg stała tajemnicza postać. Znajdowali się tuż za nią. John i Agnes nie musieli nic mówić. Wystarczyło, że spojrzeli sobie w oczy i wiedzieli już, co powinni zrobić.

Mothman zdecydowanie położył dłoń na ramieniu tajemniczej postaci.

- Możemy porozmawiać?

Sam się wystraszył tonu swojego głosu, ale jeszcze bardziej zaskoczyła go usłyszana odpowiedź.

- Lepiej późno niż wcale, synu.

Detektyw poczuł się tak jakby w niego piorun strzelił. Poczuł jak traci czucie w nogach, jakby grunt usuwał mu się spod stóp. Agnes chwyciła go za rękę i to przywróciło mu przytomność. Tajemnicza kobieta nie odwróciła się w ich stronę.

- Wiedziałam, że prędzej czy później mnie odnajdziesz. Wierzyłam, że nie poddasz się tak łatwo. Nie zawiodłeś ani mnie, ani ojca.

John miał ochotę obezwładnić kobietę i wymusić z niej prawdę, ale w tym momencie tajemnicza kobieta odwróciła się i detektyw ujrzał najbardziej nieoczekiwany widok, jakiego mógłby się spodziewać. Bowiem istnieją oczy, których nigdy w życiu się nie zapomina, tak jak osoby, które...

- Czas odkryć pierwszy symbol, znak Boga - John usłyszał w swojej głowie głos nieznanego pochodzenia.

Nieznajoma patrzyła na niego w milczeniu. Nawet nie odezwała się do Agnes.

- Wyjdźmy stąd. To nie jest odpowiednie miejsce do rozmowy. Ten klasztor usłyszał już to, co miał usłyszeć.

- Ale ty przecież...

- Dziwisz się, że żyję? Przecież wierzyłeś w to od początku. Może nieco inaczej wyglądam niż wtedy, gdy widziałeś mnie po raz ostatni. Zresztą, ty także się zmieniłeś - nie jesteś już chłopcem.

- Nikki zaginęła, mamó - ostatni wyraz wypowiedział z wyczuwalnym wahaniem.

Kobieta nie wyglądała na zaskoczoną.

- Bałam się tego. Ale posłuchałam Agnes, i mimo zagrożenia chciałam, żebyś ty zajął się sprawą morderstw. Ale chyba podejrzewam gdzie może być Nikki.

Słyszając to Mothman zatrzymał się i chciał chwycić Mary za rękę, ale zwinnie schowała ją pod habitem.

- Te ściany mają uszy.

Poprowadziła ich pustymi uliczkami do niepozornej, obskurnej kamienicy.

Jak można mieszkać w takiej ruderze - pomyślał detektyw spoglądając na odrapane ściany, wybite gdzieś okna i pajęczyny wiszące na ścianach. Pokój, w którym znajdowali się teraz wyposażony był w stolik oświetlony świecą i stare łóżko.

- Można - odpowiedziała Mary, jakby odgadując jego myśli. - Poza tym to dobra kryjówka przed ludźmi naszego znajomego.

- Kogo? - Zapytał John.

- Hrabiego Cagliostro, ale dopóki jest zainteresowany Nikki, będzie żyła.

- Co masz na myśli?

- Prawdopodobnie się w niej zakochał. W końcu jest moją córką.

* * *

Zataczał się jak pijany i gdyby Agnes nie podtrzymywała go pod rękę, zapewne nie raz upadłby na ziemię. Kręciło mu się w głowie z nadmiaru wrażeń i wiadomości, które otrzymał od matki. Mary Mothman nie chciała wyjść z kamienicy, czuła się w niej bezpieczniej niż gdzieś indziej. Pożegnali się, ale Mothman miał przeczucie, że wkrótce znów się spotkają.

- Czy to o tych prawnikach mi wspominałaś?

- Tak, tych samych, co twoja matka - odpowiedziała Lady M. Zbliżali się do powozu.

- Dlaczego Nikki - zastanawiał się John.

- Hrabia bardzo kochał twoją matkę. Chciał uczynić ją nieśmiertelną. Może po latach widzi ją teraz w osobie Nikki.

- Niech go tylko odnajdę. Choćby w domu...

- Nie mamy dowodów.

- A to, co zrobił Mary? Widziałaś jak wygląda.

- Eksperyment nie całkiem mu się udał. Ale jest nieśmiertelna. Najpierw odnajdźmy Smithów.

Zacznijmy może od klasztoru. Teraz będzie już pewnie pusty i, miejmy nadzieję, że jeszcze otwarty.

Klasztor rzeczywiście był pusty i z pozoru zdawał się być nieużywany. Na tablicy ogłoszeń także nie było żadnych zapowiedzi.

- Nie są wypisane nawet godziny odprawiania mszy - zauważył detektyw.

- Faktycznie. Nigdy nie zwróciłam na to większej uwagi.

Lady M. nacisnęła klamkę i lekko otworzyła drzwi.

- Wchodzimy?

Mothman spojrzał na stojącą na szczycie schodów Agnes i pokiwał przecząco głową. Uniosła brwi ze zdziwienia i z wahaniem zeszła do męża.

- Wyczuwam dziwną aurę wokół tego miejsca. Najpierw obejrzyjmy ten klasztor z zewnątrz. Myślę, że otoczenie może nam wiele powiedzieć.

- Poczekaj. Nie zamknęłam drzwi. Jeśli teraz ktoś przyjdzie... - odwróciła się w stronę schodów, ale Mothman ją powstrzymał, kładąc jej zdecydowanie dłoń na ramieniu.

- Drzwi są teraz najmniej ważne.

Nic nie zapowiadało wiatru, który się nagle zerwał i domknął, zostawione przez Agnes drzwi.

- Jak to zrobiłeś?

- To tylko wiatr - odpowiedział. - Obejrzyjmy klasztor.

Imponujący gmach, wybudowany w gotyckim stylu, jak za czasów świetności średniowiecza oszałamiał swoim wyglądem. Strzeliste wieże swą masywnością przywodziły na myśl najpotężniejsze zamki. Na pierwszy rzut oka, w oparach mgły klasztor wyglądał tylko jak piękniejszy kościół, ale gdy detektyw lepiej mu się przyjrzał, to był on prawdziwą warownią. Do miana twierdzy brakowało mu tylko fosy i murów obronnych.

Połączony z plebanią i terenami do niej przyległymi, klasztor stanowił ogromną posiadłość.

Aż dziwne, że taki gmach został zaadaptowany na Dom Boży. Choć Mothman nie łudził się, co do tego, że wcześniej klasztor miał zupełnie inne przeznaczenie, to teraz, mimo swej masywności był zupełnie bezbronny. Żadnych strażników, nawet drzwi stały otworem dla każdego, kto chciałby się, chociaż pomodlić w jego gościnnych progach.

- Czyżby Zakon Ansuzyczyków był tak zadufany w sobie, że nie bał się nawet kradzieży? - Zastanawiał się Mothman.

Najwidoczniej jednak tak było, bo oprócz otwartych drzwi wejściowych John znalazł mniejsze, nieco ukryte w cieniu, drzwi z boku klasztoru. One także nie były zamknięte na klucz. Detektyw zszedł kilka prowadzących do nich stopni. Po chwili dołączyła do niego Agnes.

- Jak mniemam, prowadzą do podziemi. Chyba powinniśmy się rozdzielić - zasugerował John. - Tobie łatwiej będzie rozmawiać z członkami zakonu, a ja zwiedzę lochy. Bądź jednak ostrożna.

- Może uda mi się także czegoś dowiedzieć na temat zabójstwa księdza Hugona.

- Spróbuj - jego głos dochodził już z pomieszczeń piwnicy.

Lady M. na nic już nie czekając, skierowała się ku budynkom plebani.

* * *

Zszedł po schodach i znalazł się w dusznych pomieszczeniach. Musiał bardzo uważać, żeby nie narobić sobie siniaków, ponieważ w podziemiach nie było żadnego światła. Detektyw żałował, że nie miał przy sobie choćby pochodni, albo nawet świeczki. Lochy były wilgotne i dookoła rozchodził się zapach pleśni. Gdzieś jednak zaduch przyprawiał Johna o mdłości.

Ostrożnie chodził po pomieszczeniach, delikatnie badał palcami ściany. Kilka razy usłyszał pod swoimi butami chlupot, jakby wszedł w wodę. Pochylał się wtedy nad ciecżą, dotykał jej, wachał palce, ale czuł tylko wodę.

- Jeszcze jedno pomieszczenie i wychodzę - pomyślał. - I tak niczego tu nie znajdę.

Komora była nieco mniejsza niż poprzednie. Mothman machinalnie dotknął ściany i ku swojemu zdziwieniu wyczuł metal. Gdy zaczął go badać i spróbował oderwać od ściany, przestał mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Dźwięk i metalowe ogniwa potwierdziły żelazne kajdany na ich końcach. Pracownia tortur, czyli miał rację - kiedyś to nie był klasztor, ale co? Zamek? John nie był tego całkiem pewny. Przeszedł kilka kroków i uderzył kolanem w coś masywnego. Dotknął gładkiego blatu. Obok stało coś, co kształtem przypominało krzesło. Detektyw wiedział, że po ciemku nic więcej nie zobaczy. Odwrócił się i wolnym krokiem ruszył ku wyjściu.

Znów wszedł butem w coś wilgotnego. Myło mało prawdopodobne, aby w tym pomieszczeniu ktoś rozlał wodę. Pomyślał o nieco innej cieczy. Pochylił się, umoczył w niej palce. Kleiły się. Powąchał - słodki zapach uderzył go w nozdrza. Krew.

- Jest tu ktoś? - Zapytał głośno, ale bez przekonania. Gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, wyszedł z pomieszczenia tortur.

Agnes Mothman nie zastanawiała się, z kim powinna rozmawiać. Rażno zastukała do drzwi. Po kilku minutach małe okienko z drzwiach otworzyło się i Lady M. dostrzegła przyglądające się jej ciekawie oko.

- Pani, do kogo? - Doleciał ją dźwięczny kobiecy głos.

- Chciałabym wstąpić do Zakonu - Agnes odparła bez zastanowienia, jakby oczekiwała takiego pytania. Wiedziała, że musi się jakoś załgać, aby wejść do środka.

Okienko ponownie się zamknęło i zapanowała cisza. Po dłuższej chwili Lady M. była pewna, że tym sposobem nie dostanie się do wnętrza. Odwróciła się i ruszyła w kierunku podziemi klasztoru. Odwróciła się słysząc otwierające się zasuwy. Drzwi do plebani stały przed nią otworem, a w progu czekała na nią kobieta o dźwięcznym głose i uśmiechała się przyjaźnie.

- Proszę - powiedziała. - Rada za chwilę panią przyjmie. Jak pani się o nas dowiedziała?

- Jestem znajomą Ojca Hugona i kiedyś wspominał, że powinnam podążać za swoim powołaniem. Miał rację i chciałabym mu przy okazji podziękować.

Kobieta zamknęła masywne drzwi i zatrzasnęła zasuwy. Teraz obie stały na obszernym, otoczonym domkami i wybrukowanym placu. Miejscami tylko dostrzec było można obsadzone kwiatami grządki.

Ubrana w czarny habit kobieta ujęła Agnes za rękę.

- Niestety nie będzie to możliwe. Ojciec Hugon nie żyje - wcale nie wydawała się smutna wypowiadając te słowa. Delikatnie gładziła Agnes po dłoni, a w jej oczach zapłonęło pożądanie.

- To pani pokój.

Lady M. niby pobieżnie rzuciła okiem na pomieszczenie. Miękkie łóżko, okno wychodzące na plac przyklasztorny. Jej uwagę przyciągnęła skromna kapliczka.

- Bardzo ładna - rzuciła mimochodem.

- I pechowa. To przy niej znalazłam Ojca Hugona. Proszę się nie dziwić warunkom, ale takie są reguły zakonu.

Agnes obejrzała się i w progu zobaczyła przyglądającą się jej ciekawie zakonnicę. Kobieta, która właśnie sprzątała w pokoju niepostrzeżenie wyszła.

- Nie będę przeszkadzała? Nie muszę mieszkać w klasztorze.

Zdawało się to jej zupełnie naturalne, ale nie było takim dla rozmawiającej z nią zakonnicy. Ta od razu zaprzeczyła:

- To też nie jest możliwe. Wstępując do zakonu wyłączamy się ze świata zewnętrznego. Odizolowujemy się całkowicie - podkreśliła.

- Czy kiedyś się już gdzieś nie spotkałyśmy? - Zapytała podejrzliwie.

- Może na mszy.

- Może - zastanawiała się chwilę. - Rada zakonu wezwie cię na rozmowę. Tymczasem rozgość się - zakonnica wyszła z pokoju zamykając za sobą drzwi.

Lady M. była zła na samą siebie, że nie przewidziała rygorów zakonu. Była zbyt naiwna. Teraz musiała jak najszybciej porozmawiać z Mothmanem.

Odczekała dłuższą chwilę i gdy była pewna, że nie ma nikogo na korytarzu, podeszła do drzwi. Nacisnęła klamkę, ale drzwi zostały zamknięte od zewnątrz. Zaklęła pod nosem i podeszła do okna. Miała nadzieję, że zobaczy Johna; że wyszedł już z podziemi klasztoru i będzie mogła jakoś się z nim porozumieć. Nogi ugięły się pod nią ze strachu, gdy zamiast męża pod oknem zobaczyła postać młodego prawnika. Patrzył na nią beczelnie i ironicznie się uklonił. Rzucił jej jeszcze jedno spojrzenie i odszedł.

Agnes bez sił opadła na łóżko.

Mothman miał mieszane uczucia, co do tego, co znalazł w podziemiach. Cieszył się, że natrafił na jakiś nowy ślad, ale lękiem przerażała go myśl o tym, co może zobaczyć, gdy rzuci na to jakieś światło. Tak czy inaczej Agnes także musiała to zobaczyć.

Detektyw stanął przed drzwiami prowadzącymi do podziemi. Poczuł się rażniej, gdy owiał go chłodny wiatr. Cekał na Lady M., ale nigdzie nie mógł jej dostrzec. Może za chwilę przyjdzie. Pewnie jeszcze rozmawia z zakonnikami, myślał.

Ale gdy ta chwila przedłużała się, a Agnes nie przychodziła, zaczął się niepokoić. Zdażył obejść kilkakrotnie klasztor, a kobieta na niego nie czekała. Postanowił się czegoś dowiedzieć.

Podszedł do drzwi prowadzących na teren plebani. Zastukał kilka razy mosiężną kołatką. Wcale nie zdziwiło go, że miała ona kształt runy Ansuz. Okienko otworzyło się i ujrzał przyglądające mu się z ciekawością czarne oko. Doleciał go młody, kobiecy głos.

- Szuka Pan odpoczynku?

- Niezupełnie – odpowiedział, a w myśli sobie dodał "oby nie wiecznego", głośno jednak tego powiedział. - Szukam pewnej kobiety, która niedawno przebywała na terenie tej plebani.

- Jak jej na imię?

- Agnes Mothman, ale mogła się także przedstawić jako Lady M.

- Przykro mi, ale nie mamy takiej siostry. Może wstąpiła do innego zakonu.

- Ona nie chciała wstąpić do zakonu - zaprotestował detektyw. - Chciała tylko porozmawiać z jakimś księdzem i się wyspowiadać. Wspomniała coś bodajże o Ojcu Hugonie - starał się nadać swojemu głosowi taki ton, aby osoba po drugiej stronie drzwi nie domyśliła się, że wie, iż Ojciec Hugon został zamordowany.

Po chwili ciszy, jakby kobieta po drugiej stronie starała się sobie coś przypomnieć, odezwała się niezmiennym głosem:

- Faktycznie, była taka osoba, ale tylko pomodliła się u nas i odeszła.

John nie umiał ukryć swego zaskoczenia.

- Odeszła - powtórzył bezwiednie.

- Tak. Może poszła do domu.

- Może. Dziękuję, sprawdzę.

Okienko zamknęło się ponownie i detektyw stał jeszcze przez chwilę w ciszy. Odwrócił się i ruszył w kierunku domu.

Bez światła niczego więcej nie zobaczę w tych przeklętych lochach, pomyślał. Jeszcze tu wrócę.

W pobliżu nie czekała żadna dorożka i Mothman zmuszony był pójść do domu pieszo. Po głowie krążyła mu myśl o zdradzie Lady M.

* * *

Czuła się bezpieczna. Usnęła w jego ramionach. Nieważne teraz dla niej było gdzie ją niesie, byleby dalej od tego miejsca. Była szczęśliwa. Cagliostro także, ale z zupełnie innego powodu.

Nie ciążyła mu zbyt, nawet wtedy, gdy wchodził po stromych, krętych schodach. Ucieszył się, że ani Agnes, ani Mothmana nie było w domu. Ich nieobecność zaoszczędziła mu wielu

niepotrzebnych pytań i odpowiedzi. Nikt go nie widział, nawet córka detektywa.

Nikki nie obudziła się nawet na dźwięk przekręcanego klucza w zamku i skrzypienia otwieranych drzwi. Hrabia zamknął je delikatnie i ułożył dziewczynę w swoim łóżu. Wiedział, że po tym, co przeszła minie sporo czasu nim przyjdzie do siebie i odważy się ponownie spojrzeć na siebie w lustrze. Postanowił jej nie budzić. Gdy spojrzała w jego oczy usnęła niczym dopiero, co nakarmione dziecko w ramionach matki.

Podszedł do komody i szafy, otworzył je i wybrał pasujące na dziewczynę prawie nowe ubrania. Położył je w nogach łóżka. Dopiero teraz zapalił światło - słabe, tak tylko, żeby przyjrzeć się Nikki i w milczeniu usiadł w fotelu. Oparł głowę o podglówek, przymknął oczy i zatopił się w swoich rozmyślaniach. Był pewny, że detektyw był w jego bibliotece i że maczała w tym palce Lady M., ale tego pomieszczenia, w którym miał zamiar ukryć Nikki jeszcze nie odkryli i on się już o to postara, żeby tak zostało.

Obudziła się. Sama nie wiedziała, ile spała. Jej oczy poraził blask słabego światła. Poruszyła swoimi członkami - były całe. Ze zdziwieniem stwierdziła, że leży w miękkiej, puchowej pościeli na łóżku. Nie wiedziała gdzie się znajduje, ale była przekonana, że w niebie, a niosący ją hrabia Cagliostro był jej aniołem - wybawicielem. Ale czy w niebie też są domy dla zabłąkanych dusz, takich jak jej? Miała, co do tego poważne wątpliwości, chociaż wyraźnie widziała wiszący nad swoją głową sufit. Z drugiej jednak strony, co także potwierdzało jej obecność w niebie, były niewyraźne, ledwo słyszalne głosy, dochodzące do jej uszu jakby z dołu. Zdawało się jej także, że słyszy głos swojego brata.

Przewróciła się z pleców na bok i jej twarz rozjaśnił uśmiech. Widziała wpatzonego w siebie swojego anioła - wybawiciela. Nie śmiała się do niego odezwać.

A więc tak wygląda niebo, pomyślała.

W jej sercu panowała błoga cisza i spokój. Zamknęła oczy gotowa ponownie zasnąć, jednak przerwał jej głos anioła.

- To tylko ułuda.

Głos był zupełnie ludzki. Nikki otworzyła oczy i ze zdziwieniem spojrzała na siedzącego w fotelu mężczyznę.

- Tak, to ja, a ty, choć jesteś aniołem, to wcale nie znajdujesz się w niebie tylko w domu niejakej Lady M. A dokładniej, Agnes Mothman.

- To niemożliwe - dziewczyna z trudem i grymasem bólu na twarzy podniosła się lekko i oparła na łokciach. - Po odejściu mamy tylko John i ja mamy jej nazwisko.

- Chyba, że twój brat się ożenił - Cagliostro zaczął się przyglądać jej reakcji.

- To niemożliwe - powtórzyła. - Wiedziałabym o tym - niemalże krzyknęła i próbowała się zerwać z łoża, ale tylko syknęła z bólu i opadła na nie bez sił z powrotem.

Jej oddech stał się szybki i głośny. Hrabia przyglądał się jej w milczeniu.

- Chyba, że... - zaczęła powoli, już nieco spokojniej.

- Dość długo przebywałaś w śpiączce - dokończył hrabia.

- Chciałabym ją poznać. Spotkać się i porozmawiać z nią i Johnem.

Uderzyła go stanowczość jej głosu. Nikki była o wiele silniejsza aniżeli się tego po niej spodziewał.

- Dobrze. Obiecuję ci, spotkanie odbędzie się jak tylko wydobrzejesz. Dużo przeszłaś. Rany muszą się zagoić. Poza tym śpiączka też zrobiła swoje. Przygotowałem ci nowe ubrania - leżą na łóżku w twoich nogach i jak przyjdzie odpowiednia chwila, wrócisz do życia. Myślę, że teraz powinnaś coś zjeść, żeby zacząć nabierać sił. Zaraz coś ci przyniosę.

Hrabia wstał i skierował się ku wyjściu z pokoju. Nikki nie odezwała się ani słowem, gdy zamykał za sobą drzwi. Usłyszała odgłos jego butów, gdy schodził po schodach. I znowu została sama.

Luiza usłyszała dzwonek do drzwi. Miała nadzieję, że to Agnes i John wracają do domu. Wiedziała, że będzie musiała przyznać się do otrzymanego listu, pokazać go i porozmawiać z nimi nim stanie się coś złego. Bała się, ale wiedziała, że gniew rodziców może być mniejszym złem niż nadchodzące wydarzenia. Poza tym dławiło ją poczucie winy.

- Ja otworzę! - Krzyknęła i nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź służby pobiegła na spotkanie. Minęła kilka pokoi i zdyszana zatrzymała się w przedpokoju. Wciągnęła powietrze głęboko w płuca, poprawiła dłońmi włosy i dostojnie podeszła do drzwi. Gdy tylko je otworzyła krzyknęła z przerażenia.

- Nie sądziłem, że aż tak bardzo ucieszy cię moja wizyta.

Zamarła w bezruchu, sparaliżowana strachem i przyglądała się ostremu narzędziu trzymanemu przez niespodziewanego gościa w

ręce. Samuel wolno, rozkoszując się widokiem dziewczyny podszedł do niej i, patrząc jej głęboko w oczy przyłożył nóż do gardła. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

- Po twoim zachowaniu wnioskuję, że otrzymałaś mój list.

Delikatnie przesunął ostrze po jej szyi. Luiza poczuła dotyk metalu i krople potu wystąpiły jej na czoło. Nagle dłoń prawnika zatrzymała się, a on sam stanął tuż za dziewczyną. Jej oczy rozszerzały się z każdym jego ruchem.

- Tęskniłem za tobą, a ty?

Poczuła ostrze noża, zimne i nieprzejezdne. Mocniej nacisnęło na jej krtań, ale nie zostawiło żadnej rany. Ze zgrozą poczuła także drugą rękę Samuela, która bezceremonialnie spoczęła na jej podbrzuszu. Luiza wstrzymała oddech, ale serce zaczynało jej bić coraz gwałtowniej. Po chwili nie mogła już wytrzymać wzrastającego napięcia. Łzy same napłynęły jej do oczu, gdy jego dłoń podniosła fartuszek i zniknęła pod spódniczką. Dziewczyna mimowolnie zaczęła coraz głośniej i szybciej oddychać.

- Widzę, że ty także tęskniłaś - usłyszała tuż nad swoim uchem.

Szorstki język jej kochanka przyprawiał ją o mdłości, gdy zaczął krążyć po młodziutkiej szyi.

- Myślę, że powinniśmy wejść do domu. Zawsze byłaś grzeczną i usługującą dziewczyną. Myślę, że i teraz nie sprawisz mi zawodu i wypełnisz obowiązki pani domu pod nieobecność rodziców. Twoją mamę już znam, ale ojca jeszcze nie. Poczekamy na nich wspólnie - bardzo chciałbym ich lepiej poznać i jakoś do ich powrotu uprzyjemnimy sobie czas. W końcu niedługo będą moimi teściami. Co ty na to, kochanie?

Język Samuela znów obleśnie dotknął jej szyi, a palce prawej dłoni zagłębiły się w jej desu.

Luiza chciała krzyknąć, sprzeciwić się jakoś swemu oprawcy, ale bała się nawet głębiej odetchnąć. Ostrze było zbyt przerażające. Odwróciła się wolno i ruszyła w głąb domu. Samuel napierał na nią jak cień.

Gdy tylko znaleźli się w jej pokoju Samuel zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku i pchnął dziewczynę na kanapę. Luiza wiedziała, że na nic nie zda się jej próba jakiejkolwiek obrony przed silniejszym, brutalnym napastnikiem. Podjęła decyzję, wiedziała już, co robi, gdy tylko Samuel opuści dom. Wiedziała, że nikt go nie powstrzyma i nikt jej nie pomoże - domownicy dobrze znali jej temperament i przyzwyczaili się do jej licznych

gości. Modliła się tylko o szybki powrót rodziców.

Cagliostro niemal bezszelestnie zszedł po schodach. Wolnym, dostojnym krokiem minął pokoje. Zatrzymał się na chwilę przed jednym z nich. Zdawało mu się, że słyszy dochodzące z jego wnętrza tajemnicze odgłosy. Znał dobrze ten pokój i jej właścicielkę, do niedawna też bywał jej częstym gościem i wiedział, jakiego typu spotkania się w nim odbywają. Uśmiechnął się tylko wyrozumiale i poszedł do kuchni. Po chwili wracał już z naręczem talerzy i jedzeniem.

Usłyszał głośnie sapanie, gdy mijał pokój Luizy. Zupełnie spokojny skierował się ku ukrytym komnatom.

Zastał Nikki w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Nawet nie wstała z łóżka. Postawił jedzenie na stole i zapalił światło w komnacie.

- Mam nadzieję, że będzie ci smakować. Niczego lepszego niestety nie znalazłem - powiedział przepraszającym głosem.

Dziewczyna spojrzała na posiłek i nagle poczuła nieopanowany głód. Głośno przełknęła ślinę. Dawno nie widziała tak wykwintnego jedzenia.

Nie uszło to uwadze hrabiego. Wziął sztucę i talerz do ręki i usiadł na łóżku koło Nikki. Zapach wędzonej wędliny, pieczonych owoców i najrozmaitszych surówek przyprawiał ją o taniec zmysłów. Zachłannie łykała każdą porcję podaną jej przez hrabiego. Zachowywała się jak wygłodniałe dziecko z buszu. Dopiero, gdy się nieco nasyciła Cagliostro zabrał się do swojego posiłku.

- Na razie starczy - powiedział widząc jak przygląda się jeszcze jego talerzom. - Często, ale pomału - uśmiechnął się do niej życzliwie.

Gdy skończył podał jej kieliszek czerwonego wina.

- Za lepsze jutro - powiedział podnosząc swój kieliszek.

- Oby było lepsze - odpowiedziała maczając usta w winie.

- Zaraz podam ci kawałek ciasta.

* * *

Stał przez długą chwilę oparty o ogrodzenie i z szeroko otwartymi oczami przyglądał się posiadłości. Pytając różnych ludzi znalazł mieszkanie Lady M. Kilka godzina zajęło mu dotarcie tutaj. Jeśli na prawdę mieszkał tu także John Mothman, ten sam,

którego wioził niedawno swoim powozem to nieźle musiał się urządzić w dolinie. Poitos przeszedł przez otwartą na oścież bramę i stanął przed drzwiami domu. Po chwili wahania nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich młody, wysoki mężczyzna ubrany do wyjścia.

- W czym mogę pomóc?

- Czy mieszka tu Pan John Mothman?

- Tak - odpowiedział młodzian. - Teraz nie ma go w domu, ale proszę wejść. Niech się pan rozgości. Służba się panem zaopiekuje. Pan Mothman z pewnością niedługo wróci. Ja muszę wyjść na jakiś czas - to mówiąc wyszedł przed dom.

- Dziękuję. Poczekam.

Lekarz wszedł do domu. Obejrzał się za siebie, ale zobaczył już tylko cień oddalającego się swojego rozmówcy.

Luiza nawet nie sprawdzała czy Samuel wyszedł z domu. Wiedziała, że nie jest taki głupi, żeby tu kiedykolwiek wrócić. Nie po tym, co jej zrobił. Wytarła potarganym rękawem zapłakane oczy. Nie chciała nawet na siebie spojrzeć w lustrze. Na łóżku, niemym świadku gwałtu leżało ostre narzędzie prawnika. Nie namyślając się długo sięgnęła po nie i przeżegnała się. Nikt już nie mógł zmienić jej decyzji. A rodzice nie przyszli jej z pomocą.

Przerażający krzyk rozdarł panującą w domu ciszę. Nawet Poitosowi krew zastygła w żyłach. Bez chwili namysłu pobiegł w kierunku źródła głosu.

Dobiegł do otwartych drzwi, w których zbiegła się już chyba połowa służby.

- Przepuście mnie natychmiast! - Krzyknął. - Jestem lekarzem!

Gdy głosy nieco przycichły domownicy usunęli się na boki tworząc przejście. Spoglądali na młodego lekarza wyraźnie zaskoczeni jego obecnością i szemrali coś ledwo słyszalnie. Pierre Poitos nie zwracał na nich jednak żadnej uwagi. Gdy znalazł się w pokoju i rzucił pobieżnie okiem po wszystkich kątach miał już w głowie scenariusz tego, co wydarzyło się zaledwie minutę temu. W milczeniu pochylił się nad ciałem dziewczyny. Nie wyczuł na swym ciele najmniejszego nawet jej oddechu. Nie zwracał uwagi na to, że stoi we krwi wypływającej z podciętego gardła. Tej dziewczynie nikt już nie mógł pomóc. W prawej dłoni trzymała nóż. Palce były

zaciśnięte na jego rękojeści tak mocno, że nie było możliwości, żeby ktoś włożył go jej po śmierci.

Poitos wiedział też, dlaczego popełniła samobójstwo. Wystarczyło spojrzeć na jej potargane ubranie, spocone ciało i rany na ciele - wyniki drapania w czasie ekstazy. Pierre mógł tylko podejrzewać, że sprawcą gwałtu był wychodzący, mijający go w progu domu młody mężczyzna.

- Kim ona była? - Zapytał pochylony nad ciałem dziewczyny. Nie patrzył na nikogo ze służby. - Jedną z was? Pokojówką?

- Niech pana nie zmyli jej ubiór i wygląd. Ona lubiła ubierać się tak niewinnie i kusić innych swoim wyglądem.

Poitos odwrócił się do służby słysząc te słowa. Nie mógł ukryć zaskoczenia na widok właściciela głosu, który je wypowiedział.

Hrabia Cagliostro wolnym krokiem zbliżył się do lekarza.

- Ta dziewczyna to Luiza Mothman, córka detektywa Johna Mothmana.

Odwrócił się i zwrócił się do służby kategorycznym głosem:

- Koniec przedstawienia. My się zajmujemy ciałem. Możecie wracać do swoich obowiązków.

Oszołomieni domownicy opuścili komnatę. Poitos i Cagliostro przyglądali się sobie w milczeniu.

* * *

Wieść o śmierci dziedziczki fortuny Mothmanów lotem błyskawicy obiegła całą dolinę. Ponieważ nikt z domowników nie miał wątpliwości, co do tego, że panna Luiza popełniła samobójstwo wkrótce mówiło się już o tym otwarciu. Niejasne były tylko powody działania dziewczyny.

Mothman, po powrocie do domu i gdy zobaczył, co się stało, zamknął się w swojej komnacie i nie chciał nikogo widzieć. Co jakiś tylko czas wychodził i pytał Poitosa o jakieś nowe wiadomości, ale stał się zimny, nieprzystępny dla innych. Nic go nie cieszyło, nawet przyjazd lekarza. Liczył z początku minuty, potem godziny, a gdy zaczął już liczyć tygodnie swojego pobytu w tej przeklętej dolinie, zaczęła opuszczać go wszelka nadzieja. Już nawet przestał notować swoje spostrzeżenia w zeszycie.

Z zadumy wyrwało go natarczywe pukanie do drzwi. Detektyw nie odpowiedział. Postanowił udawać, że śpi. Nie chciał z nikim rozmawiać.

- John - usłyszał zza drzwi głos młodego lekarza. - Myślę, że znaleźliśmy coś, co powinno cię zainteresować.

Mothman nie wierzył, że coś takiego jeszcze może istnieć i nie odezwał się ani słowem. Poitos jednak tym razem postanowił nie dać za wygraną.

- Mam tu coś, co nie wyjaśni może samobójstwa Luizy, ale wiele może nam powiedzieć o tym, kto się do tego przyczynił.

Detektyw nadal milczał.

- I powiem ci, że znamy jego nazwisko. Wiemy, kto to jest.

John Mothman przetarł dłońmi oczy i odetchnął głębiej. Wolno podniósł się z fotela i podszedł do drzwi. Wydarzenia ostatnich kilku dni sprawiły, że czuł się jak człowiek stojący na progu spoczynku. Niechętnie otworzył drzwi. Przed nim stali Pierre Poitos i Cagliostro. Hrabia trzymał w ręce jakąś kartkę i podał ją detektywowi.

- Co to jest?

- List, który otrzymała twoja córka. Przypuszczam, że dostała go tuż przed śmiercią.

Detektyw przyjrzał się dokładniej kartce.

- Znalazłem go pod poduszką, w jej łóżku. Widocznie nie chciała, żeby dostał się w niepowołane ręce.

- Ktoś jej groził śmiercią - stwierdził beznamiętnie detektyw. - Ale to tylko kolejna poszlaka, bez żadnego adresu.

- Niezupełnie. Wiem, kto jest autorem tego listu.

Mothman spojrzał pytająco na hrabiego, a ten uśmiechnął się mimo woli.

- Skąd wiesz? Może sam go napisał?

- Nie, ale prowadziłem kiedyś interesy z kimś, kto miał bardzo podobny charakter pisma. Niejakim Samuelem Smithem. Może od niego się czegoś dowiemy. Tobie łatwo będzie z nim rozmawiać, bo jest prawie z twojej branży. To prawnik - rzekł z naciskiem Cagliostro.

Nagle w oczach Mothmana pojawiły się złowrogie błyski.

- Prawnik - powtórzył cicho.

Lekarz i hrabia popatrzyli na siebie w zdumieniu.

Mothman przypomniał sobie wszystko, co mu mówiła Lady M. Powoli klocki trafiały na swoje miejsca. Nawet prawnicy wspomniani przez nią pasowali do tej układanki.

- Dajcie mi chwilę, żebym mógł zebrać myśli. Spotkamy się na kolacji i wtedy, w salonie zastanowimy się, co robić dalej. Ten list może nam sporo wyjaśnić.

W detektywa jakby wstąpiły nowe siły. Nie czekając na odpowiedź Poitosa i Cagliostro, zamknął przed nimi drzwi. Gdy został sam w pokoju, zapalił trzy dodatkowe lampy i jeszcze raz przeczytał list, który otrzymała Luiza. Złożył go na czworo i schował do swojego notatnika. Dopisał w nim nową uwagę z aktualną datą i schował do zamykanej na klucz szafki. Stał przed lustrem i przyjrzał się sobie z dużą dozą krytycyzmu. Zarośnięty, nieogolony i w niezmiennym od kilku dni ubraniu nie mógł zasiąść do kolacji. Nie czuł już nawet zapachu użytej wody kolońskiej. Na szczęście miał jeszcze trochę czasu do kolacji.

Gdy zszedł do salonu Poitos aż wstał ze zdziwienia od stołu. Detektyw zupełnie nie przypominał wyglądem samego siebie sprzed zaledwie kilkunastu minut. Teraz wyglądał tak jak wtedy, gdy lekarz wioził go swoim powozem.

- Nie musisz wstawać. Gdzie hrabia? - Zapytał John marszcząc brwi.

Gdy tylko wszedł do salonu zauważył, że na stole przygotowane są tylko dwa nakrycia.

- Bardzo źle się poczuł i stwierdził, że zje w swoich komnatach. Prosił, żebym cię przeprosił w jego imieniu.

- Co mu dolega?

- Nie wiem. Nie pozwolił mi się badać.

- Dziwne.

- Przypuszczam, że ma kłopoty z wątrobą. Zabrał tylko trochę jedzenia, niedużo - jakby się odchudzał.

Mothman siadł naprzeciwko Poitosa i podał mu półmisek z wędliną. Doktor nałożył sobie na talerz kawałek polędwicy, boczku i duszonej gęsi, po czym oddał go detektywowi. John nałożył sobie to samo. Nalał z karafki do kieliszków czerwonego wina i wziął kilka kawałków pieczywa.

- Mamy teraz chwilę czasu. Opowiedz mi szczegółowo jak i dlaczego przyjechałeś do Przekłętej Doliny, jak mnie odnalazłeś i co wydarzyło się w pociągu. Wspomniałeś o tym, ale nie zwracałem na to uwagi, a teraz może się okazać, że są to ważne wiadomości.

Odkroił kawałek polędwicy i położył sobie na kromce chleba.

Poitos umoczył usta w winie. Zastanawiał się chwilę i zaczął opowiadać.

Cagliostro niepostrzeżenie przedostał się do swoich komnat. Tylko proforma niósł ze sobą talerz z jedzeniem. Wszedł do komnaty, w której zostawił Nikki. Dziewczyna zjadła cały posiłek, a teraz spała jak niemowlę. Cicho położył jedzenie na stoliku. Podeszedł do łóżka i przykrył dziewczynę kołdrą. Przez chwilę upajał swoje oczy widokiem jej piękna, po czym zabrał jedzenie i wyszedł z pokoju. Zamknął drzwi i udał się do komnaty po przeciwległej stronie korytarza. Zamknął drzwi na klucz i zatopił się w fotelu. Posiłek odstawił na nocną szafkę. Jeszcze będzie miał dużo czasu, żeby go zjeść. Wiedział, że nie tylko Mothman i Poitos nie zmrużą oka tej nocy. On też musi dużo przemyśleć.

* * *

Agnes nie umiała pogodzić się z zaistniałą sytuacją. Nie potrafiła także sama sobie wybaczyć swojej głupoty. Minęło już sześć dni odkąd przekroczyła próg plebani i od tej pory nie dano jej żadnej możliwości opuszczenia jej gościnnych pomieszczeń. Oczywiście, mogła wszędzie chodzić, rozmawiać z innymi członkami zakonu, ale nie mogła opuścić jego terenu. Nie miała żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Czuła się jak więzień i rzeczywiście nim była - czujne oczy śledziły każdy jej ruch. Ale były także plusy jej wstąpienia do Zakonu. Największym i najważniejszym z nich wszystkich był chyba ten, że Lady M. nie miała już najmniejszych wątpliwości, że Zakon Ansuzyczyków rzeczywiście istnieje. Tą pewnością przypłaciła wolnością, ale nie miała innego wyjścia. Gdy tylko wyraziła zgodę na warunki panujące w zakonie zaprowadzono ją do sali narad. Tam po licznych pytaniach i badaniach dwunastoosobowa Kapituła wyraziła zgodę na przyjęcie nowej Służebnicy Pana. Przewodniczący odczytał jej Regulamin, Statut i przysięgła na najświętszy sakrament Zakonu. Bez mrugnięcia okiem podpisała dokumenty własną krwią. I dopiero wtedy stało się coś, co sprawiło, że zaczęła żałować dokonanego wyboru. Po podpisaniu dokumentów nie mogła się już wycofać z podjętych przez siebie zobowiązań. Na jej oczach Przewodniczący Kapituły otworzył złotą szkatułkę wbudowaną w ścianę, tuż za swoimi plecami. Wyjął z niej drewniany krzyż i z namaszczeniem, jakby składał ofiarę, podał go Agnes do ucałowania. Ku swojemu przerażeniu kobieta stwierdziła, że figurka przytwierdzona do relikwii nie przedstawia Jezusa Chrystusa tylko młodą dziewczynę z przekrzywioną głową,

opadającą na ramię i wysuniętą jedną ręką i równolegle do niej nogą. Cała postać tej dziewczyny była wykonana z jakiegoś krwistoczerwonego materiału. Razem z krzyżem wyglądała jak tajemniczy symbol na ubiorze strażnika.

Wtedy też dowiedziała się, że całując ową relikwię, przypieczętowała swój pobyt w zakonie. Otrzymała też przywilej udzielania sakramentu spowiedzi grzesznikom w czasie mszy świętych. I właśnie dzisiaj przypadała niedziela, dzień jej próby.

Jednak Agnes nie bała się. Miała przeczucie, że właśnie dzisiaj zdarzy się coś ważnego.

- Gdzie znajduje się ten klasztor?

Mothman spojrzał na lekarza nieco roztargniony. Dopiero po chwili odpowiedział.

- Prawie w centrum doliny. Dzisiaj go zobaczysz.

- Mam nadzieję, że to dobry pomysł.

- Żaden lepszy nie przychodzi mi teraz do głowy - odparł detektyw. - Poza tym jeszcze raz chciałbym przyjrzeć się wnętrzu klasztoru. A najlepszy moment zdarza się w czasie mszy.

Poitos nie odpowiedział.

- Co czworo oczu to nie dwoje - Mothman rzekł znacząco.

- To prawda. Miejmy nadzieję, że się nam poszczęści.

- Mam wrażenie, że tak będzie, Pierre.

Detektyw nie powiedział jeszcze jednej rzeczy Poitosowi, nie powiedział dlaczego jeszcze chciał się znaleźć w Klasztorze St. Mary, a był to powód o wiele ważniejszy niż podziwianie architektury gmachu. Mothman jeszcze raz chciał spotkać się z Tajemniczą Kobieta i prosić ją o radę i pomoc.

Zbliżało się południe, gdy powóz zaprzężony w cztery gniadosze opuścił posiadłość i niczym błyskawica pognał po wąskich uliczkach Przeklętej Doliny. Mieszkańców nie dziwił widok siedzącego na zydlu i popędzającego konie Johna Mothmana - już przyzwyczaili się do jego obecności w dolinie po powrocie z podróży. Bardziej zaintrygował ich siedzący obok niego, w milczeniu młody mężczyzna, którego pierwszy raz widzieli na oczy.

- Nie przejmuj się. Z czasem i ty się do nich przyzwyczaisz i oni do ciebie. Może nawet otworzysz tu własną praktykę - detektyw starał się przekrzyczeć tętent kopyt po bruku.

- Do siebie już raczej nie mam, po co wracać - uśmiechnął się Poitos.

Zatrzymali się na postoju dorożek i Mothman dał garść monet strażnikowi. Nawet ich nie przeliczył. Gdy weszli do klasztoru msza dopiero się rozpoczynała. Mimo to Dom Boży był już wypełniony wiernymi. Detektyw i lekarz stanęli w drzwiach - wiedzieli, że dalej się nie precisną.

Nagle usłyszeli donośny, basowy głos z wnętrza klasztoru.

- Czy jest wśród was ktoś, kto chciałby dostąpić oczyszczenia?

Wśród wiernych zapanowało głębokie milczenie i nikt nie ruszył się z miejsca.

- Taka okazja długo się nie powtórzy. Wśród nas jest nowo przyjęta członkini zakonu i dzisiaj pierwszy raz będzie udzielała sakramentu oczyszczenia. Pytam jeszcze raz: Czy ktoś czuje się grzeszny?

Teraz, zebrani w klasztorze wierni zaczęli czujnie spoglądać po sąsiadach, ale nadal nikt nie ruszył się z miejsca. I nagle, ku wielkiemu zaskoczeniu Mothmana wszyscy usłyszeli jedno zdanie:

- Ja czuję się grzeszny.

Głos dobiegł wiernych zza pleców. Wolno rozstąpili się tworząc przejście w głąb klasztoru. Detektyw spojrzał w bok, ale Pierre Poitos odważnie ruszył przed siebie.

Wszyscy ustępowali mu w milczeniu. Mothman ze zwykłej ciekawości poszedł za lekarzem. Poitos nie oglądając się na niego szedł dumnie wyprostowany. Zbliżył się do ambony i odważnie spoglądał na kleryka odprawiającego mszę. Czterdziestoczteroletni, ogolony na łyso mężczyzna przez chwilę przyglądał się lekarzowi, jakby go znał. Jego zielone, skośne oczy zwęziły się dosyć wyraźnie.

- Ja chciałbym dostąpić łaski oczyszczenia.

- Dobrze - odrzekł kleryk. - Zbliź się do klęcznika.

Poitos podszedł i ukląkł tam, gdzie mu wskazano miejsce.

Detektyw rozglądał się w poszukiwaniu kobiety podającej się za Mary Mothman, ale nigdzie nie dostrzegł Tajemniczej Kobiety. Zamiast niej zza pleców kleryka wysunęła się ubrana w habit kobieta. Już po jej kształtach John rozpoznał, że nie jest to jego matka, ale przez chwilę widział twarz owej postaci i rozpoznał w niej Agnes Mothman. Zakonnica usiadła na krześle po drugiej stronie klęcznika.

Mothman nie mógł uwierzyć, że Poitos naprawdę się spowiada i zastanawiał się, o co naprawdę chodzi w tej szopce. Nie wierzył nawet wtedy, gdy lekarz podszedł do niego po spowiedzi z

tajemniczym uśmiechem na ustach.

Gdy msza się skończyła i wracali powozem do domu, Mothman zagadnął towarzysza.

- Ty naprawdę się spowiadałeś? Jej? Zdradziła mnie raz i teraz zdradzi nas obu.

- Mylisz się. Nikogo nie zdradziła.

Detektyw spojrzał na niego zaskoczony.

- To ty się jej spowiadałeś czy ona tobie?

- Oboje, nawzajem. Spowiadaliśmy się sobie z naszych planów uwolnienia jej z zakonu.

Mothman aż zagwizdał z zaskoczenia.

- I? I? Opowiadaj - niecierpliwie chwycił lekarza za ramię.

- Jeśli wszystko pójdzie tak jak zaplanowaliśmy, to jutro wieczorem będzie wolna. Nie jest to dobre miejsce na omówienie planu, ale powiem ci w skrócie, co uzgodniliśmy. Jutro wieczorem nowoprzyjęta zakonnica będzie udzielać swoich konsultacji i porad. Każdy wierny może się do niej zgłosić. Dostrzegła cię dzisiaj w klasztorze pomyślała, że ty mógłbyś zgłosić się do niej po poradę. To jedyna okazja na uwolnienie jej.

- Ale w jakiej sprawie? Nie potrzebuję...

- Potrzebujesz - przerwał mu Poitos. - Musisz się dowiedzieć, kiedy i jak pochować córkę. Jutro wyprowadzimy Agnes z klasztoru.

- Chyba oszalałeś! - Krzyknął John.

- A wymyśliłbyś coś lepszego na poczekaniu?

Detektyw zastanawiał się przez chwilę. Do przyjazdu do posiadłości nie odezwał się już ani słowem do Pierre'a.

* * *

- Gdzie byłeś? - Gvidon obrzucił go złowrogim spojrzeniem.

- Musiałem coś załatwić.

- Warto było?

- Nie bawiłem się - odrzekł Samuel. - Ratowałem nam życie.

Gvidon poczuł jak ciarki przeszły mu po plecach.

- Coś ty zrobił?

- Pozbyłem się córki Mothmana.

Samuel, nie czekając na reakcję ojca wyszedł z pokoju.

Rozdział VII

Mothmanowi plan przedstawiony przez Poitosa zdawał się być prostym, wręcz banalnym. Może nawet zbyt prostym i to go niepokoiło. Zastanawiał się, kto wpadł na ten szalony pomysł - czy lekarz czy Agnes. Jeśli ona, i jeśli rzeczywiście dostrzegła go w klasztorze w czasie mszy, to z pewnością była to pułapka. Jednocześnie jednak może jedyny sposób odnalezienia Nikki. Wykraść czy uprowadzić kogoś to nic trudnego w teorii, ale praktyka mogła być zupełnie inna. Tak czy inaczej tylko on mógł tego dokonać.

Panująca w całym domu cisza sprzyjała rozmyślaniom. O tej porze, dwie godziny po północy tylko Mothman nie spał. Chodził po gabinecie, siadał przy biurku, to znów wstawał. Próbował jakoś zebrać myśli. Po raz kolejny wyjął z sekretery na wpół już zapisany notatnik, i przy bladym świetle lichtarza przeczytał swoje uwagi. Znał je już na pamięć, ale ciągle miał nadzieję, że jakoś pomogą mu wyjaśnić zagadkę. Detektyw miał już listę podejrzanych, ale cały czas brakowało mu kilku faktów, które segregowałyby wątki w odpowiedniej kolejności. Zamknął notatnik i odłożył go na miejsce. Wyjął natomiast i otworzył "Autobiografię Mary Mothman". Ta książka fascynowała go i intrygowała. Był niemal pewny, że tej książki szukali jego tajemniczy goście. Na szczęście nie znaleźli jej ani w biurze ani w bibliotece. Kim byli? Może to ci sami, którzy ścigali Poitosa? Czemu tak szybko zamknęli dochodzenie, gdy lekarz wyjechał? - To były nowe wątki układanki i gdyby nie opowieść Poitosa, nigdy by ich nie łączył ze zniknięciem Nikki i tajemniczymi morderstwami w Przeklętej Dolinie. Ale co takiego było w tej książce albo w tych znakach? To było teraz najważniejsze pytanie. Autobiografia mogła być kluczem. Schował książkę i zamknął sekreterę. Może na świeżym powietrzu przyjdzie mu coś do głowy. Machinalnie zgasił lichtarz.

Wyszedł z gabinetu i przekręcił klucz w zamku. Skierował się do ogrodu, w którym niedawno znalazł Agnes. Stał na tarasie i odetchnął głęboko. Przyzwyczaił się już do wszechogarniającej mgły i poczucia tajemniczości owiewających całą dolinę. Udało mu się nawet dostrzec gwiazdy, chociaż nie był tego pewien. Ale pewny był zupełnie czegoś innego. Gdy spojrzał na ogród, w oddali dostrzegł tajemniczą postać. Zlewała się prawie całkowicie z mgłą, ale Mothman widział jej kształt. Stała oparta o drzewo i przyglądała się detektywowi. Nie wykonywała żadnych ruchów tylko stała, jakby czekała aż do niej podejdzie. John, nie

zastanawiając się długo, zbiegł po schodach z tarasu i pobiegł ile miał sił w nogach w stronę tajemniczej postaci.

* * *

- Co chcesz teraz zrobić? - Gvidon chodził po pokoju z założonymi rękami na plecach. Był wyraźnie zdenerwowany.

Samuel siedział przy stole i nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Spojrzał tylko na ojca, a w jego oczach tliła się determinacja.

- Jesteś pewny, że cię widziała?

- Tak.

Starszy prawnik zatrzymał się i spojrzał na syna. Jego twarz wyraźnie stężała.

- Musisz to zakończyć! Jak najszybciej! - Powiedział podniesionym głosem.

Samuel nie wytrzymał napięcia zaistniałej sytuacji.

- Może sam to zakończysz, skoro wiesz jak! - Krzyknął podnosząc się z miejsca.

Gvidonowi nie drgnął żaden mięsień twarzy. W mgnieniu oka znalazł się przy Samuelu i z całej siły go uderzył. Odwrócił się i wychodząc z pokoju powiedział:

- Nie wiem, jak ale to twój problem.

Mój, pomyślał młody prawnik. Tak, mój i ja go rozwiązę. Jeszcze dzisiaj.

Gdy został sam w pokoju machinalnie wytarł twarz rękawem. Mimo tylko jednej świecy zapalonej w pokoju, dostrzegł na materiale czerwoną ciecz. Potem dotknął swędzących miejsc - lekkość pochodziła z nosa i wargi.

* * *

Lady M. także była zaskoczona pomysłem Poitosa. Kilka razy pytała, żeby upewnić się, że się nie przesłyszała. Plan był szalony, ale mógł się udać. Zbliżający się dzień był dla niej kolejnym dniem próby i szansą na opuszczenie murów klasztoru. Agnes podeszła do okna i spojrzała na coraz bardziej blednący księżyc. Do rana zostało już zaledwie kilka godzin. Nie pozostało jej już nic innego jak tylko zachować się jak na prawdziwą zakonnicę przystało. Upadła na kolana i zaczęła się modlić. Jednakże nie modliła się już do Boga, a do Sprawiedliwości.

- Chciałeś ze mną porozmawiać?
- Tak - odpowiedział zdyszany od biegu głosem detektyw. Tajemnicza Kobieta stała odwrócona do niego tyłem.
- Dlaczego nie pojawiłaś się w klasztorze?
- Przecież Agnes tam była. To wystarczy. Poza tym twój przyjaciel mógłby dziwnie zareagować na mój widok. Ale chyba nie o to chciałeś mnie zapytać.
- Intryguje mnie twoja Autobiografia. Co z tym wszystkim ma wspólnego ten alfabet?
- Ty to musisz rozwiązać.
- Ale jak?
- Ten alfabet to przepowiednia dla Przeklętej Doliny, każda jego litera. Więcej nie mogę ci teraz powiedzieć. Ale nie jesteś tu przypadkowo. Pamiętaj, tu nic nie dzieje się przypadkowo.
- Chciał ją o coś jeszcze zapytać, ale nie miał odwagi.
- Jeszcze nie raz się spotkamy - powiedziała jakby czytała w jego myślach, po czym odeszła wolnym krokiem nie odwracając się za siebie.

Mothman został sam w ogrodzie. Siadł pod drzewem, ukrył twarz w dłoniach i zamknął oczy. Jeszcze raz prześledził w myślach plan Poitosa. Nie wiedział, kiedy Morfeusz wziął go w swoje objęcia. Obudziło go dopiero natarczywe szarpanie za rękę. Otworzył oczy i zamrugał nimi kilka razy. Promienie słońca tak go oślepiły, że dopiero po chwili zaczął coś widzieć. Rozejrzał się dookoła - leżał pod drzewem, a prosto w oczy świeciło mu słońce przebijające się przez chmury. Nawet mgła spowijająca ogród wydawała się być cieńszą. Drzewo nie dawało mu żadnej ochrony przez ramionami Heliosa. John zobaczył klęczącego tuż obok siebie Poitosa - to on szarpał go za rękę.

- Przespałeś pół dnia. Wystarczy ci już - uśmiechnął się lekarz. Detektyw przetarł oczy.
- Pół dnia? Niemożliwe.
- Ja jestem już po śniadaniu. Niedługo czas na obiad. Mamy dzisiaj piękny dzień.
- To prawda. Jakby specjalnie na...
- Nie zapeszajmy. Chodźmy na obiad i przygotujmy się na wieczór.

Detektyw uśmiechnął się lekko, podniósł się z ziemi i razem z młodzieńcem poszedł do domu.

Samuel schował sztylet i zapiał płaszcz. Odetchnął głęboko i nieco spokojniej. Ukryty w krzakach w pobliżu Klasztoru St. Mary czekał na odpowiedni moment. Prędzej czy później ktoś opuści mury posesji i wtedy prawnik spróbuje dostać się na teren nieruchomości.

Dopiero po jakimś czasie, gdy już stracił niemalże całą nadzieję zobaczył jak furtka otwiera się i wychodzi z niej jakaś zakapturzona postać. Furtka została lekko przymknięta, a obserwowana przez Samuela postać zbliżyła się nieopatrznie do chaszczu, w których skrywał się zabójca. Prawniki wyskoczył z krzaków i nim ubrana w habit postać zdążyła się odwrócić i spojrzeć na napastnika, ten zatkał jej dłonią usta i wciągnął w krzaki. Pewny, że nikt go nie widzi i nie słyszy jednym sztychem przebił ofierze tętnicę. Spojrzał w oczy nic nierozumiejącego, przerażonego zakonnika, ale nie miał czasu się z nim bawić. Przebrał się w jego strój - pasował jak ulał, nałożył kaptur na głowę dla niepoznaki i wyszedł z ukrycia. Później pozbędzie się ciała.

Przeszedł przez uchyloną furtkę i zamknął ją za sobą jakby był mieszkańcem plebani. Minął ogród i skierował się ku najokazalszemu budynkowi. Przypuszczał, że w nim znajdują się pomieszczenia mieszkalne. Choćby miał przetrząsnąć całą plebanię to odnajdzie Lady M. i zakończy swoje problemy, tak jak obiecał ojcu. Uśmiechnął się do swoich myśli.

Nie pomylił się. W milczeniu mijali go zakonnicy i zakonnice. Pozdrawiali tylko skinieniem głowy i lekkimi uśmiechami. Nawet nie sprawdzali, kim jest. Odpowiadał im także skinieniami. Zaglądał do każdego pomieszczenia - część z pokoi była otwarta na oścież, ale na pierwszym piętrze nie znalazł Agnes Mothman. Dotarł do schodów i spojrzał w górę. Musiała mieszkać na drugim piętrze. Przypuszczał, że to okno, w którym ją wcześniej widział należało do jej pokoju. Wiedział, że trafi do niego bez problemu.

Wszedł na schody prowadzące na drugie piętro. Gdy był już na ostatnim stopniu usłyszał dochodzące zza roku korytarza ożywione głosy, które bynajmniej nie pasowały do takiego budynku, jakim jest klasztor. Myślał, że minie zbliżające się osoby tak jak minął wszystkie poprzednie, ale gdy usłyszał, o czym rozmawiają zmienił swoje zamiary. Błyskawicznie wbiegł do pierwszego z brzegu pokoju i przymknął drzwi. Zostawił tylko małą szczelinę, żeby dobrze widzieć i słyszeć przechodzących. Dopiero po chwili intrygujące postacie wyłoniły się zza węgła. Było

ich sześć, ale z dzielącej ich odległości Samuel nie mógł rozpoznać czy były to kobiety czy mężczyźni. Dopiero po ich głosach zorientował się, że zbliżająca się grupka była mieszana. Jednakże bardziej zainteresowała go treść prowadzonej rozmowy.

- Masz tremę, boisz się? - Zapytał ktoś w habicie.

- Nie. Chociaż wiem, że powinnam.

Prawnik wyraźnie usłyszał głos kobiety, ale jeszcze nie mógł zobaczyć, kim ona jest.

- To dla ciebie szczególny dzień. Jesteś nowa w zakonie.

Samuel w mgnieniu oka skojarzył fakty.

- Dzisiaj będziesz udzielać porad. I jeśli wszystko będzie bez zarzutu to jeszcze tej nocy... - mijali pokój, w którym ukrył się prawnik i Samuel przez chwilę widział twarz Agnes Mothman. - Otrzymasz nagrodę od Wielkiego...

Ostatniego wyrazu już nie dosłyszał, bowiem zakonnicy zaczęli już schodzić po schodach, ale domyślił się, o jakiego Wielkiego chodziło.

Tym razem jej nie otrzymasz, pomyślał. Bezszelestnie wyszedł z ukrycia i podążył za mnichami. Teraz musiał już tylko czekać na odpowiedni moment, kiedy Lady M. zostanie na chwilę sama.

- To tu. W tej komnacie będziesz dzisiaj przyjmować.

Agnes rozejrzała się po dużym, umeblowanym pokoju.

- Do dyspozycji masz stolik, Świętą Księgę i krzesło. W szafie są różne napoje i przekąski. I oczywiście łóżko - powiedział jeden z zakonników jakby sobie o nim nagle przypomniał. Jednakże Lady M. zobaczyła je jak tylko weszła do komnaty. - I pamiętaj, każdy wierny ma być zadowolony - uśmiechnął się lubieżnie.

Samuel ukrył się we wnęce i przysłuchiwał rozmowie.

- Wy też dostawaliście takie nagrody? - Zapytała Agnes mając na myśli wcześniejszą rozmowę na korytarzu. Nie patrzyła ani na towarzyszące jej zakonnice ani na zakonników.

- Służebnice zakonu owszem, a służebnicy nieco inne.

Lady M. wołała nie pytać, jakie.

Po chwili Agnes została sama w sali. Gdy była pewna, że towarzyszący jej zakonnicy opuścili pomieszczenie siadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach. Wokół niej panowała mroząca krew w żyłach cisza.

- John, gdzie jesteś? - Zapytała bezgłośnie. Podejrzewała, że może być podsłuchiwana i podglądana. Udawała, że się modli. Można się przecież modlić po cichu, pomyślała.

Nagle usłyszała kroki. Pomyślała, że to może John już po nią przyszedł. Podniosła głowę. W przytłumionym świetle nie dostrzegła jeszcze zbliżającej się do niej osoby, ale wyraźnie słyszała jej płytki, urywany oddech. Lady M. nerwowo rozejrzała się dokoła. Wiedziała już, że to nie detektyw, chociaż nie widziała intruza - Mothman nigdy tak nie oddychał.

Gdy Samuel wyszedł z ukrycia i zbliżał się do Agnes ta krzyknęła z przerażenia. Nawet w tak nikłym świetle, w jakim stanął, bez trudu rozpoznała prawnika.

- Cieszę się, że mnie poznajesz - zaśmiał się szyderczo.

Lady M. sparaliżowana strachem nawet nie mogła się ruszyć. Zbliżał się do niej zdecydowanym, wolnym krokiem. Patrzył kobiecie prosto w oczy i upajał się jej strachem. Czuł niemal na swoim ciele drgawki przez nią przechodzące, gdy patrzyła na jego zimną twarz, czarne rękawiczki i sztylet trzymany w ręce. Ocknęła się z marazmu, gdy dzieliła ich już mniej niż połowa odległości. Zerwała się z łóżka, ale napastnik okazał się o wiele szybszy. Błyskawicznie skoczył na Lady M. i razem upadli na łóżko. Samuel przygniótł ją swoim ciałem. Znów nie mogła się ruszyć, ale tym razem z nieco innego powodu - prawnik na niej siedział i Agnes czuła jego męskość na wysokości swoich ud. Poczerwieniała na twarzy i nie mogła złapać oddechu. Kobieta czuła też jak organ napastnika niebezpiecznie rośnie. A prawnik tylko przyglądał się jej ciekawie. Przyłożył ostrze do jej twarzy. Drgnęła, a on poczuł przyjemne ciarki na jej ciele. Głaskał sztyletem jej czoło i szyję. Podniósł go znad jej ciała, pochylił się i wczepił w jej usta. Agnes próbowała się wyrwać, ale każdy jej ruch wzmagął tylko u mężczyzny uczucie pożądania.

- Tak, broń się. Lubie, gdy się bronicie - szepnął jej do ucha.

Odłożył sztylet na posadzkę i kobieta poczuła jak jedna ręka Samuela ścisła natrętnie jej pierś, a druga niebezpiecznie podwinęła jej habit i zaczęła krążyć wokół majtek.

Teraz albo nigdy, pomyślała. Z wysiłkiem napięła swoje ciało i odbiła się od łóżka. Napastnik także podskoczył od nagłego odbicia. I gdy spadł ponownie na uda kobiety, jego przyrodzenie natrafiło na jej kolano. Samuel jęknął i zaklął, ale nie wiedziała czy z bólu czy z wściekłości. Agnes trzymała w ręce sztylet prawnika i nie czekając na reakcję mężczyzny cięła nim pierś oprawcy. Samuel zawył z bólu i chwycił się rękami za krwawiącą ranę widoczną spod rozciętej koszuli. Lady M. bez trudu zrzuciła z siebie napastnika. Sztylet także rzuciła na łóżko i nie oglądając

się za siebie wybiegła z sali. Zamknęła drzwi, oparła się o nie plecami i próbowała uspokoić swój oddech. Bała się, że zaraz zemdleje. Przed sobą miała drzwi prowadzące na korytarz. Podeszła do nich wolno, chwiejąc się na nogach.

- Która to komnata?

- Nie wiem, ale na pewno do niej trafimy.

Mothman spojrzał pytająco na Poitosa, a ten uśmiechnął się lekko.

- Może to tu - lekarz zatrzymał się przed hebanowymi drzwiami prowadzącymi do jakiejś komnaty. Nagle, gdy sięgał ręką do klamki drzwi otworzyły się z impetem i z pomieszczenia wybiegła ubrana w habit kobieta. Na jej twarzy malowało się śmiertelne przerażenie. Detektyw chwycił ją w ramiona.

- Już dobrze. Uspokój się, jestem tutaj - czule pogłaskał ją po twarzy i pocałował w usta.

- Samuel jest w komnacie - wykrztusiła z siebie. - Próbował mnie zgwałcić i zabić.

Mothmanowi twarz stężała i oczy się zwęziły. Puścił Agnes i spojrzał porozumiewawczo na Poitosa. Lekarz zrozumiał i podszedł do Lady M.

- Proszę się uspokoić. Już po wszystkim, to już koniec. Jestem lekarzem. Powinna pani teraz odpocząć. Po powrocie do domu zbadam panią - mówił cichym i spokojnym głosem. Chciał odwrócić jej uwagę od Johna, który zdecydowanym krokiem ruszył do komnaty.

- John! Nie! Nie idź tam - krzyknęła, gdy zobaczyła, co detektyw robi. Agnes rzuciła się, żeby go powstrzymać, ale Poitos chwycił ją i nie pozwolił się wyrwać.

- To istny szatan!

- To tylko jego służa - odpowiedział detektyw i zamknął za sobą drzwi od komnaty. - To już koniec Samuelu - Lady M. usłyszała głos męża.

- NIE!

Poitos spojrzał na nią zaskoczony.

- On może wiedzieć gdzie jest Nikki - wyjaśniła Agnes. - Tak chciałabym, żeby poznała naszą córkę.

- Już tego nie robi - powiedział Poitos. Nie chciał, ale musiał wyjawić jej prawdę. - Waszą córkę też zgwałcił. Popełniła samobójstwo.

Usłyszawszy to Lady M. straciła przytomność i lekarz musiał ją przytrzymać, żeby nie upadła.

Nikki już denerwował pobyt w komnacie Cagliostro. Wiedziała, że chce ją chronić i boi się o jej zdrowie psychiczne i fizyczne, ale chciała wreszcie wyjść, zobaczyć swojego brata i poznać jego żonę. Korzystając z nieobecności hrabiego wstała z łóżka i ubrała się w przygotowane przez Cagliostro ubrania. Podeszła do drzwi i, ku swojemu zdumieniu otworzyła je bez problemu.

W korytarzu tylko gdzieś palily się pochodnie. Wolno zaczęła schodzić po schodach. Nie wiedziała, w którą stronę powinna się kierować, ale pamiętając odgłosy rozmów brata, dochodzących jakby spod podłogi, na przecucie schodziła coraz niżej. Gdy była już na parterze, znalazła się w labiryncie korytarzy i pokoi. Pierwsze drzwi po prawej były otwarte. Przekroczyła ich próg i znalazła się w bibliotece. Gdzieś z oddali dobiegał ją odgłos płynącej wody i szczęk naczyń. Kolejne drzwi prowadziły do sypialni, inne do pokoju dziennego, a jeszcze inne do toalety. Nikki spojrzała w wiszące na ścianie lustro. Nie wyglądała najlepiej. Podkrążone zmęczone oczy, smutek na twarzy i jeszcze widoczne rany na ciele. Hrabia miał rację - nie mogła tak pokazać się bratu, ani tym bardziej jego żonie. Jeszcze nie nadeszła odpowiednia chwila. Dziewczyna wyszła z toalety i rozejrzała się po korytarzu. Wyglądało na to, że skrzydło posiadłości, w którym się znajdowała było niezamieszkałe. Wolnym krokiem ruszyła w stronę schodów. Jutro znowu tu przyjdzie jak Cagliostro nie będzie, spróbuje doprowadzić się nieco do porządku. Teraz nie chciała ryzykować, bo hrabia w każdej chwili mógł wrócić do domu.

* * *

Mothman nie umiał ukryć swojej złości i rozczarowania. Obrzucił salę nienawistnym wzrokiem i skierował się ku drzwiom. Gdy je otworzył stanął w nich trzęsący się i czerwony ze złości. Widząc go w takim stanie Agnes krzyknęła z przerażenia, a i Poitos nie mógł powstrzymać się od zdziwienia. Detektyw spojrzał na nich - Lady M. była przytulona ze strachu do lekarza.

- Chyba go nie zabiłeś? - Zapytał Poitos.

- Nie - odparł Mothman. Widział jak jego żona i lekarz odetchnęli z ulgą. - Bo nie miałem, kogo.

Przez chwilę panowała absolutna cisza.

- John, co ty mówisz?
- Jeśli był to uciekł.
- Nie wierzysz mi? Był, chciał mnie...
- To sama zobacz - przerwał jej ostro.

Lady M. na trzęsących się nogach, podtrzymywana przez Poitosa weszła do sali. Za nimi wszedł detektyw. Zobaczyli zakrwawione łóżko, ale nigdzie nie dostrzegli ciała prawnika. W pobliżu, oprócz śladów na pościeli nie było żadnej kropli krwi.

- To niemożliwe - wyksztusiła z siebie kobieta.
- A jednak.

Poitos spojrzał błagalnie na Hojna, a w jego oczach malowała się lekarska troska o zdrowie Agnes. Bezgłośnie prosił detektywa o nieco łagodności w tej sytuacji.

- Może jest jakieś drugie wyjście z tej sali - zasugerował.
- Może, ale ja już przestaję w to wierzyć.
- Muszę usiąść - powiedziała Agnes i słaniając się na nogach ruszyła w kierunku łóżka. Poitos podążył w ślad za nią. Bał się, że kobieta w każdej chwili może stracić przytomność.
- Zostaw ją, Pierre - powiedział zdecydowanie detektyw.

Lekarz spojrzał na niego ze zdumieniem, po czym skierował swój wzrok na Agnes. Uśmiechnęła się do niego smutno. Siadła ciężko na łóżku, tuż pod plamą zakrzepłej krwi i nagle wszyscy usłyszeli jakby szcęk poruszanych łańcuchów i nienaoliwionych zawiasów. Jakby zębata kółka ocierały się o siebie. Lady M. niemalże krzyknęła, gdy łóżko zaczęło się samoczynnie przesuwac, ale Mothman nakazał jej palcem milczenie. W miejscu gdzie jeszcze przed chwilą stało łóżko ich oczom ukazała się mroczna przepaść. Detektyw podszedł do niej i zobaczył śliską pochylnię prowadzącą w ciemność.

- Chyba znalazłaś drugie wyjście - powiedział.

Znów usłyszeli zgrzyt i łóżko zaczęło się podnosić z jednej strony.

- Łapmy ją! - Poitos podbiegł do kobiety, która zaczęła się już zsuwać w przepaść.

Złapali ją w ostatniej chwili, gdy jej nogi wisiały już w powietrzu. Gdy już Agnes była bezpieczna, Mothman zapytał:

- Schodzimy do podziemi? Chciałbym wam coś pokazać.

Lady M. i Poitos spojrzeli na detektywa, a on uśmiechnął się do nich tajemniczo.

Zaopatrzeni w świece wolno zsuwali się po pochylni w złowieszczą ciemność. Pierwszy na twardym gruncie stanął Mothman. Tuż za nim zjechała Lady M., a na końcu Pierre Poitos. Agnes chciała o coś zapytać, ale nagle cała trójka wstrzymała na chwilę oddech. Z głębi podziemi dobiegł ich mrozący krew w żyłach jęk, jakby śmiertelnie zranionego stworzenia. Nasłuchiwali, ale po chwili, gdy zorientowali się, że dźwięk nie nasila się i nie zbliża, zaczęli mówić szeptem, tak, żeby tylko słyszeli się wzajemnie.

- Boję się - Lady M. spojrzała wymownie na męża. Detektyw także wahał się jak powinni postąpić.

- Jestem lekarzem, powinienem pomóc cierpiącemu nieważne, kim lub, czym jest - powiedział Poitos.

- A może to... - zaczął Mothman ale nie dokończył. - Myślę, że powinniśmy sprawdzić, z czym mamy do czynienia. Jeśli to zwierzę, to boi się bardziej od nas.

Namacał na ścianie pochodnię i odpalił ją świecy. Nie oglądając się na towarzyszy, ostrożnie ruszył w głąb podziemnych korytarzy. Lady M. z duszą na ramieniu podążyła tuż za nim. Lekarz nie zawahał się ani na chwilę.

Im bardziej zagłębiali się w podziemiach klasztoru tym powietrze stawało się gęstsze i cięższe. Odgłosy wydobywające się z mroku korytarzy nagle ucichły i Mothman zatrzymał się. Gestem ręki nakazał to samo uczynić Lady M. i Poitosowi. Wsłuchiwali się w otaczającą ich ciszę. Sami także wstrzymywali oddechy. Detektyw korzystając z okazji podświetlił nieco ściany korytarza. Stare i popękane mury uświadomiły mu, że znajdują się niedaleko odkrytych przez niego wcześniej lochów. Poczuł jak serce wędruje mu do gardła. Nie mógł się doczekać, kiedy pokaże swoim towarzyszom niespodziankę. Cieszył się jak małe dziecko. Odblask światła padł na podłogę i John zobaczył wilgotne, ciemniejsze od ziemi plamy. Pochylił się nad nimi i dotknął jednej palcem. Powąchał palec. Pachniał jeszcze świeżą krwią. Domyślił się, kogo mogą spotkać w podziemiach. Kiwnął palcem, aby jego towarzysze szli za nim i ostrożnie ruszył przed siebie. Do uszu trójki poszukiwaczy doleciał szmer, jakby ktoś coś przesuwiał po ziemi i głuchy jęk.

Po chwili stanęli nad leżącym na ziemi ciałem. Poitos mógłby przysiąc, że jeszcze przed chwilą się ruszało i zamarło słysząc ich przybycie. Spojrzał znacząco na detektywa, a ten pochylił się nad ciałem. Gdy tylko pierwsze blaski światła spoczęły na leżącym

bezwładnie człowieku, Lady M. z szaleńczym krzykiem rzuciła się na niego. Detektyw odepchnięty siłą upadł na ziemię. Kobieta siadła na plecach ofiary i mocno pociągnęła ją za włosy tak, że głowa z jękiem bólu oderwała się od podłoża. Poitos chciał powstrzymać Lady M., ale Mothman powiedział, podnosząc się z ziemi:

- Zostaw ją. Nie zabije go, przynajmniej jeszcze nie w tej chwili.

W głębi duszy jednak sam się obawiał ataków żony.

- Myślę, że to nawet nam pomoże.

- Gdzie jest Nikki i Julie James? - Nieludzki głos odbijał się echem po całym podziemiu. Dopiero, gdy kobieta pociągnęła jeszcze mocniej ofiarę za włosy i wyrwała kilka z nich, mężczyzna odpowiedział z dziką satysfakcją w głosie:

- Tam gdzie ich miejsce - zaśmiał się szyderczo jakby opowiedział dobry dowcip.

Lady M. klęła takimi słowami, jakich żaden śmiertelnik nigdy po niej by się nie spodziewał.

- Mam lepszy pomysł - powiedział Mothman. Głos detektywa był tak spokojny, że aż napawał przerażeniem, ale kobieta nic sobie z niego nie robiła, albo nie dosłyszała zaaferowana torturą. Ścisnęła mocniej kolana niemalże łamiąc ofierze żebra. W tej chwili czuła się jak amazonka. Z gardła leżącego pod nią mężczyzny wydobył się spazmatyczny krzyk bólu. John podszedł i położył dłoń na ramieniu Agnes. - Mam lepszy pomysł - tym razem Lady M. go usłyszała, mimo to nawet na niego nie spojrzała.

- A jaki? - Zapytał niecierpliwie lekarz.

- Myślę, że nasz szacowny prawnik zna te podziemia o wiele lepiej od nas. I zapewne wie, co znajduje się w jednej z dalszych celi. Mam rację panie Samuelu?

Na te słowa Samuel przestał zmagać się z Agnes. Zrozumiał, że jedyne, co go teraz czeka to śmierć. Mimo strachu i targających nim dreszczy postanowił drogo sprzedać swoje życie i nic nie powiedzieć detektywowi ani jego przyjacielom.

- Obyś zdechł - wykrztusił tylko.

- Ty będziesz pierwszy. Przypuszczam, że skoro nie odpowiedziałeś na moje pytanie to zapewne zapomniałeś o pomieszczeniu znajdującym się w tych lochach, w którym gwałciłeś i torturowałeś swoje ofiary, młode dziewczyny.

Młody prawnik, wiedząc, że nie ma już nic do stracenia hardo podniósł głowę.

- Ale żadna nie była lepsza od twojej siostry.

Mothman słysząc te słowa najchętniej sam zabiłby Samuela na miejscu, ale wolał widzieć jak cierpi. Detektyw sam siebie nie poznawał. Gdy Lady M. nieco się uspokoiła i zeszła z ofiary, Mothman i Poitos chwycili prawnika pod pachy i pociągnęli w kierunku kolejnych podziemnych komnat. Nie pozwolili mu nawet wstać, tylko bezlitośnie ciągnęli go po ziemi. Coraz więcej krwawych śladów zostawiali za sobą.

Samuel otworzył szeroko oczy ze strachu, gdy zobaczył znajomą komnatę. Do tej pory był pewien, że jego oprawcy tylko blefują, żeby wymusić na nim zeznania.

- Ostatni raz zadaję ci pytanie: Gdzie jest moja siostra?

W odpowiedzi Samuel splunął krwią pod buty detektywa.

- Kacie, czyń swoją powinność.

Lekarz podszedł do mężczyzny i zmusił go, żeby ukląkł. Chwycił go za ręce i brutalnie wykręcił je do tyłu, po czym owiązał łańcuchem tak mocno, że ogniwa wbiły się w skórę. Pchnął prawnika tak, że ten nadal klęcząc uderzył czołem o ziemię.

- Twoja siostra była przeze mnie podobnie związana, ale bardziej przypominała mostek.

Mothman nie odpowiedział. Ze złośliwym uśmiechem na ustach osobiście owiązał mu nogi znalezionym na ziemi drugim łańcuchem.

- Wygodnie ci?

- Jej było wygodniej.

- Kochanie, sprawdzimy czy ma łaskotki - detektyw zwrócił się do Lady M.

Samuel nie wiedział, co go teraz czeka, ale na wszelki wypadek zamilkł.

- Nie chcę na to patrzeć.

- Ja też nie - John przyznał chirurgowi rację. - Wystarczy, że będziemy słyszeć jego zeznanie. - Obaj równocześnie odwrócili się plecami do młodego prawnika.

Lady M. przystąpiła do zabawy. Najpierw Samuel poczuł zimny dotyk w okolicy żeber. Zrazu nie wiedział, co się dzieje, ale gdy poczuł swędzenie w tym miejscu po chwili zmieniające się w ból nie do wytrzymania, zaczął wyć niczym dzikie zwierzę. Poitos i Mothman zakryli sobie rękami uszy. Nie widzieli jak kobieta nacina do krwi skórę swojej ofierze i do rany przykładając przyniesiony do podziemi ogień.

- Gdzie one są? - Zapytała z satysfakcją w głosie Agnes Mothman.

- Dowiesz się w czasie mojej ostatniej spowiedzi - wychrypiał Samuel.

- Czyli za chwilę - szatański uśmiech przemknął jej po twarzy. Oderwała kawałek ubrania prawnika i odpaliła go od płomienia. Gdy była pewna, że już nie zgaśnie położyła płonącą szmatę tuż pod mostem utworzonym przez Samuela. Po chwili prawnik poczuł rosnące ciepło wokół swego krocza. Tym razem nawet Lady M. nie mogła wytrzymać krzyku torturowanego. Razem z mężem i lekarzem poszła do innych pomieszczeń.

- Nie patrz na przyjaciół w odbiciu lustra - głos prawnika stawał się coraz słabszy. - Tylko ślepi widzą w grobie... - chciał jeszcze coś krzyknąć, ale niespodziewanie zamilkł.

- Nie może nam umrzeć - Mothman pobiegł do torturowanego Samuela. Agnes i Poitos nie oglądając się na nic podążyli za nim.

Samuel leżał przewrócony na boku, zwinięty w kłębek. Poitos pochylił się nad nim i zbadał mu puls. Przyłożył nadgarstek do ust. Po chwili podniósł się z klęczek i spojrział na Mothmana.

Odetchnął głęboko nim powiedział:

- Żyje. Musimy mu pomóc.

- Nie przyłożę do tego ręki.

Stanowczość Agnes Mothman nie zaskoczyła mężczyzn. Kobieta stała i w milczeniu przyglądała się rozwiązywaniu prawnika.

- Wynieśmy go na świeże powietrze - zaproponował chirurg.

- A jeśli to była jego ostatnia spowiedź? - Zapytała Lady M.

- To musi ją powtórzyć przed sądem - odpowiedział Mothman.

Gdy podnosili Samuela z ziemi jego czy nagle się szeroko otworzyły jakby zobaczył ducha, i prawnik wydał z siebie krzyk dochodzący z najgłębszych ciemności. Jego głowa nagle oderwała się od szyi i potoczyła po ziemi. Ciało zwiotczało i wypadło z rąk detektywa i lekarza.

- Już nic nam nie powie - stwierdziła Lady M.

- To tylko wskazówki, ale mogą wiele dla nas znaczyć - zawyrokował detektyw patrząc z obrzydzeniem na leżące ciało.

- Nie tylko one - Agnes patrzyła na cień na ścianie tuż przy ciele Samuela. Ani detektyw ani lekarz nie mogli go dostrzec, ponieważ stali zbyt blisko muru. Dopiero teraz, gdy cofnęli się kilka kroków i stanęli przy Lady M. zobaczyli długi cienki cień. Kształtem przypominał człowieka z lekko zgiętą w łokciu ręką, jakby czymś przed chwilą rzucił. Rozcapierzone palce i dłoń wskazywały leżącą na ziemi głowę.

- Mamy winnego morderstwa - zauważył Poitos.
- Tylko jego cień, na razie - poprawił go Mothman.
- Chodźmy stąd zanim ktoś nas znajdzie i zacznie zadawać nieprzyjemne pytania - Agnes spojrzała na mężczyznę znacząco. - Ktoś musiał słyszeć krzyki tego... - nie dokończyła zdania. Na samą myśl o tym, że miałyby wypowiedzieć imię denata czuła obrzydzenie.

Cała trójka pod przewodnictwem detektywa skierowała się ku wyjściu, które wcześniej odkrył.

* * *

- Jego słowa nie dają mi spokoju.
- Co chcesz zrobić?

Mothman pomyślał chwilę zanim odpowiedział Poitosowi.

- Myślę, że powinniśmy jeszcze raz obejrzeć grób Julie James.
- Chcesz teraz iść na cmentarz? - Agnes była wyraźnie zaskoczona.
- O tej porze powinniśmy tam być sami.
- Myślę, że już niczego więcej się tam nie dowiemy.
- A jeśli grób nie będzie pusty? - Detektyw spojrzał na żonę. - Myślę, że nie bez powodu Samuel powiedział o grobie.
- I przyjaciołach o lustrze też? - Zapytała retorycznie. - Może mnie też już nie ufasz?
- Jeszcze nie mam dowodów - odparł z lekkim uśmiechem. - O tej porze nie znajdziemy żadnej dorożki. Chodźmy już, chciałbym zdążyć przed świtem.

Zbliżała się północ, gdy stanęli przed grobem. Nawet mimo ciemności bez problemu odnaleźli ścieżkę. Miejsce spoczynku Julie James wydawało się nienaruszone. Mothman wsłuchał się w odgłosy nocy i cmentarza. Nic nie wskazywało na czyjąkolwiek obecność. Ale poczuł coś, co sprawiło, że wstrzymał oddech i ciarki przeszły mu po ciele. Coś się o niego otarło. Pochylił się i podniósł z ziemi coś włochatego i miękkiego. Ciemny kształt, prawie niewidoczny w otaczającej ich mgle wydał z siebie ciche miauknięcie i zaczął mruczeć.

- To strażnik Julie. Musimy podważyć wieko i otworzyć grób.
- Ale czym? - Zapytał Poitos.

Jakby w odpowiedzi kocur zamiauczał ponownie i zeskoczył z rąk detektywa. Przeszedł kilka kroków, stanął i spojrzał na nich jakby chciał im coś powiedzieć.

- Chodźmy za nim - zdecydował Mothman i pierwszy ruszył się z miejsca. Lady M. i chirurg spojrzeli na siebie zaskoczeni, ale po chwili poszli za nim.

Zatrzymali się przy ruinach jakiejś starej fabryki. Detektyw przeszedł przez ogrodzenie oddzielające ją od cmentarza. Metalowa konstrukcja w wielu miejscach była już przerdzewiała i porozkręcana zapewne przez złodziei. W każdej chwili groziła zawaleniem. Na ziemi leżały porozrzucane części szkieletu, które nie oparły się upływowi czasu.

- Pierre, mamy to, czego szukaliśmy.

Lekarz zostawił Lady M. samą po stronie cmentarza i przeszedł przez ogrodzenie. Pochylił się i przerzucał kilka metalowych i żelaznych części, które do niczego się nie nadawały.

- To będzie dobre - podniósł i pokazał Mothmanowi długi gruby pręt, zakończony płasko niby ostrze miecza. - Nie powinien się złamać przy podważaniu.

- Znajdźmy jeszcze kilka i coś na zapas.

Gdy już znaleźli odpowiednią ilość prętów lekarz wszedł na ogrodzenie i stanął na nim okrakiem, jednym bokiem do Mothmana, a drugim do Lady M. John podawał mu pręty, a on przekazywał je Agnes. Po chwili także i Mothman przeszedł przez ogrodzenie.

- Zanieśmy je na miejsce i bierzmy się do roboty - powiedział.

Wbrew oczekiwaniom Poitosa kilka prętów się połamało. Napierali potrójną siłą: Mothman od przodu, a lekarz i Lady M. z boków. Dopiero za którymś razem płyta lekko drgnęła. Puścili drągi, żeby chwilę odpocząć.

- Jeszcze trochę i nam się uda - detektyw mówił przerywanym ze zmęczenia głosem.

- Zastanawiam się jak Strażnik i jego ludzie otworzyli go ostatnio, żeby nam pokazać.

- I wykraść ciało - dokończył Mothman patrząc na żonę. - Nie wiem, może po naszym odejściu na wszelki wypadek położyli nową płytę. Zaraz się przekonamy - chwycił za drąg, a jego towarzysze poszli za jego przykładem.

- Zsynchronizujmy się. Na trzy podważamy równocześnie - zdecydował detektyw. - Raz, dwa, trzy.

Tym razem jednak płyta nie drgnęła, kolejnym także nie. Dopiero za piątym razem przesunęła się dość wyraźnie ukazując szparę. Równocześnie mgła się nieco przerzedziła i lekki blask księżyca spoczął na mogile.

- Strażnik jednak miał rację: może gdzieś wyszła i wróciła.

Mothman i Poitos jednocześnie puścili drągi i podeszli do Lady M. Teraz także oni wyraźnie dostrzegali dłoń spoczywającą w ziemi.

- Przesuńmy to wreszcie - zniecierpliwił się Mothman.

Naparli całym ciałem na marmur. Po chwili stali nad otwartym grobem. Milczeli jakby nagle odebrało im mowę.

- Masz rację - powiedział detektyw nieco ochłonawszy z wrażenia. - Ktoś wrócił do tego grobu, ale na pewno nie jest to Julie James.

Przed nimi spoczywało martwe ciało Strażnika, tego samego, którego wcześniej John i Agnes spotkali na cmentarzu.

* * *

- Szkoda, że Samuel nie zdążył nam więcej wyjaśnić - Mothmanowi nadal nie dawały spokoju słowa młodego prawnika.

Zasunęli płytę nagrobną i wyszli z cmentarza. Stali teraz przed bramą i zastanawiali się, co dalej robić. Noc zbliżała się ku końcowi.

- Jest ktoś, kto może nam pomóc. Chyba, że też jest w zмовie - powiedziała Agnes Mothman.

Detektyw spojrzał na nią z oczekiwaniem i iskierką nadziei w oczach.

- Gvidon Smith, jego ojciec i właściciel kancelarii prawnej - dokończyła po namyśle.

- Chodźmy do niego.

- O tej porze?

- Tak, póki nam nie uciekł.

- Zdradziłeś mnie - myślał ze złością Cagliostro zbliżając się do domu prawnika. - Zapłacisz mi za to.

Gvidon słyszał myśli hrabiego jakby ten wypowiadał je tuż przy jego uchu i cieszył się, że podjął taką, a nie inną decyzję. Był pewny, że przyjaciele pomogą mu w potrzebie i ukryją go przed zemstą Cagliostro. Siedział w przedziale pociągu, który niedawno wyjechał z Przeklętej Doliny. Zostawiał za sobą przeszłość i tak

jakby zamykał pewien rozdział swojego życia łączący go z tym miejscem.

Niemalże widział oczami wyobraźni jak zdesperowany hrabia dzwoni do drzwi, dobija się pięściami i w końcu otwiera je wytrychem. Wbiega do mieszkania i niczym ślepiec szukający laski niewidzącym wzrokiem szuka jego - tego, który zabił swego syna żeby wydać nauczyciela. Ale Gvidon nie widzi czegoś jeszcze: trzech osób także zbliżających się do jego domu. Prawnik odetchnął z ulgą wiedząc, że nic mu już nie grozi. Nawet magia Cagliostro nie mogła być tak silna, żeby nie mógł się jej przeciwstawić na odległość.

Słyszał rozmowy i krzyki dochodzące z innych przedziałów, ale nie interesował się nimi. Specjalnie wybrał pusty, żeby odpocząć i pomyśleć. Nie widział także kobiety ubranej w habit z kapturem na głowie zakrywającym twarz, która bezszelestnie weszła do jego przedziału.

- Zna pan może Gvidona Smitha? - Usłyszał pytanie. Podniósł wzrok i spojrzał przed siebie. Zakonnica stała tuż przed nim, ale nie widział jej twarzy. Jednak jej głos wydawał mu się znajomy, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie mógłby ją spotkać. Może w Klasztorze St. Mary u Wielkiego... Otrząsnął się z tych myśli i zapytał czujnie:

- Nie, a co się stało?

Dopiero teraz zauważył, że nieznajoma trzyma w ręku jakąś gazetę.

- Tak tylko sobie pomyślałam. Widziałam jak pan wsiadał na stacji w Przeklętej Dolinie.

- Kiedyś chyba coś o nim słyszałem, ale nie miałem przyjemności go poznać.

- Ja też nie, a bardzo bym chciała. Obawiam się jednak, że to już nie będzie możliwe.

- A dlaczego nie? - Zapytał niby od niechcenia.

- W tej gazecie pisze, że dzisiaj umrze.

Nie zdążył nawet zareagować. Na jego oczach, jakby pod wpływem wiatru, którego nie było drzwi do przedziału zamknęły się z trzaskiem. Tajemnicza zakonnica zdjęła kaptur z głowy i odsłoniła twarz.

- To niemożliwe! Przecież ty... - nie dokończył. Julie James uśmiechnęła się złowrogo i zaczęła zbliżać się do ofiary. Krzyk prawnika rozległ się w całym pociągu.

Straż kolei wbiegła do przedziału, ale zobaczyła tylko leżące, zmasakrowane ciało mężczyzny. Morderca jakby rozpułynał się w powietrzu.

* * *

Cagliostro słyszał jak ktoś próbuje dostać się do domu Gvidona, ale nie podszedł do drzwi. Nikt nie mógł wiedzieć, że teraz on jest panem tego domu.

- W imieniu sprawiedliwości, otwierać!

Głos Mothmana zabrzmiał hrabiemu w uszach jak świst żelaza przecinającego powietrze. Cagliostro zastanawiał się czy powinien stawić czoła detektywowi i raz na zawsze zakończyć tę farsę, gdy drzwi z hukiem wypadły z zawiasów. Mothman wszedł do domu, a za nim weszła Lady M. i Pierre Poitos. John nie wydawał się być zaskoczony widokiem hrabiego siedzącego w fotelu Gvidona Smitha.

- Może powiesz mi, co robisz w tym domu? - Zapytał bez powitania detektyw.

- A wy wytłumaczcie się z tego najścia. To mój dom.

- Jeśli zabiłeś jego właściciela to tak - Mothman grał w otwarte karty, ale nie wyczytał żadnych emocji na twarzy Cagliostra. - Musisz odpowiedzieć nam na kilka pytań. Pójdiesz z nami.

- Zmusz mnie do tego.

Detektyw zdecydował się podnieść rzuconą mu rękawicę. Razem z lekarzem postanowili obezwładnić hrabiego, ale nie zdążyli przejść dzielącej ich odległości, gdy Cagliostro zaczął intonować jakąś modlitwę w nieznanym im języku. Wyciągnął ręce przed siebie, ale Lady M. okazała się szybsza. Wypuszczony z jej ręki sztylet ze świstem przeciął powietrze i wbił się w dłoń hrabiego przebijając ją na wylot. Cagliostro nie wydał z siebie żadnego jęku. Na oczach napastników cała jego postać stała się przeźroczysta i zniknęła z pomieszczenia.

- Wracamy do domu - decyzja Agnes była nieodwołalna. - Na pewno tam wrócił - nie czekając na Mothmana i Poitosa wyszła z domu Gvidona.

Cagliostro nagle pojawił się w komnacie, w której przebywała Nikki. Stała odwrócona tyłem do drzwi i nie widziała jego osobliwego wejścia. Hrabia spojrzał na swoją dłoń - rana zdążyła się już zasklepić i teraz widoczna już była tylko blizna.

- Nikki - powiedział łagodnie.

Dziewczyna odwróciła się zaskoczona.

- Nie słyszałam jak wchodzisz.

- Nie chciałem cię wystraszyć tylko mile zaskoczyć - próbował się wytłumaczyć. Na szczęście dziewczyna nie dostrzegła bliny, a i krew, dzięki jego zdolnościom szybko znikła z ubrania. - Chyba nadszedł już odpowiedni czas, żebyś wyszła na świat. Ubierz się, pójdziemy na spacer.

- O tej porze?

- Tak - Cagliostro próbował nadać swoim słowom odpowiedni ton głosu żeby uśpić jej czujność. - Mam dla ciebie niespodziankę, której nie zapomnisz do końca życia. Poczekam na ciebie na dole. Myślę, że już znalazłaś wyjście z tej komnaty - uśmiechnął się złośliwie i wyszedł z pomieszczenia.

Nikki nie wiedziała skąd się dowiedział, ale była już pewna, że hrabia wie o jej zwiedzaniu domu. Teraz musiała jakoś ułagodzić hrabiego najlepiej robiąc to, czego od niej oczekiwał.

Mieli szczęście, że po wyjściu z domu Gvidona natknęli się na przejeżdżającą dorożkę. Gdyby nie ten łut teraz zapewne jeszcze szliby przez park, a tak wysiadali przed posiadłością. Lady M. zapłaciła woźnicy, a Mothman już otwierał drzwi wejściowe. Cagliostro, słysząc przekręcany w zamku klucz zmienił plan działania. Cicho wypowiedział zaklęcie, które zatrzęsnęło drzwi w komnacie Nikki i wyszedł z przedpokoju.

- Musimy przeszukać cały dom - powiedział detektyw, gdy byli już w środku. Zamknął za sobą drzwi na klucz. - Najlepiej będzie jeśli się rozdzielimy.

- Służba nam pomoże - zapewniła Lady M.

Cagliostro, który ukrył się w sąsiednim pokoju słyszał każde ich słowo. Oto mu chodziło, niech się rozdzielą, a wtedy bez przeszkód zrealizuje swój plan. Słyszał jak się rozdzielają: detektyw wziął parter, Poitos piwnicę, a Lady M. piętro. Każdemu z poszukiwaczy miało pomagać kilku służących.

Nikki zobaczyła jak drzwi do komnaty same się zamykają. Podbiegła do nich, ale mimo swojego całego wysiłku nie zdołała ich zatrzymać. Gdy się zatrzęsnęły nie mogła ich już ponownie otworzyć. Nie wiedziała, co ma teraz robić. Pamiętała ze starych bajek opowydanych jej kiedyś przez matkę, że często właśnie w takich domach bywają ukryte przejścia. Ale to nie był stary dom.

Mimo to postanowiła zbadać jego ściany. Każdą z nich dotykała palcami i nagle poczuła pod skórą jakby inny materiał. Był gładki i zimny, jakby jakiś przycisk. Ustąpił do jej naciskiem i usłyszała zgrzyt. Musiała zatkać rękami uszy żeby od niego nie ogłuchnąć. Na jej oczach ściana, przed którą stała wsunęła się do środka i odsunęła na bok. Przed oczami dziewczyny ukazała się ziejąca mrokiem luka. Ze ściśniętym gardłem Nikki zagłębiła się w ciemność. W nozdrza uderzył ją otepiający zmysły zaduch.

Wolno kroczyła przed siebie korytarzem macając stopą i dłońmi otaczającą ją przestrzeń. Gdy dotarła do schodów prowadzących w dół zatrzymała się - nie wiedziała czy powinna ryzykować zejście w ciemność. Zanim podjęła decyzję tajemne przejście za nią zamknęło się z głośnym zgrzytem i Nikki nie mogła się już cofnąć.

Cagliostro odczekał chwilę, a gdy był już pewny, że nikogo nie ma w przedpokoju wyszedł z ukrycia. Minał kilka pomieszczeń i skierował się na piętro. Musiał ukryć gdzieś Nikki. Wszedł do pomieszczenia, w którym wcześniej ją zamknął, ale teraz jej w nim nie znalazł. Zaskoczony stał przez chwilę w pustej komnacie. Nagle coś go tknęło. Podeszedł do ściany z ukrytym przyciskiem i przyjrzał mu się dokładnie. Nawet w nikłym świetle świec wyraźnie dojrzał odciski palców na przycisku. Choć Cagliostro od lat nie korzystał już z tego tajnego przejścia dobrze wiedział gdzie znajdują się z niego różne wyjścia. Teraz tylko musiał zastanowić się, z którego dziewczyna skorzysta. Zamknął oczy i skoncentrował się na jednej myśli - zobaczyć gdzie teraz znajduje się jego ofiara.

Widział ją tak jakby szedł tuż obok niej. Przed chwilą musiała zejść ze schodów i teraz szła po omacku korytarzem. Czuł jej strach. Wiedział, że za chwilę dojdzie do kolejnych schodów prowadzących na górę. Wiedział też, w którym pokoju wyjdzie i postanowił zrobić jej niespodziankę.

Dematerializacja nie jest prostym zaklęciem, ale jest z pewnością wyczerpująca. Jest też o wiele szybszym sposobem przemieszczania się aniżeli bieganie po korytarzach.

Lady M. stanęła przed drzwiami prowadzącymi do kolejnego pomieszczenia. Odetchnęła głęboko zanim je otworzyła. Obeszła już prawie całe piętro. Został jej tylko jeden pokój, więc odesłała służących do pomocy detektywowi i lekarzowi. Sama weszła do pokoju. Ale nikogo w nim nie znalazła. Już miała z niego wyjść,

gdy nagle poczuła dziwny aromat, który zaczął unosić się w pomieszczeniu po jej wejściu. Lady M. dobrze pamiętała ten zapach. Mgła, która pojawiła się w tym pokoju zwiastowała nadejście hrabiego. Agnes nie miała nawet, czym się przed nim bronić.

Chciała wyjść z pokoju, ale drzwi same się zamknęły, gdy tylko do niego weszła.

Mgła coraz bardziej przybliżała się do niej, a Agnes nie miała, dokąd przed nią uciec. Tuż przed jej twarzą ukazały się zimnie oczy Cagliostro. Wpatrywały się w nią uparcie jakby chciały z jej głowy wydrzeć wszystkie myśli. Kobieta postanowiła nie myśleć już o niczym.

- I tak wiecie już za dużo - usłyszała głos hrabiego wydobywający się z niewidzialnych ust.

Patrząc na nią oczy zwęziły się niebezpiecznie, a z mgły niespodziewanie wysunęły się jego dłonie. Zaskoczona Lady M. nie zdążyła się nawet cofnąć, gdy mordercze palce zacisnęły się na jej szyi ograniczając jej dopływ powietrza. Szamotała się, ale nie mogła wyrwać się z uścisku. Powoli traciła oddech i czuła jak jej ciało staje się coraz cięższe. Zimny pot wystąpił jej na czoło i żyły zaczęły prawie pękać z wysiłku. Straciła przytomność, ale nawet w ostatnich chwilach ucisk szyi nie zelżał.

Nie dosłyszała już szaleńczego śmiechu hrabiego i odgłosu przypominającego przesuwanie mebli, ale Cagliostro słyszał go bardzo dobrze. Przestał się śmiać, a jego unoszące się we mgle oczy odwróciły się do tyłu. Przez ułamek sekundy widział rozszerzone ze strachu oczy Nikki Mothman i zamykające się przed nią tajne przejście. Hrabia nie chciał, aby dziewczyna widziała tę rozgrywającą się przed nią scenę i chciał oszczędzić jej życie, ale teraz nie mógł pozostawić po sobie żadnych świadków. Puścił Lady M., a jej ciało upadło na ziemię. Po chwili jego ciało zmaterializowało się w pokoju. Spojrzał na Agnes, a upewniwszy się, że nie oddycha, podszedł do ściany z ukrytym przejściem. Nie miał już siły na kolejną dematerializację.

Nikki słyszała kroki zbliżające się do jej kryjówki. Bez namysłu zaczęła biec przed siebie. Wiedziała, że w każdej chwili może przewrócić się w ciemności, ale słyszała otwierające się zamykające za jej plecami przejście i wiedziała, że hrabia depta jej po piętach. Potknęła się, ale zdołała utrzymać równowagę. Zatrzymała się na chwilę. Ostrożnie wysunęła nogę przed siebie i

poczuła z jednej strony krawędź, a z drugiej przepaść. Powtórzyła tę operację, ale nieco wyżej podnosząc nogę. Nikki zrozumiała, że ma przed sobą schody, jedne prowadzące w górę, a drugie w dół. Z doświadczenia wiedziała, że łatwiej i szybciej biegnie się w dół aniżeli w górę. Słyszała już w ciemności zbliżający się ciężki oddech hrabiego i nie zastanawiając się dłużej ruszyła w przepaść.

* * *

- Znalazłeś go?

Detektyw odwrócił się słysząc za sobą głos lekarza.

- Nie, a ty? - Odpowiedział ze zrezygnowaniem w głosie.

- Ja też nie. Przeszukałem całą piwnicę. Ale nie tracimy nadziei - dodał widząc przygnębienie detektywa. - Poczekajmy jeszcze na twoją żonę.

- A jeśli...

- Nic jej się nie stało - przerwał mu Poitos. - Wychodziła już chyba z większych opresji. A może go znalazła i dlatego jeszcze nie przyszła. Może czeka na nas na piętrze - zasugerował.

Stali w przedpokoju, w tym samym miejscu, z którego rozdzielili się na poszukiwania. Mothman stał odwrócony tyłem do lustra, ale Poitos widział je bardzo dokładnie. Przez moment zdawało mu się, że widzi w nim biegnącą, jakby uciekającą przed czymś Nikki.

- Co się stało? - Zapytał detektyw widząc zainteresowanie przyjaciela.

- Nic. Mam już chyba omamy ze zmęczenia. Zdawało mi się przez chwilę, że widzę kogoś w lustrze.

Mothman odwrócił się i teraz wraz z Poitosem patrzyli na szklaną taflę jak zaczarowani. Ujrzeni biegnącą Nikki. Nim zdążyli otrząsnąć się z wrażenia i zareagować postacią dziewczyny znikła.

- To nie jest lustro! - Krzyknął John i podbiegł do tafli. Zaczął w nią uderzać pięściami tak długo aż jej powierzchnia pękła ukazując za sobą ciemny korytarz. Nie czekając na chirurga wbiegł do środka.

Poitos nie zdążył wbiec do korytarza. Detektyw poczuł silne uderzenie w klatkę piersiową i został wypchnięty z tajnego przejścia. Upadł pod przeciwległą ścianą, a z korytarza wyłonił się hrabia Cagliostro.

- Gdzie ona jest? - Ryknął.

Nikki biegła przed siebie jak oszalała. Przewracała się i podnosiła. Nie liczyła już nabitych siniaków ani guzów. To cud, że nie spadła ze schodów. Korytarz, w którym się poruszała zakręcał, zwężał się i rozszerzał. Nawet się rozdwajał. Nie miała już pojęcia, w której części domu teraz się znajduje. Biegła już coraz wolniej i coraz częściej upadała. Chciała oprzeć się o ścianę żeby chwilę odpocząć i omal znowu nie upadła. Nie natrafiła plecami na żadne oparcie. Zaintrygowana, z wysiłkiem chodziła w różne strony aż natrafiła, wyciągniętymi rękami na ścianę. Odwróciła się i poszła w inną stronę. Po chwili natrafiła na kolejną ścianę. Teraz dopiero zrozumiała, że znajduje się w jakiejś tajemnej komnacie. Zmęczona usiadła pod ścianą. Miała nadzieję, że tutaj nawet Cagliostro jej nie odnajdzie. Dookoła niej panowały nieprzeniknione ciemności i uspokajająca cisza. Nikki przymknęła oczy i po chwili zasnęła ze zmęczenia.

* * *

- Musisz im pomóc.
- Julie? - Zapytała Lady M., ale nie usłyszała własnego głosu.
- Musisz im pomóc - jak echo powtórzyła zjawą.

Agnes po chwili zdała sobie sprawę z tego, że ma zamknięte oczy. Gdy je otworzyła, w pierwszej chwili chciała się uszczypnąć, ale nie mogła nawet ruszyć ręką. W mgnieniu oka jej zaskoczenie uległo przemianie w śmiertelne przerażenie. Chciała krzyknąć, ale nie mogła wydać z siebie żadnego dźwięku. Czuła dziwną, nieokreśloną lekkość jakby ktoś doczepił jej do ciała skrzydła, jakby unosiła się w powietrzu.

- Nie bój się.

Lady M. dostrzegła coś na wzór skupiska oparów mgły niewidocznej na pierwszy rzut oka. Kolorem tylko o ton była ciemniejsza od cząsteczek powietrza. Kobieta rozpoznała kształt zamordowanej dziewczyny. Im bardziej się mu przyglądał tym bardziej rozpoznawała nawet rysy twarzy.

- Co się dzieje? - Lady M. zapytała samą siebie w myślach i dopiero teraz, ku swojemu wielkiemu zdumieniu usłyszała swój głos.

- Dostałaś drugą szansę. Ja niestety jej nie otrzymałam. I to nas różni. Dlatego też ja nie mam już możliwości powrotu na ziemię jako śmiertelniczka, a ty ją masz. Wyrokiem Boga mam być twoją przewodniczką.

Agnes Mothman patrzyła otępiałym wzrokiem na zjawę.

- Nic nie rozumiesz z tego, co do ciebie mówię. Nie martw się, to normalne. Spróbuję ci to jakoś wytłumaczyć. Spójrz dookoła siebie.

Lady M. posłuchała. Nie potrafiła ukryć zdumienia, gdy zobaczyła przepływające wokół siebie chmury.

- Czy ja umarłam?

- Jeszcze nie. Spójrz w dół.

Kobieta zobaczyła Agnes Mothman, samą siebie leżącą bez ruchu w komnacie. Widziała jak jej ciało powoli sinieje, a z jej ust coraz rzadziej wydobywa się oddech. Poczowała odprężenie, błogi spokój. Wiedziała, że nie chce tam wracać. Chciała odpocząć. Jednocześnie widziała cienką nić trzymającą jej umierające ciało.

- Musisz wrócić - duch Julie James zdawał się być nieubłagany.

Lady M. buntowała się wewnątrz, miała wątpliwości, co do konieczności swojego powrotu. Raz jeszcze spojrzała w dół i jej oczom ukazał się zupełnie inny widok: Nikki leżąca, skulona pod ścianą jakiegoś ciemnego pomieszczenia. John także leżał pod ścianą i nie dawał oznak życia. Nad nim pochylał się Pierre Poitos, a przed nimi stał trzęsący się ze złości hrabia Cagliostro. Oba obrazy nakładały się na siebie. Agnes w jakiś niezrozumiały dla siebie sposób odczuwała intencje zmarłej dziewczyny i wiedziała, że pokazane jej obrazy odniosły pożądany skutek.

- Pomóż mi - wyszeptała w myślach zupełnie świadomie.

- To twoja ostatnia szansa. To twoja pokuta za grzechy.

- Ale jak...

Duch Julie James uśmiechnął się lekko.

- Jestem tu po to, żeby ci pomóc. Pomyśl, że jesteś piórkiem, taka lekka jak ono; że możesz podróżować z wiatrem, z oddechem gdzie tylko chcesz. Pozwól mi się prowadzić jak małe dziecko wolno, za rączkę. Pomyśl, że jesteś mną a ja jestem tobą, mówić mi to, co trzeba. Ja będę mówiła dzięki tobie, a ty wtedy będziesz milczeć.

Agnes nawet nie pomyślała o sprzeciwie. Była już na wpół martwa i musiała poddać się woli zjawy. To była jedyna szansa uratowania ukochanego.

- Pomyśl, że chwytasz nić łączącą cię z ciałem i zaczynasz ją do siebie przyciągać.

Lady M. lekko, jak latawiec opadała ku ziemi. Jej duch ponownie wniknął w ciało. Agnes poczuła bicie swojego serca,

ostrożnie otworzyła oczy i usłyszała swój własny jęk bólu.

- A jeśli się rozmyślił?

- Na pewno poinformowałby nas o tym. Gvidon zawsze dotrzymuje słowa. Wejdźmy do pociągu - zaproponował młodszy Strażnik.

Poczekali aż ostatni pasażer opuści schody i wbiegli do wagonu. Minęli kilka zamkniętych przedziałów. Jeden był otwarty i miał zapaloną lampkę w środku. Młodszy Strażnik wszedł do niego wraz z trzema innym Guardianami. Pozostałych pięciu czekało na stacji.

- Nadintendent nie będzie zadowolony. Najpierw uciekł nam Poitos, a teraz straciliśmy swojego najlepszego informatora. Przedział był otwarty jakby specjalnie dla nas. Dziwne, że nikt z pasażerów nie zauważył zwłok i nie zawiadomił obsługi kolei. Albo obsługa zostawiła to nam.

Młody Strażnik odwrócił się w ułamku sekundy i bez ostrzeżenia jego pięść wyprysła przed siebie. W przedziale rozległ się chrzęst łamanych kości. Guardian dotknął swojej luźno opadającej szczęki i przekrzywionego nosa. Na palcach zobaczył ślady krwi. Nikt nie odezwał się już ani słowem.

Młody Strażnik odwrócił się i spojrzał jeszcze raz na spoczywające na siedzeniu ciało Gvidona Smitha. Głowa zamordowanego leżała na ziemi przy jego nogach, a cały przedział był aż czerwony od krwi. Strażnik widział wybałuszone z przerażenia oczy prawnika i otwarte w niemym krzyku usta. Odwrócił się i wyszedł z pociągu. Guardianie podążyli za nim jak cień.

- Powiemy mu, że Gvidon został zamordowany przez Cagliotra. Bez słowa podał wciąż krwawiącemu Guardianowi chusteczkę.

Agnes Mothman chwiejnie trzymała się na nogach. Oparła się o ścianę. Głowa bolała ją tak mocno jakby była kamieniołomem, w którym bezustannie pracują skazańcy. Nie widziała podwójnie, chociaż kręciło jej się przed oczami. Ten dyskomfort bardzo zmniejszał jej poczucie bezpieczeństwa, ale Agnes wiedziała, że teraz nie ona jest najważniejsza. Musiała pomóc mężowi i Nikki, nawet kosztem samej siebie. Domyśliła się, że ona jest siostrą detektywa. Nie widziała ducha Julie James i niemalże była pewna, że to całe zdarzenie było jedynie jej przedśmiertnym majaczeniem.

Zataczając się wyszła z komnaty, wolno przeszła korytarz i prawie spadła ze schodów schodząc nimi na parter.

Im bliżej było do spotkania z Cagliostrem tym, nie zważając na nic szybciej biegła. Agnes jak burza wpadła do korytarza na parterze. Mothman nadal nie odzyskiwał przytomności.

- To twoje ostatnie chwile - krzyknęła Lady M. patrząc prosto w oczy hrabiemu, ale z jej ust wydobył się zupełnie obcy głos. Cagliostro słysząc go zatrzęsł się jak w febrze, a jego twarz pokryła się purpurą. - Masz mi coś do powiedzenia?

- To Gvidon i Samuel powinni się tobie spowiadać a nie ja - odrzekł. Starał się mówić spokojnie i ostro, ale jego głos zdradzał rodzący się w nim strach.

- Oni już wcześniej się wypowiadali. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Hrabia zaczął cofać się w kierunku tajemnego przejścia.

* * *

Nikki krzyknęła i obudził ją jej własny krzyk. Śniło jej się, że jest ostatnią ofiarą Cagliostra, że umiera z nim. Kochała go, ale jednocześnie bała. Domyślała się, że tajemny korytarz musi mieć jakieś inne wyjścia. Podniosła się z ziemi i gdy tylko zrobiła krok do przodu podłoga pod jej nogami zatrzęśło się i zawaliło. Dziewczyna nie myśląc już, że hrabia może ją usłyszeć krzyczała spadając do kolejnego tunelu. Niczym na zjeżdżalni dla dzieci sunęła ku przeznaczeniu. Nie miała się, czego chwycić by się, chociaż na chwilę zatrzymać.

Zobaczyła przed sobą białą ścianę zbliżającą się z wielką szybkością i wiedząc, że to już ostatnie chwile jej życia Nikki zamknęła oczy. Upadła na coś przyjemnego i bardzo miękkiego. Gdy ponownie otworzyła oczy ze zdumieniem stwierdziła, że leży na miękkiej pościeli w łóżku pod baldachimem. Nie wiedziała jak się w nim znalazła, ale gdy spojrzała w bok zobaczyła podnoszącą się, jakby wyłaniającą się spod ziemi białą ścianę. Nikki uszczypnęła się w policzek, żeby upewnić się, że nie śni. Nie śniła. Wyszła z komnaty i znowu znalazła się w korytarzu. Po jego obu stronach ciągnęła się w szeregu niezliczona liczba pokoi. W pewnej chwili usłyszała jakieś głosy zza pobliskiego zakrętu. Dziewczyna postanowiła poprosić ich właścicieli o pomoc.

- Nikki jest bezpieczna, w przeciwieństwie do ciebie - ponownie rozległ się głos Julie James.

Cagliostro nadal cofał się w kierunku tunelu. Wiedział, że zanim dokona dematerializacji musi stworzyć sobie jakąś osłonę. Nim jednak wypowiedział do końca zakłęcie tworzące wokół siebie kapsułę z ciała Lady M. wyprysły płonące ostrza i w ułamku sekundy przebyły odległość dzielącą je od hrabiego. Każde z nich, z głośnym sykiem wbiło się w ciało Cagliostro. Julie James ustami Agnes Mothman wypowiedziała zakłęcie i tajemne przejście do tunelu otworzyło się. Ostrza, wbijając się w ciało hrabiego jedno po drugim, siłą uderzeń przesuwawało go w stronę korytarza. Cagliostro nie miał na tyle siły, żeby powstrzymać magiczny atak. Gdy wpadł do środka tajemne przejście zamknęło się samoczynnie. W tym samym czasie w całym domu rozległ się trzask zamykanych drzwi.

- Przez wieki się nie uwolni - Lady M. zaśmiała się nie swoim głosem.

- A jak znajdziemy ciała ofiar? - Zapytał Poitos. Chirurg nadal pochylał się nad leżącym bezwładnie detektywem.

- Wszystkie znajdują się w podziemiach Klasztoru St. Mary. Moje także tam leży. Ale nie wy się tym zajmiecie. Po odejściu Wielkiego Klasztor będzie musiał wybrać nowego.

Poitos dopiero teraz zrozumiał, co wspólnego z Klasztorem miał Cagliostro.

- Nie bój się. Nie zostawię cię. Zawsze będę w pobliżu - głos Julie James był już słabszy i Agnes miała wrażenie, że oddała się od niej. Nagle poczuła także silne szarpnięcie oraz ból jakby ktoś rozrywał jej wnętrzności. Wydała z siebie głuchy jęk, ale tym razem usłyszała już tylko swój własny głos. Odetchnęła z ulgą. Na odchodne usłyszała jeszcze głos zmarłej przyjaciółki:

- Jeszcze nie raz ci pomogę.

Poitos pierwszy usłyszał szybkie kroki zbliżające się do korytarza, jakby ktoś biegł. Lady M. także spojrzała w stronę dochodzących do uszu odgłosów. Na ich oczach zza zakrętu wybiegła Nikki. Dziewczyna zatrzymała się na chwilę, ale widząc, że nigdzie nie ma Cagliostro ze łzami w oczach podbiegła do Mothmana. Uklękła przy nadal nieprzytomnie leżącym ciele detektywa i przytuliła się do niego. Zachowywała się tak jakby nie dostrzegała ani Poitosa ani stojącej niedaleko niego kobiety.

- John, nie opuszczaj mnie. Błagam. Mam tylko ciebie - łkała głośno.

- Zostawmy ich samych - głos chirurga był cichy i spokojny. Agnes spojrzała na niego zaskoczona. - Myślę, że w tej chwili tego najbardziej potrzebują.

Agnes tylko skinęła głową i razem weszli do jednego z bocznych pokoi.

Gdy wrócili po kilkunastu minutach Nikki nadal klęczała na posadzce, a Mothman trzymał głowę opartą na jej kolanach. Detektyw przyglądał się w milczeniu Poitosowi i swojej żonie. W kącikach oczu błyszczały mu świeżo zaschnięte łzy.

- Jak się czujesz? - Zapytał Poitos.

- Jakbym wygrał pojedynek z samym Herkulesem - detektyw uśmiechnął się słabo. Jego głos był ledwo słyszalny.

- Musisz odpocząć. Zaprowadzimy cię do sypialni. Kilka dni snu i spokoju dobrze ci zrobi.

Lekarz razem z Lady M. chwycili go pod ramiona i delikatnie podnieśli z posadzki. Powoli, krok za krokiem skierowali się w stronę sypialni. Nikki obolała i pełna siniaków jak cień podążała za nimi. Poitos otworzył drzwi i Mothman poznał komnatę - była to sama sypialnia, w której spędził z Agnes przyjemne chwile. Lady M. i chirurg delikatnie ułożyli detektywa na łóżku.

- Odpoczywaj. Będę w pobliżu dopóki nie wydobrejesz - obiecał chirurg. - Twoja żona przygotowała mi już komnatę.

- Dobrze, dziękuję ci za pomoc - powiedział słabym głosem detektyw.

EPILOG

Mothman otworzył oczy. Nadal nie umiał uwierzyć w to wszystko, co się stało. Zdawało mu się, że wszystkie ostatnie wydarzenia były tylko snem. Chciał, żeby tak było; chciał obudzić się w swoim domu, a nie w Przeklętej Dolinie. Gdy tylko otworzył oczy odetchnął ciężko. Chciał na nowo zasnąć, ale wiedział, że nie może. Zbyt długo już spał.

- Jak się czujesz? Pierre powiedział, że teraz już szybko powinieneś wrócić do zdrowia - Nikki podeszła i siadła na łóżku koło detektywa. John przyjrzał się jej uważnie. Dawno nie widział jej tak wypoczętej i radosnej. Coś się zmieniło w czasie jego snu.

- Pierre? - Zapytał machinalnie.

- Tak, jest teraz z Agnes w klasztorze. Pomagają w przygotowaniach.

Czyli to jednak nie był sen. Mothman powoli wracał do przytomności.

- Lepiej. Ty za to promieniejesz.

Nikki tylko uśmiechnęła się radośnie.

- Te kilka dni pozwoliło mi odżyć - czule pogłaskała brata po twarzy. - Bałam się o ciebie.

- Ile spałem?

- Prawie dwa tygodnie.

Detektyw jednym ruchem zrzucił pościel i zerwał się z łóża.

- Lepiej się czujesz, ale nie powinieneś... - zaczęła Nikki zaskoczona jego zachowaniem ale nie pozwolił jej dokończyć.

- Co ma się odbyć w klasztorze?

- Wybór nowego Wielkiego.

Dziewczyna nie zdążyła ani zareagować ani się odwrócić. Mothman podbiegł do szafy, w mgnieniu oka znalazł galowe ubranie i rozebrał się do naga. Nikki oblała się rumieńcem ze wstydu i spuściła wzrok.

- Musimy ich ratować.

- Uspokój się. Nic im nie grozi. Cagliostro nie wydostał się ze swojego więzienia. Wszystko mamy pod kontrolą. Spokojnie, zjedz śniadanie i pojedziemy. W sam raz na uroczystość.

- Dobrze - powiedział już nieco spokojniej detektyw. - Idę się przygotować. Przyjdę do jadalni.

- My już jedliśmy zanim Pierre i Agnes pojechali do klasztoru.

- W takim razie przynieś mi Autobiografię matki.

- Agnes ją zabrała do klasztoru.

- Po co?

- Wszystkiego dowiesz się na miejscu. Czekają cię dzisiaj dużo miłych niespodzianek - Nikki uśmiechnęła się tajemniczo.

Detektyw wyszedł z pokoju i skierował się do łazienki.

- Śniadanie czeka na ciebie w jadalni - usłyszał głos siostry.

Było południe, gdy wysiedli z powozu. Stangret zatrzymał konie tuż przed bramą. Przed klasztorem było tylu wiernych, że detektyw zaczął zastanawiać się czy nie zrezygnować z pójścia na uroczystość.

- Musimy tam być - usłyszał delikatny głos Nikki. Dziewczyna ruszyła przed siebie, a zebrani ludzie ustępowali jej z drogi. Mothman wolno poszedł za nią.

Wszyscy przyglądali im się i podziwiali ich w milczeniu.

Gdy przekroczyli próg klasztoru zewsząd rozległa się muzyka organów i dał się słyszeć melodyjny kobiecy głos. Detektyw zaskoczony stanął przy drzwiach i wsłuchiwał się w słowa pieśni.

- Czy to...?

- To dopiero pierwsza niespodzianka - Nikki uśmiechnęła się tajemniczo. - Agnes śpiewa specjalnie dla ciebie i dla naszej matki.

- Dla naszej matki? - Detektyw niespodziewanie chwycił siostrę za rękę. - Chcesz powiedzieć, że ona tu jest?

Nikki chciała odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła.

- Chodźcie tu moje dzieci, nie bójcie się.

Mothman nie wiedział skąd dobiega go głos Mary.

- Spójrz na ambonę. Powinniśmy chyba się zbliżyć - szepnęła dziewczyna.

Mothman bezwiednie dał się jej prowadzić za rękę. Był zapałany przed siebie i dziwnie spokojny. Widział ich matkę z rozłożonymi rękami jakby chciała objąć wszystkich w klasztorze, cały klasztor. Ubrana w odświętne zielone szaty wyróżniała się wśród zgromadzonych. John i Nikki stanęli pośrodku sali. Agnes przestała śpiewać i muzyka ucichła. Mary uśmiechnęła się do swoich dzieci.

- Dzisiaj nie będzie kazania - głos Mary Mothman był dostojny i silny. - Ale kilka ogłoszeń. Jak zapewne wiecie w tym klasztorze do niedawna działała sekta. Jej członkowie nazywali sami siebie Ansuzyczykami. To oni odpowiadali za zaginięcia i morderstwa młodych kobiet w Dolinie. To oni odprawiali w tym miejscu krwawe ofiary i rytuały, bluźnili przeciwko Bogu. To oni zrobili ze

mnie maskarę i chcieli być nieśmiertelni. Eksperymentowali i stworzyli ze mnie kreaturę, pół człowieka pół gada. Ale nie obawiajcie się. Ich już nie ma, tak samo jak ich przywódcy. Hrabia Cagliostro poniósł klęskę i zapłacił za swoje winy. Już nie jest Wielkim tego klasztoru i wyrokiem Rady ja zostałam jego następcą - Mary zrobiła krótką przerwę, żeby dać wiernym chwilę na otrząśnięcie się z zaskoczenia, po czym kontynuowała. - W tym klasztorze dzisiaj rano zostały odprawione egzorcyzmy. Zbadaliśmy także podziemia i odkryliśmy w nich zwłoki wszystkich zaginionych kobiet. Miały wycięte języki i zaszyte usta. Reguła Zakonu Ansuzyjczyków zakazywała zdradzania innym swych tajemnic, dlatego wycinano języki. Wszystkie ofiary należały do zakonu i zostały zwerbowane przez Hrabiego Cagliostro, a gdy już stały się niepotrzebne Zakon się ich pozbywał. Przyrzekam, że wszystkie odnalezione ciała zostaną pochowane i odnajdą spokój. Łącznie są dwadzieścia cztery ofiary.

Wśród wiernych zapanowało poruszenie. Szepty i szmery stawały się coraz głośniejsze. Ucichły dopiero po kilku minutach.

- Nie wiedzielibyśmy o tym gdyby nie pewni młodzi ludzie, którzy pokonali hrabiego i zakończyli horror. To dzięki nim odkryliśmy ciała i znaleźliśmy winnego. Stoją teraz wśród was zaskoczeni i zawstydzeni. To moje dzieci. Przedstawiam wam osoby, które po latach wróciły do naszej doliny: detektywa Hrabiego Johna Mothmana, mojego syna i Nikki Mothman, moją córkę. Im dziękujcie za wybawienie. Jeszcze dwóm osobom chciałabym bardzo podziękować za pomoc: Agnes Mothman, która wspierała mnie i pomagała mi w ciężkich próbach i lekarzowi, przybyszowi do naszej doliny, który jest dla mnie jak syn rodzony - Pierre'owi Poitosowi.

Chirurg w milczeniu wyszedł z tłumu wiernych i stanął obok Nikki. Oboje czule spojrzeli na siebie.

- Ten to młody człowiek przed dzisiejszą mszą poprosił mnie o rękę mojej córki i czeka na odpowiedź - Mary poważnie spojrzała na lekarza i po chwili napięcia i ogólnej ciszy dokończyła. - Witaj w naszej rodzinie synu.

John widział jak oboju popłynęły z oczu łzy radości i wzruszenia i uśmiechnął się.

Czuł jakby wielki kamień spadł mu z serca.

- A teraz wszystkim udziele swojego błogosławieństwa i świętujmy, bo jest, co świętować.

Znów rozległ się anielski głos Agnes.

Gdy wierni rozchodzili się do swoich domów Mary podeszła do swoich dzieci i do Poitosa. Uściskała ich serdecznie i nie kryła radości. Także Agnes do nich dołączyła. Była cicha i dziwnie zmęczona.

- Bardzo się cieszę.

- Chodźcie do domu. Czas zamknąć księgę. Jest w twoim gabinecie, John. To mój prezent dla ciebie synu.

Detektyw pocałował matkę w policzek w podziękowaniu, ale teraz myślał zupełnie o czymś innym.

- Co się dzieje z Agnes? - Zapytał z troską w głosie, gdy zrównał swój krok z Poitosem.

- Musisz teraz na nią bardzo uważać - lekarz uśmiechnął się. - Będziesz ojcem.

John podbiegł do Lady M. i nie zważając na nic zaczął ją całować z radości.

* * *

Gdy już wszyscy spali Mothman wszedł do jednego z pokoi wykorzystywanych jeszcze do niedawna przez Cagliostro. Agnes powiedziała mu, że tam urządzili mu biuro i gabinet. Regały pełne książek, stylowe biurko, pióro i kałamarz i wygodny fotel - było tu wszystko, za czym tęsknił. Zamknął drzwi i usiadł przy biurku. Przed jego oczami leżała Autobiografia Mary Mothman i jego notatnik. Wziął go do rąk i usłyszał dziwny odgłos jakby ktoś skradał się do drzwi jego gabinetu. Detektyw pewny, że to ktoś z domowników chce mu przygotować jeszcze jakąś niespodziankę, bezszelestnie odłożył notatnik i podszedł do drzwi. Otworzył je energicznie, ale nikogo za nimi nie zastał. Wokół panowała głucha cisza. Tylko na progu znalazł zaklejoną, nieopisaną kopertę. Podniósł ją i wrócił do gabinetu. Nie miał wątpliwości, że w środku koperty znajdzie list i że będzie on zaadresowany do niego. Tak też było. Rozłożył złożoną poczwórnie kartkę, z której wypadła czysta mniejsza i przeczytał:

"Znak Ansuz - znak odpowiadający za mądrość, rozumienie świata i kontakt z Bogiem. Symbolizuje usta i odpowiada za komunikację. Odwrócony jest zaprzeczeniem. Znak ten jest jedną z run - liter alfabetu skandynawskiego używanego około II wieku przed naszą erą. Stosowano go także w celach magicznych.

Przyjmuje się, że cały alfabet składał się z dwudziestu czterech run".

Mothman nie znalazł nadawcy listu. Spojrzał jeszcze raz na opis znaku. Obok niego widniała narysowana runa Ansuz w pozycji prostej i odwróconej. Detektyw nie miał wątpliwości, że właśnie tę runę widział na płaszczu strażnika przy grobie Julie James. Teraz rozumiał już, dlaczego członkowie zakonu nazywali siebie Ansuzyczykami i czemu wycinali języki członkom swojej sekty. Ponownie złożył list na czworo i otworzył szufladę biurka. Znalazł klej. Otworzył Autobiografię matki i wkleił list z opisem runy w odpowiednim miejscu. Nie zastanawiając się dłużej zamknął Autobiografię. Przedtem rzucił tylko okiem na rogi stron księgi - intrygował go wypisany na nich alfabet. Schował księgę i swój pamiętnik do biurka i zamknął szufladę. Jego rola jako detektywa już się skończyła. Nikki mówiła mu, gdy wychodzili z klasztoru, że jutro ma być otwarcie ich biblioteki w dolinie. Pod patronatem Mary Mothman. John wiedział, że będzie to kolejny wielki dzień i musiał się do niego przygotować.

Gdy wstawał od biurka żeby udać się na spoczynek, zrzucił rękawem małą karteczkę. Podniósł ją i obejrzał dokładnie. Była niezapisana, ale nauczony doświadczeniem podniósł ją pod światło. Wstrzymał oddech, gdy zobaczył narysowany atramentem sympatycznym tajemniczy znak. Była to duża litera "B", ale jej brzuszek zamiast okrągło był zakończony szpiczasto. Taki sam znak Mothman widział wśród run namalowanych w Autobiografii Mary Mothman.

Koniec.

John Mothman powróci w
Opowieści z Przeklętej Doliny: Język Plonów.

POLECAM
POLECAM

Tomasz Marcin DUDZIŃSKI



Opowieści ze Świata Czarowników

„Pierwsze opowiadanie traktujące o Czarownikach powstało w 1986 roku i powstają one do dziś, na przekór wszystkim tym, którzy twierdzą, że są one nic nie warte. „Opowieści ze Świata Czarowników” to cykl opowiadań z pogranicza fantastyki, fantasy i czarnego humoru, co w efekcie daje dość infantylne bajki dla dorosłych okraszone odrobiną pikanterii.

Jest to pierwsza, pełnometrażowa publikacja autora, który do tej pory współpracował z wieloma portalami internetowymi, między innymi: Skarbnicą Barda, Cmentarzyskiem, Katedrą, Wrotami Fantastyki, Brokilonem, Fantazyzone oraz Gildią Miłośników Fantastyki.

Tomasz Marcin Dudziński



Urodzony 14.01.1982 roku w Tychach. Od 1991 roku mieszka w Sosnowcu. Student Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Szczęśliwy mąż Edyty Maculewicz - Staszewskiej.

W roku 1995 wyróżniony w konkursie na opowiadanie ogłoszonym przez Kanadyjsko - Polską Szkołę Pisarstwa w Poznaniu. W latach 1995-1996 uczestnik kursu „Podstawy Prozy Fabularnej” organizowanego przez tę szkołę.

Autor tworzy od ponad 10-ciu lat.

Według odnalezionych dokumentów pochodzi w prostej linii od szlachcica PIOTRA PAWŁA OSTROŁĘCKIEGO HERBU CIOŁEK. Dokumenty potwierdzające pochodzenie autora znajdują się w KOŚCIELE ŚW. FLORIANA w WARSZAWIE.

Autor pisze i publikuję opowiadania, artykuły, recenzje, teksty i powieści na różnych stronach internetowych i w kilku portalach.

Jego opowiadania ukazują się w Action Magu dołączanym na płycie do miesięcznika CD Action. Zajmuje się także runami, mitologią celtycką i skandynawską. Tworzy pod pseudonimami:

Konrad Staszewski, KonradStaszewski, konrad1 i Koloman.
Zamieszczam także wiersze swego wuja, Zygmunta Dubińskiego i mamy - Marii Staszewskiej.

Autor zaprasza na swój blog internetowy: www.kolomen.blog.onet.pl.

Wszelkie komentarze, opinie i recenzje twórczości autora proszę kierować na adres mailowy: koloman1@op.pl.

Autor prosi także o informacje o jakimkolwiek druku niniejszego dzieła.

Konrad Staszewski

Konrad Staszewski
Opowieści z przeklętej doliny: Ucięta mowa

Copyright © by Konrad Staszewski
All rights reserved

Redaktor:
Piotr Chruśliński
knowacz@vp.pl

Korekta:
Małgorzata Bartosik
skexa@interia.pl

Copyright © by Serwis Literacki
www.knowacz.pl

Wydanie I
ISBN 978-83-926296-1-0

Świdnik
2007

Projekt okładki:
Konrad Staszewski
koloman1@op.pl

Copyright © by Konrad Staszewski
All rights reserved



ISBN 978-83-926296-1-0